DIONISIOS STURIS

# GRECJA

## GORZKIE POMARAŃCZE

# GRECJA

## GORZKIE POMARAŃCZE

DIONISIOS
STURIS

# GRECJA

## GORZKIE POMARAŃCZE

WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Copyright © Dionisios Sturis, 2019
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadzący: Adrian Stachowski
Redakcja: Ariadna Machowska
Korekta: Barbara Kaszubowska
Skład i łamanie: Marta Benec
Projekt okładki: Magda Bloch
Fotografia na okładce: Hector Christiaen | Shutterstock.com
Grafika na wyklejce: Peter Hermes Furian | Shutterstock.com
Mapa na wyklejce: Magda Bloch, według pomysłu z pierwszego wydania

Fotografie we wnętrzu książki:
Dionisios Sturis (fot. nr 5, 6, 8, 9, 10, 12, 16, 18, 19, 20, 22, 24, 25, 28, 29, 30)
Giannis Angelakis (fot. nr 1, 2, 3, 4, 7, 11, 13, 14, 15, 17, 21, 31, 32, 34, 35, 36)
Irena Tsermegas (fot. nr 23)
Fotograf nieznany (fot. nr 26)
George Papandreou Foundation (fot. nr 27)
GettyImages (fot. nr 33)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie II rozszerzone

eISBN 978-83-66278-40-0

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@wydawnictwopoznanskie.com
www.wydawnictwopoznanskie.com

*Zofii Sturis, mojej Mamie*

*Umiłowane, czyste*
*głosy tych, co umarli albo jakby umarli,*
*bo straceni już dla nas.*

*Słyszymy je czasem we śnie,*
*słyszy je czasem umysł w swoich najgłębszych pokładach.*

I *wraca w nich na chwilę*
*brzmienie pierwszej poezji naszego życia, podobne*
*zacichającej muzyce – nocą, gdzieś bardzo daleko.*

Konstandinos Kawafis, *Głosy*

# Wstęp

Gorycz i słodycz Grecji

*Grecja. Gorzkie pomarańcze* Dionisiosa Sturisa są jedną z tych książek, które dają więcej, niż obiecują. I chyba też jedną z tych, które pisze się raz w życiu. Bo choć jej kośćcem jest reportaż, to nie byłaby tak poruszająca, gdyby nie dwa inne składniki: wątki autobiograficzne i osobisty ton. Mówiąc inaczej i już całkiem wprost: Grecja jest tym, czym jest, ponieważ Sturis napisał ją sobą.

Autor – urodzony w Salonikach i wychowany w Polsce imiennik boga Dionizosa – jest, jak sam opowiada, „dzieckiem dzieci wojny domowej i politycznej emigracji", która po drugiej wojnie światowej szeroką falą napłynęła z Grecji do gościnnej wówczas Polski. Państwa bloku wschodniego były naturalnym kierunkiem ucieczki dla tysięcy prostych Greków o komunistycznych przekonaniach, którzy ofiarnie walczyli z Niemcami, by potem usłyszeć od nowej, prawicowej władzy, która nie angażowała się w ruch oporu, a czasem nawet kolaborowała z wrogiem, że w powojennym kraju nie ma dla nich miejsca. W ten sposób trafiła do Polski grecka babcia autora i jego ojciec, który później zabrał swoją polską żonę do Grecji, a ona po kilku latach uciekła stamtąd z dziećmi – z powrotem do Polski.

*So, what do I love about Greece?* I czy ja w ogóle? – zastanawia się Sturis w odpowiedzi na czyjeś pytanie. Greckie korzenie nie są dla niego sprawą prostą. Nie podaje się za

Greka, by zyskać na atrakcyjności; nie dręczy czytelników nostalgią za drugą ojczyzną; z całego serca nienawidzi kiczu greckich wakacji. Swoją wyjątkową pozycję „podwójnego agenta" wykorzystuje do tego, by niszczyć łatwe piękno, zdrapywać z Grecji błyszczący lakier – czasem aż do krwi. Bo ta opowieść ma boleć: jego i nas. Chyba tylko mama autora, Zofia Sturis, wychodzi z niej cało – jej zresztą dedykowana jest książka. Mama, ale też inne kobiety z rodziny: tej polskiej i tej greckiej. *Gorzkie pomarańcze* to piękny hołd dla nich – siłaczek, dzięki którym trwa życie.

Dionisios Sturis buduje mozaikowy portret Grecji z początku kryzysu finansowego, którego długoterminowe skutki powinny być groźnym memento także dla Polski. Kiedy trzeba, razem z demonstrantami na placu Syntagma w Atenach wdycha gaz łzawiący, ale najczęściej wędruje i rozmawia. Efektem tej strategii jest insajderska wiedza o źródłach kryzysu (nieprzyjemna i dla Greków, i dla reszty Europy), a także o prawdziwej cenie „naprawy" narzuconej Grecji przez międzynarodowe instytucje finansowe. Rozmowa z psycholożką z fundacji niosącej pomoc osobom zagrożonym samobójstwem należy do najmocniejszych fragmentów książki, ale Sturis dba o to, by i ten obraz nie zastygł w stereotyp i nie zasłonił bardziej złożonej prawdy. Tak samo w przypadku żyjących w Grecji imigrantów: z Afryki, Azji, Bliskiego Wschodu i... Polski. Jest na ich losy po ludzku wrażliwy, ale potrafi też spojrzeć na nich w historycznym kontekście wielkiej wymiany ludności między Grecją a Turcją z lat 1923–1930. I wciąż przekonuje, że Grecja to znacznie więcej niż antyk. Z nowszej historii zaczerpnął zresztą mnóstwo kapitalnych opowieści – choćby biografię Zygmunta Mineyki (dziadka Andreasa Papandreou), znanej aktorki Meliny

Mercouri czy krzepkich stulatków z Ikarii, w których istnienie nie chciała uwierzyć amerykańska firma ubezpieczeniowa. Nowe wydanie jest bogatsze o kilka rozdziałów: tym razem można dowiedzieć się więcej o lewicowej Syrizie i faszystowskim Złotym Świcie, o sytuacji mediów i niezależnym Radiu Bubble, a także – w epilogu – o tym, jak i dlaczego ta książka powstała.

Jest niezwykle zmysłowa i pełna greckich smaków i zapachów; piosenek i tańców; knajpek, do których nie zaglądają turyści; świąt, zwyczajów i niuansów greckiej mentalności, o których nie przeczyta się w żadnym przewodniku. Znajdzie się w niej nawet przepis na konfiturę z gorzkich pomarańczy i magiczna receptura, która gorzkie przemienia w słodkie. Czy nie taki właśnie – wiążący słodycz z goryczą (*glykypikron*) – jest smak prawdziwej Grecji?

Renata Lis

# 1

Na klatkach panował przyjemny chłód emanujący z marmurowych ścian i posadzek. Przyjemnie było się weń zanurzyć, dać mu się opatulić, gdy jeszcze przed chwilą było się we władaniu lipcowego żaru.

Do obowiązków mojej mamy należało wytrzepać wycieraczki, zamieść klatkę od góry do dołu, włącznie z windą, umyć podłogi, przetrzeć poręcze, a raz w miesiącu dodatkowo umyć małe okienka na półpiętrach. Dozorcy lub dozorczynie zawsze na czas przygotowywali wiadro z gorącą wodą, płyny, ścierki, miotły i szmaty. Zostawiali cały ten sprzęt przy drzwiach. Robota szła sprawnie i szybko. Dobrze jej za to sprzątanie płacili. Na tyle dobrze, że bez najmniejszych podejrzeń ze strony ojca mogła część pieniędzy odkładać na „nowy początek". Odkładała i sukcesywnie zamieniała na dolary. Zamieniała i ukrywała.

Przy trójce małych dzieci nie miała szans na inną pracę. Cztery dni w tygodniu. Jeden blok rano i jeden wieczorem. Na drugim końcu Salonik. Był rok 1984.

To wtedy moja mama nauczyła się jednego jedynego zdania po grecku. Poza nim znała jeszcze tylko: dzień dobry, dziękuję, przepraszam, dobranoc oraz pojedyncze wyrazy: mleko, mąka, jabłka, ręcznik, wymioty, gorączka. Wymawiała je niechętnie, niedbale, niewłaściwie akcentując, jedynie wtedy, gdy musiała, czyli na zakupach lub u lekarza. Wszyscy naokoło mówili po polsku: ojciec, ciotki, moja babcia, kilka znajomych Polek, które, tak jak moja mama, wydały się za „polskich

Greków”. Nikt nie miał ochoty ani czasu, żeby ją uczyć. Niby z czasem sama miała podłapać. Nic z tego – nie podłapałaby, nie miała talentu do języków.

SEPARAKALOANIKSITINPORTA – wyrzucała do domofonu po naciśnięciu guzika. Na pojedynczym tchu, jak jeden długi wyraz, szybko, bez żadnej słyszalnej intonacji. Choć powinno być: *sas parakalo* i *anikste* – inaczej jest dość niegrzecznie i niegramatycznie. „Proszę, otwórz drzwi” – jak do koleżanki, zamiast „Proszę, otwórzcie mi drzwi” – jak do nieznanych państwa. Państwo jednak wiedzieli – najczęściej ubrana na czarno dozorczyni i siwy dozorca – że mają do czynienia z cudzoziemką, biedaczką, która cudem jedynie wyrwała się z tego całego komunizmu. Państwo się litowali i otwierali drzwi swoich bogatych bloków, a moja mama wchodziła do środka i sprzątała.

Gdy uciekniemy do Polski, będą mieli kłopot. Po dwóch tygodniach piasek na niepozamiatanej podłodze zacznie skrzypieć pod butami. Nie będą wiedzieli, co się stało, dlaczego ta cicha i sympatyczna blondynka z Polski nagle przestała przychodzić. Moja mama nie będzie miała jak ich uprzedzić ani znaleźć zastępstwa, bo wyjazd wypadnie nagle, gdy nadarzy się okazja…

Kiedy ojciec zrozumiał, że nie wyjechaliśmy na wakacje i że do Grecji nie wrócimy, zaczął dzwonić i przyrzekać poprawę. Przestanie pić, bić i chodzić do tej kobiety. „Jak Boga kocham! Zosiu, uwierz! Zosiu, przysięgam!” Raz nawet przyjechał. Całą drogę z Salonik do Osetnicy, do domu dziadków, w którym wtedy mieszkaliśmy, żeby osobiście przekonać mamę do powrotu. Na próżno. Wrócił do Grecji, wniósł sprawę o rozwód, a gdy tylko go uzyskał, ożenił się. Z tą kobietą. Kontaktów z nami zaniechał. Alimentów ani listów nie przysyłał.

Miałem wtedy dwa lata, bliźniaki pięć – grecki wyparował z naszych głów niepostrzeżenie. Na dobrych kilka lat, by pojawić się znów za sprawą kolorowych reklamówek z dziwnymi napisami, których nie umieliśmy nawet przeczytać. Przychodziły po kilkadziesiąt – nowiuteńkie, z supermarketów, razem z wafelkami, rurkami z kremem kakaowym i masłem czekoladowym (merendą) w urodzinowych paczkach od ciotki Sultany, siostry ojca. Nikt nie miał takich na całym osiedlu, a może i w całej Polsce.

– Greckie? – pytali sąsiedzi.

– Greckie – odpowiadałem, a oni kiwali głową z uznaniem.

Otwierałem encyklopedię na końcowych tabelach, znajdowałem grecki alfabet, rozkładałem na kuchennym stole kilka kolorowych siatek i próbowałem tłumaczyć greckie hieroglify. Alfy, epsilony, kappy i omikrony wyglądały dość znajomo i przyjaźnie. Dużo większy kłopot stanowiły za to omegi, zity, wity i thity. Sigma była gdzieś pomiędzy, bo niby podobna do s, ale na końcu jakby trochę rozjechana. Nijak nie układała mi się z tego nazwa sklepu (μαρινόπουλος) i życzenia udanych zakupów (σας ευχόμαστε καλά ψώνια).

– No, weź coś powiedz! – nalegali na przerwach koledzy z podstawówki. – Znasz jakieś przekleństwo? Jak jest dupa?

Dla nich było jasne, że skoro urodziłem się w Grecji, a nie jak reszta klasy w Złotoryi, skoro mój ojciec jest Grekiem, skoro noszę imię greckiego boga, a moje nazwisko nie kończy się na „-ski”, to na pewno mówię po grecku. Nie tłumaczyłem, że jest inaczej, że ojciec się na nas wypiął, że się z mamą rozwiedli, że o Grecji wiem mniej więcej tyle, ile oni o Brazylii. Wolałem udawać. Poprosiłem mamę, by nauczyła mnie czegoś, ale pamiętała jedynie to zdanie z błędami o otwieraniu drzwi.

– No dooobra – odpowiadałem niby to z wielką łaską i rzucałem szybkie *separakaloaniksitinporta*, za każdym razem wymyślając inne znaczenie.

# 2

Byłem tak strasznie wkurwiony, że natychmiast musiałem zjeść coś słodkiego. Szedłem już kawał drogi – spocony, zmęczony i wściekły. W końcu znalazłem się w dzielnicy z czynnymi sklepami i kawiarniami, z kursującymi autobusami i trąbiącymi taksówkami. W pierwszej lepszej cukierni poprosiłem o bugatsę. Z cukrem pudrem i cynamonem. Na ciepło.

Pałaszowałem ciasto łapczywymi kęsami. Było idealne: tłuste, sycące i słodkie. Klejące się palce wytarłem w spodnie. Usiadłem na murku i próbowałem pozbierać myśli. Była niedziela, wieczór – 12 lutego 2012 roku.

Do Aten przyjechałem kilka dni wcześniej, po tym jak rząd premiera Papadimosa – nie wiadomo który już raz – ogłosił, że pomylił się w przewidywaniach co do kryzysu. Było gorzej, niż myśleli premier i minister finansów, gorzej, niż prorokowali unijni inspektorzy nadzorujący greckie finanse. Było dużo gorzej. Kolejne recepty okazywały się nieskuteczne. Konieczne znów okazało się zaciśnięcie pasa, ale tym razem porządnie. Po takim komunikacie nie mieliśmy w radiu wątpliwości, że – choć zima – w Atenach znów będzie gorąco.

– Dionis, bukuj bilety. Lecisz.

Około szesnastej na plac Syntagma (Konstytucji) zaczęli schodzić się ludzie. Grupki znajomych dyskutowały, paląc cienkie skręty i popijając kawę z plastikowych kubków. Dużo dzieciaków, w wózkach i trzymanych za ręce przez rodziców. Handlarze popychali swoje kramy i zajmowali pozycje.

Sprzedawali maski chirurgiczne, wodę w butelkach i gwizdki. Z szerokiej jezdni oddzielającej plac od siedziby parlamentu zniknęły samochody i trolejbusy, a na jej obrzeżach pojawili się policjanci. Ktoś na latarni zawiesił szubienicę, ktoś inny miarowo walił w bęben. Obok rozwijano wielkie transparenty z czarnymi i czerwonymi napisami – same drukowane litery. Po porannym deszczu zza chmur zaczęło wyglądać słońce.

Bezdomne psy biegały w zadziwieniu wokół trzech młodych chłopców i dwóch dziewczyn z amatorskiej trupy teatralnej, którzy najpierw oblali się czerwoną farbą, a później ułożyli w afektowanych pozach na ulicy – krwawią, jak cała Grecja pod ciężarem zagranicznych długów. Zamknięte oczy, wstrzymywane oddechy. Spóźnieni fotoreporterzy prosili ich, by nie wstawali jeszcze przez chwilę – cykali zdjęcia pod różnymi kątami, tak żeby zmieścić na nich również pęczniejący tłum oraz budynek parlamentu z zamkniętymi okiennicami i wielką biało-niebieską flagą powiewającą na dachu.

A w parlamencie debata – nad programem oszczędnościowym, w którym zatwierdza się obniżenie pensji minimalnej i masowe zwolnienia w administracji, ponoć konieczne, bo kryzys ciągle postępuje. Publiczne media krzyczą, że bez tego Bruksela zakręci kurek z pieniędzmi, a kraj zbankrutuje. Partie PASOK i Nowa Demokracja zarządzają dyscyplinę przed wieczornym głosowaniem, ale kilkoro posłów się wyłamuje, za co grozi wyrzucenie z partii. Do końca nie będzie wiadomo, co zrobią. To już kolejne takie przesilenie w ostatnim czasie.

*

Przypomina mi się wielki protest z lata 2011 roku. Wszystko przebiegało według tego samego scenariusza. Minister finansów wychodzi na mównicę ze strapioną miną i ostrzega:

– *Kiries kai kiroi vouleutes*, panie i panowie posłowie. Grecja upadnie, jeśli odrzucicie dzisiaj wieloletni plan budżetowy. Bolesne cięcia i oszczędności są nieuniknione. Zachowajcie się rozsądnie, bo stoimy nad przepaścią. A jak w nią spadniemy, to będziemy się podnosić długie dekady – *poles dekaeties!*

Związki zawodowe protestują – na weekend zapowiadają strajk generalny, i to od razu dwudniowy. Tłum zagranicznych dziennikarzy ciągnie do Aten – węszymy zawieruchę. Mój samolot ląduje jako ostatni – kolejne będą zawracane, bo kontrolerzy lotów rozpoczęli protest wcześniej, niż zapowiadano. Port w Pireusie nieczynny, nie jeżdżą autobusy, tramwaje ani metro. Taksówkarze mają niespodziewane żniwa. Całe centrum jest zamknięte dla samochodów. Kierowca wysadza mnie na tyłach ateńskiego uniwersytetu. Z radia dzwonią, że część ustaw już przeszła i że wybuchły zamieszki, że ludzie biją się z policją, że ogień i huk, tłuczone szyby, przed samym parlamentem i kilka ulic dalej, że koktajle Mołotowa lecą w stronę banków, że mam uważać, że chmura gazu łzawiącego. Chmura? Faktycznie, właśnie w nią wchodzę. Mówią, żebym się nie rozłączał, że za chwilę będziemy na antenie, na żywo w popołudniowym programie. Prowadzący pyta, co widzę, a mnie głos więźnie w gardle. Zaczynam kaszleć, pocić się, krztusić. Z oczu ciekną mi łzy. Na antenie słychać odgłosy wybuchów i syreny karetek. Próbuję opisać energię, która wypełnia teren wokół mnie. Wchodzę na murek i widzę setki osób w maskach gazowych, maseczkach chirurgicznych lub maskach do nurkowania. Tłum zaczyna

biec w stronę Biblioteki Narodowej. Policjanci wystrzelili kolejne pociski z gazem. Chowamy się w bocznych uliczkach.

Ludzie widzą moją walizkę na kółkach i podchodzą, chcą pomóc. Biorą mnie za zbłąkanego turystę.

– Gdzie twój hotel? Uciekaj, tu jest niebezpiecznie – przekonują mnie dwie piękne studentki. Policzki i nos mają wysmarowane białą mazią – maaloxem, pomaga na ból brzucha, ale łagodzi też skutki działania gazu. Dziennikarzom nie ufają, do mikrofonu nic mi nie powiedzą, ale proszą, żebym na siebie uważał. W końcu wydostaję się poza centrum, wsiadam do taksówki i jadę na Vironas zostawić walizkę w mieszkaniu mojej kuzynki Marysi.

Kiedy wrócę po dwóch godzinach, zastanę krajobraz po bitwie. Wybite szyby sklepów i banków, tlące się śmietniki, obłupany marmur na schodach ekskluzywnych hoteli i ten cholerny gaz, który będzie się unosił nad centrum miasta jeszcze przez dwa dni. „Policjanci przesadzili" – stwierdzi prokurator generalny i zarządzi w tej sprawie śledztwo; rozpylili chemikalia nawet na stacji metra, gdzie lekarze urządzili szpital polowy dla rannych w zamieszkach. Greccy Oburzeni – Aganaktismenoi – biorący przykład z hiszpańskich protestujących z ruchu Indignados – naprawiają swoje namioty, które ucierpiały podczas zadymy. Polewają marmurowe płyty na placu Syntagma wodą z fontanny i na nowo rozwieszają swoje antyrządowe i antykapitalistyczne transparenty. Przez kilka kolejnych sobót będą mobilizowali do demonstracji setki tysięcy osób. Aż władze Aten zarządzą likwidację ich obozowiska – policja przyjdzie nad ranem.

*

Ponad pół roku później po Oburzonych nie ma na placu ani śladu. Zbliża się osiemnasta. Tłum ciągle pęcznieje. Ktoś wydziera się do megafonu, że politycy to złodzieje, oszuści i zdrajcy: – Wynocha stąd, kłamcy! Wynocha, wynocha! – płynie przez plac. W kierunku parlamentu strzelają setki, jeśli nie tysiące wyprostowanych rąk z rozcapierzonymi palcami – to słynna grecka *moutza*, gest wściekłości i niezgody, klątwa rzucana na wroga.

W tym samym czasie właściciele sklepów, restauracji i kiosków w centrum oraz kilku przyległych dzielnicach wypraszają klientów i podliczają marny utarg. Zamykają drzwi na klucz, opuszczają metalowe rolety i idą do domów z nadzieją, że może kamienie ominą szyby ich interesów. Tego wieczora będą w nerwach oglądać informacje na wszystkich kanałach – żeby zobaczyć, gdzie tłuczono się najbardziej. Bo że bójki wybuchną, to niemal pewne.

Głównymi ulicami prowadzącymi na plac ciągną głośne kolumny – krok marszowy, zdecydowany, w dłoniach flagi z symbolami partyjnych młodzieżówek i związków zawodowych. „TAK – dla chleba i wolności! NIE – dla cięć i oszczędności!".

Dwie staruszki w zimowych płaszczach mówią mi, że cały ten bajzel to robota Niemców. Chcieli Grecję wykończyć podczas wojny, ale im się nie udało. Teraz znów próbują, ale i tym razem przegrają. Grecy to waleczny naród. – Łatwo skóry nie sprzedamy! – mówią.

Młode, sympatyczne małżeństwo. Ubrani na kolorowo. Ona nieco wyższa od niego. Trzymają się za ręce. Prowadzą sklep ze sportowymi ciuchami. Chodzą na wszystkie protesty. Biznes kręci się z dnia na dzień gorzej, wykańczają ich coraz to nowe

podatki. Przy sporych oszczędnościach jeszcze wystarcza do pierwszego, więc nie narzekają. Martwią się o tych, którzy nie mają na jedzenie. I o przyszłość dwójki swoich małych dzieci.

– Wszyscy nasi politycy to złodzieje, przez całe lata kradli i oszukiwali – mówią. – Nie wierzymy w ani jedno ich słowo. Jeśli oni zostaną u władzy, kryzysy będą wracały co chwila.

Szukam kafejki internetowej, żeby wysłać dźwięki do radia, ale wokół wszystko pozamykane. Idę w stronę placu Omonia (drugi co do wielkości plac Aten). Na jednej z głównych ulic – Stadiou – mijają mnie tysiące osób. Co parę kroków zatrzymuję się i robię zdjęcia, bo nie mogę uwierzyć w rozmiary tłumu. Gdzieniegdzie grupki policjantów przeganiają zakapturzonych chuliganów z kijami bejsbolowymi, którzy podłączyli się do pokojowej demonstracji. Gdzieniegdzie sami są przeganiani.

Nagle czuć paloną gumę i słychać, jak pękają szyby. Zaczęło się! Choć nie wiadomo, kto ani jak zaczął. Gaz powoduje panikę, ludzie rozbiegają się we wszystkie strony. Powietrze co rusz przecinają kamienie, w ruch poszły policyjne pałki.

*

Następnego dnia wrócę na ulicę Stadiou, żeby opisać szkody:

– Spalone kino Attikon. Piękny, neoklasyczny gmach. Sto czterdzieści lat historii – podczas okupacji naziści w jego podziemiach urządzili salę tortur. Spod zgliszcz ciągle bucha szary dym. W środku czarno. Strażacy wypompowują wodę i rozciągają wokół budynku żółtą taśmę. Ludzie nie mogą się nadziwić. Pokazują palcami na dwa sklepy z ciuchami, przyklejone do kina, które też poszły z dymem.

– Zdemolowany i obrabowany sklep z drogim sprzętem AGD. Właściciel podlicza straty, jego żona wciąga do odkurzacza kawałki szkła z wybitej szyby. Omija skorupy po ceramicznych misach i potłuczone kubki do kawy.

– Setki ukradzionych telefonów ze wszystkich okolicznych sklepów.

– Księgarnia, której właściciel mówi, że nic nie wzięli, tylko szybę wybili. Kto by chciał kraść książki?

– Spalony zakład jubilerski i kantor, zdemolowane biuro turystyczne i bank, do którego prowadzą obtłuczone białe schody – kawałki marmuru odpadały pod razami metalowych drągów i służyły za amunicję.

W Grecji mówi się na nich „zakapturzeni". Było ich w niedzielę około trzystu (czyli zaledwie garstka spośród wszystkich demonstrujących, których mogło być nawet sto tysięcy), a policja zatrzymała jedynie siedemdziesięciu dziewięciu. Sami faceci – bezrobotni, studenci, jeden prawnik. Niektórzy są z lewicowych organizacji, ale większość to pospolici szabrownicy. Usłyszeli zarzuty usiłowania morderstwa, spowodowania obrażeń ciała lub kradzieży.

Zdewastowali ponad sto pięćdziesiąt budynków. Oprócz wymienionych – sklepy z zegarkami, kawiarnie, agencje ubezpieczeniowe, punkty skupu złota.

Sprzątają po nich imigranci z Bangladeszu i Pakistanu. Ich wózki z supermarketów, do których ładują zazwyczaj wygrzebane ze śmietników żelastwo lub makulaturę, idealnie nadają się do wywożenia szkła, kawałków drewna, papierów i folii. Szklarze uwijają się na drabinach, a sprzedawcy w sklepie z drogimi butami sportowymi kończą pakowanie pojedynczych ocalałych trampek do czarnych plastikowych worków.

Ale to dopiero nazajutrz.

*

Z recepcji małego, obskurnego hotelu wysyłam do radia rozmowy z ludźmi, skandowane okrzyki i wolnościowe pieśni śpiewane przez tłum. Pół godziny później znów jestem w drodze. Skręcam w ulicę Ermou, która biegnie aż do samego placu Syntagma. To w zasadzie deptak, zamknięty dla samochodów. Centrum handlu drogimi ciuchami.

Jest ciemno i koszmarnie duszno pomimo chłodu. Tłok. Większość ludzi idzie spod parlamentu, widocznie skończyli już demonstrować. Ja przeciskam się w drugą stronę. Wolno, bo ulica pęka w szwach. Pytam o głosowanie, ktoś odpowiada, że już po, że zatwierdzili. Kilkoma głosami.

Z bocznej uliczki wyłania się szpaler policjantów. Maszerują, nie zważając na zaczepki i wyzwiska, jeden za drugim, około dwudziestu. W kaskach, z tarczami i pałkami, w kuloodpornych kamizelkach. Ludzie gwiżdżą i skandują: Świ-nie! Mor-der-cy! (*Gourunia! Dolofonoi!*) Któryś z policjantów nie wytrzymuje i rzuca w naszym kierunku granat z gazem, potem jeszcze jeden i jeszcze. Zanim eksplodują chmurą siwego dymu, wybucha panika. Chcemy uciekać, ale nie ma jak. Trudno w tym ścisku zrobić krok. Zaczynam kaszleć i dławić się. Nie pomaga chusta przyciśnięta do ust ani kilka ostatnich łyków wody. Pusta butelka ląduje między szalejącymi stopami. Chce mi się rzygać, mam ochotę wypluć płuca. Czuję, jak rosną we mnie wkurwienie i strach…

W końcu udaje mi się skręcić w prawo, w wąską uliczkę. Łapczywie oddycham, nie przestając biec.

# 3

Mój dziadek Stanisław, który innymi razy, po całym dniu pracy, spokojnie siedział za stołem i siorbał herbatę albo zbożową kawę, teraz chodził wolno po źle oświetlonej, ciemnej kuchni w tę i z powrotem. W tę i nazad, w tę i nazad. Kopcił jednego skręta za drugim, odpalając je od rozgrzanej płyty pieca, na którym w wielkim garze dochodził bigos. Woda w czajniku gotowała się już od kilku minut. Para osiadała na pomarańczowych kaflach, którymi wyłożono ściany wokół pieca. Nie powiedział ani słowa, nie wrzeszczał, nie przeklinał, nie odgrażał się, nie zaciskał pięści. Wpatrywał się tępo w podłogę pokrytą jasnobrązowym linoleum. W tę i nazad. To była cała jego reakcja na list od mojej mamy, którego właśnie wysłuchał.

Choć włosów miał jeszcze całą burzę, dziadek posiwiał niedawno kompletnie. Jego plecy zaczynały się wyginać, usta zwężały się i z braku kilku zębów podkowiały. Paznokcie u rąk i nóg stężały do tego stopnia, że trzeba je było, wymoczone w gorącej wodzie z mydłem, ciąć ostrym nożem. Starość dopadła go, co dało się słyszeć w nieskoordynowanym, powolnym szuraniu jego kapci i co można było dostrzec w wysiłku, który towarzyszył zaciąganiu się kolejnymi papierosami bez filtra – każdy mach był wymęczony, brany na dwa długie, mało silne, syczące wdechy. Rąbanie drzewa, młócenie koniczyny dla królików, wyrzucanie gnoju ze stajni – wszystkie te prace zajmowały mu coraz więcej czasu i pożerały coraz więcej jego wyraźnie kończącej się energii.

Stanisław Zieleń ze Starego Sącza. Rocznik 1910. Dwie wojny pamiętał. Krótko po tej ostatniej przeniósł się z babcią i dwójką małych dzieci – ciocią Renią i wujkiem Staszkiem – na Ziemie Odzyskane, bo tam łatwiej dało się znaleźć pracę. Rodzinę swą planował wielką.

Najpierw był Czarny Bór pod Wałbrzychem. Zamieszkali w małym domu naprzeciwko Niemców – wojennej wdowy z czworgiem dzieci. Żyli z sąsiadami dobrze, dzieciaki się zaprzyjaźniły, a mała ciocia Renia z Niemką Lucy to nawet później listy do siebie słały. W Czarnym Borze urodzili się wujek Tosiek i wujek Janek, a także mały Tadzik, który wkrótce umarł na zapalenie płuc. W 1949 roku pojawiły się moja mama i ciocia Marysia, bliźniaczki, a później jeszcze trzech braci. Dziadek pracował jako leśniczy, a babcia – wiadomo. Niemcy w końcu wyjechali do Niemiec, a dziadek dowiedział się, że pod Chojnowem są na sprzedaż kawał pola i stary młyn do zamieszkania – ze stajniami dla koni i bydła, z kurnikiem, z szopami, z piwnicami i strychami, na których można suszyć zboże. Zwolnił się z lasów, wziął kredyt na czterdzieści lat i kupił wymarzoną gospodarkę. Ziemia żyzna, wokół łąki, blisko do rzeki i zimnej, z gór płynącej młynówki. A za lasem autostrada, którą w sześćdziesiątym ósmym czołgi będą jechały na Czechosłowację – aż się wszyscy z łóżek pozrywają, taki będzie hałas, aż bracia mojej mamy nocą przez te lasy pobiegną zobaczyć. Ale w Osetnicy najfajniejszy był sad. Wielki, z drewnianym ogrodzeniem i zarastającymi zielskiem fundamentami starego poniemieckiego domu, a może stajni. Wzdłuż jednej krawędzi sadu do dziś płynie strumyk, który wije się dalej między łąkami i polami innych gospodarzy i wpada, koniec końców, do niemrawej Skorej.

Babcia Zosia siedziała przy stole razem z ciotkami. W domowym fartuchu w ciemne kwiatki, na guziki, bez rękawów. Jedenaście lat młodsza od dziadka, a mimo to chuda, krucha, pomarszczona, siwiejąca, coraz wolniej chodząca. Starość wzięła się za nich oboje jednocześnie. Po jej policzkach ciekły pojedyncze łzy. Babcia także milczała. Żadne słowa nie przychodziły jej do głowy, żadne nie pasowały do sytuacji. Przebiegała spojrzeniem po akapitach listu, który trzymała w trzęsących się nieposłusznie dłoniach. Chciała się upewnić, że to, co przed chwilą usłyszała, odczytane na głos przez ciocię Renię, to naprawdę słowa jej córki, jej pismo, jej litery. Wpatrywała się w poszczególne wyrazy, oceniała ich autentyczność, konstruowała historie, które mogły się kryć za koniecznością ich użycia. Niebieskim długopisem na papierze w szeroką linię: „pomóżcie, zabierzcie, nie wiem, jak długo, nie wytrzymam, nie zasłużyłam, bije, siniaki, sił, na rękach, z nożem, z moją własną koleżanką, maj 1985, Saloniki, Grecja, całuję i ściskam, proszę, błagam, Zosia. Pozdrawiam".

Ciocia Marysia ze spuszczoną głową powtarzała pod nosem:

– Matko Boska, Matko Boska.

– Doszedł dzisiaj rano, a wysłany był ponad dwa tygodnie temu – ciocia Renia mówiła spokojnie, bo zdążyła przeczytać list wielokrotnie. Miała czas, by ochłonąć, choć i dla niej stanowił olbrzymi szok. Czy taki znowu wielki? Przecież jej ten związek nigdy się nie podobał, była mu przeciwna, a o swoich wątpliwościach rozmawiała z moją mamą nieraz. Ale co to za rozmowa z zaślepioną, zakochaną, głuchą na wszystkie argumenty? Zresztą argumentów nie miała wiele – raczej złe przeczucia, zła energia wokół niego. Takiego zgrywał Greka Zorbę, szalonego, z fantazją, z gębą pełną frazesów i historii o tym, jak cudownie żyje się w Grecji.

„Sami zobaczycie, bo przecież przyjedziecie nas odwiedzić, prawda? Saloniki, wyspy, Ateny, Akropol – wszystko wam pokażę, wszędzie zabiorę".

Gadać to on potrafił, bez przerwy. Czaruś. Modnie ubrany, uczesany, zawsze gładko ogolony, przystojny. Ale co myśmy tak naprawdę o nim wiedzieli? Że kiedyś w Dolzamecie pracował, że ponoć nie najgorszy był z niego tokarz. Jego rodzina kilka lat wcześniej wyjechała z Chojnowa, wrócili do Grecji, gdy upadł rząd czarnych pułkowników. Stara matka, siostry z mężami i dziećmi i – no właśnie – jego pierwsza żona z synem. Greczynka z Legnicy, z którą się już ponoć od dawna nie kochali, razem nie żyli, której on nie chciał więcej widzieć i znać za jej wszystkie oszustwa, kłamstwa, podłości, za to, że zniszczyła mu życie.

„Ona już dla mnie nie istnieje, Zosiu. Koniec! To był błąd, Zosiu. Ona zniszczyła mi życie, ona mnie prawie zabiła".

– Trzeba nam było z nią porozmawiać, napisać do niej, zapytać. Dlaczego wtedy na to nie wpadłam? Że też rodzice się nie sprzeciwili! – Ciocia Renia cały dzień myślała tylko o tym, co zrobić i jak. Wstała od stołu i zdjęła czajnik z pieca. Zalała cztery herbaty. – Powiedzcie coś. Co myślicie? Rozmawiałam już z Edziem i wymyśliliśmy, że można by napisać list. Ot, że tęsknimy, że z ojcem nie najlepiej, że już dawno w domu nie byli, niech przyjadą, niech się dadzą sobą nacieszyć. A akurat jest okazja, bo Edek będzie blisko – w Bułgarii albo Jugosławii, że niby na handel jedzie – skóry, kryształy, owoce w puszkach. Że to rzut beretem, może wpaść na kilka dni, a jak zechcą, mogą się z nim zabrać na urlop w drodze powrotnej. Zapłacimy za ich powrót samolotem. Taki prezent. Niech to przemyślą i szybko odpiszą. W ten sposób on niczego

się nie domyśli, a że sam urlopu nie dostanie, jak pisała Zosia, to nie będzie chciał przyjechać z nimi.

– A jak ich nie puści? – Ciocia Marysia kręciła głową. – A nawet jeśli, to co z rzeczami, ubraniami, ze wszystkim? Przecież ona niczego tutaj nie ma, wszystko wywiozła do Grecji. Dwa wagony w pociągu wynajęła, żeby to wszystko pomieścić. Ma to zostawić? Ubrania, garnki, książki, kryształy i co tam jeszcze?

Babcia milczała. Studiowała teraz uważnie brązową kopertę i znaczek, niezrozumiałe greckie litery na pocztowym stemplu.

– Trudno, będzie musiała zacząć życie od nowa – ciągnęła ciocia Renia. – Przecież jej pomożemy. Najważniejsze, żeby ją stamtąd zabrać. Ją i dzieci. Zamieszkają tutaj, miejsca jest dość, prawda, mamuś? Przedszkole niedaleko, a o pracę nietrudno. No, jakoś to będzie.

Dziadek odpalił kolejnego papierosa i bez słowa opuścił kuchnię. Babcia i ciotki patrzyły na niego przez uchylone okno, jak mija stajnię, wchodzi do kurnika i zamyka za sobą jego osrane drzwi.

# 4

– Herbaty nie pijemy. Tylko wodę. Z solą albo cukrem. Już trzydzieści cztery dni. – Ektif jest z Maroka. Ma czterdzieści pięć lat i przyjemną, okrągłą twarz z kilkudniowym zarostem. Gruby wełniany sweter w kolorowe paski i turban z czarnej chusty na głowie. Ciągle czuje się wzdęty, dlatego pije coraz mniej wody. Chodzi bardzo wolno. Schudł już dwanaście kilogramów. W Grecji jest od ośmiu lat. Nielegalnie. Mieszka na Krecie i pracuje jako ogrodnik. A może już nie pracuje – jego szefowi nie bardzo spodobał się pomysł strajku głodowego. Gdy Ektif wróci na Kretę – jeśli wróci – może się okazać, że jego miejsce zajął inny imigrant.

Przygotowania trwały cztery miesiące. Trzeba było zebrać pieniądze na promy, na wodę, papierosy, koce, śpiwory, namioty. Wiele razy się spotykali i dyskutowali, obmyślali, ustalali: dwustu pięćdziesięciu z nich pojedzie do Aten, pięćdziesięciu do Salonik. Postanowili, że greccy studenci, anarchiści i komuniści, członkowie związków zawodowych i partyjnych młodzieżówek, którzy zadeklarowali wsparcie, będą im jedynie pomagać logistycznie i w kontaktach z mediami. Nie będą wpływać na przebieg protestu. Reguły: żadnych afiliacji politycznych, nie staną się celem rozgrywek, sami decydują o strajku. Cel: legalizacja pobytu. Alternatywa: śmierć.

25 stycznia 2011 roku zainstalowali się na kampusie Uniwersytetu Ateńskiego. W remontowanym budynku, gdzie i tak nie odbywałyby się żadne wykłady. Szybko ich stamtąd

przegoniono – groźbami, że wykopie ich policja. Teraz są na terenie prywatnej posiadłości, Ypatii, przy jednej z głównych ulic. Ktoś zna właściciela, który wyjechał na stałe za granicę i zgodził się udostępnić część willi na strajk.

Budynek jest piękny, neoklasyczny, kremowy, z wielkimi, półokrągłymi oknami, drewnianymi okiennicami, zdobionymi balustradami. Za masywną bramą znajduje się ogród z rozłożystymi palmami i z latarniami, po których pnie się metalowa, zgrabnie rzeźbiona winorośl. Między nimi namioty – obciągnięte grubą folią, na wypadek gdyby padało. Na sznurkach schnie bielizna. Jakieś palety, brudne krzesła, rząd plastikowych toalet, przenośna umywalka z pięcioma stanowiskami.

Część mężczyzn śpi w namiotach, a reszta w piwnicy i korytarzu, do którego prowadzą kręte marmurowe schody. Drzwi do wszystkich pokoi są zamknięte.

W sobotę późnym wieczorem nikt nie chce ze mną rozmawiać. Po ogrodzie kręci się mnóstwo ludzi. Siedzą w niewielkich grupach. Panuje spokój, ale to cisza przed burzą. Może już wiedzą, co stanie się jutro… Jest ciemno, więc nie umiem rozróżnić, którzy to głodujący, a którzy z komitetu solidarności. Mrok rozświetlają dziesiątki palonych papierosów. Niektórzy mi się przypatrują, wypytują, skąd jestem. Jakie radio? Skąd? Nie przepadają za dziennikarzami. Mam przyjść rano.

Greckie *marasmos* oznacza więdnięcie. Czasownik *marazono* – usychać. W medycynie marazm to rodzaj niedożywienia i jednocześnie stan wyniszczenia organizmu na skutek powolnego, długotrwałego głodzenia. Marazm może trwać do siedemdziesięciu dni, później utrata masy ciała i ilości białka jest zbyt wielka i powoduje śmierć. Wcześniej kurczą się serce,

płuca i wątroba, stopniowo zanikają nerki i szpik kostny. Pojawia się niedokrwistość, rany nie chcą się goić.

W niedzielę rano ludzi jest jeszcze więcej. Brama do ogrodu stoi otwarta. Co chwilę zatrzymują się przed nią karetki. Jedna za drugą. Przyjeżdżają po tych skrajnie wyczerpanych, którzy tracą przytomność, którzy już sami nie chodzą, którzy od dwóch dni nie oddali ani kropli moczu. Ich stan drastycznie pogorszył się w ostatnim czasie. Są z grupy sześćdziesięciu głodujących, którzy zdecydowali się zaostrzyć protest i nie przyjmują już ani wody, ani soli, ani cukru.

– Stwierdziłem u nich ostrą niewydolność nerek. Trzeba ich natychmiast przewieźć do szpitala. Tam dożylnie podadzą im płyny, dzięki którym nerki znów powinny zacząć pracować. Oni wszyscy mogą za chwilę umrzeć, bo człowiek bez wody nie przeżyje więcej niż kilka dni. – Doktor Athanasios Karambelis jest jednym z trójki lekarzy, którzy opiekują się strajkującymi. Przychodzi rano i zostaje do wieczora. Trzy razy dziennie urządza obchód. Wszystko zapisuje w niewielkim notatniku. Chyba jako jedyny z obecnych nie pali papierosów. Ma pod sześćdziesiątkę. Nosi cienkie metalowe okulary. Kilka marnych, siwych kosmyków zaczesuje znad jednego ucha w okolice drugiego.

Sanitariusze kładą ich na noszach i zanoszą do karetek. Przy każdym mniej ostrożnym ruchu wychudzeni mężczyźni marszczą czoła i krzywią usta z bólu. Mają nogi jak patyki i kości policzkowe obciągnięte cienką warstwą skóry.

Ulica jest zablokowana, tworzy się korek, ale nikt nie trąbi, nie przeklina. Przechodnie zatrzymują się, pytają, jak mogą pomóc. Może chociaż w kiosku za rogiem kupią butelkę wody mineralnej?

W ciągu dwóch godzin karetki wywożą piętnastu mężczyzn. Wieczorem zabiorą jeszcze kilku.

Youseff, który jest członkiem Forum Imigrantów Krety i który pomagał w przygotowaniu protestu, choć sam nie strajkuje, mówi, że wcześniej było spokojnie. Mężczyźni czuli osłabienie, ale stopniowo oswajali głód. Wieczorami siadali w ogrodzie przy gazowych piecykach, rozmawiali, naradzali się, grali w szachy lub oglądali filmy wyświetlane na prowizorycznym ekranie. Co piątek mieli wideokonferencję ze strajkującymi z Salonik. Ktoś najwyżej zemdlał, u kogoś stwierdzono problem z sercem – jechali do szpitala i wracali. Pojedyncze przypadki.

– Teraz? Sam widzisz, w jakim są stanie. Oni od samego początku mówili, że będą walczyć do upadłego, że może chociaż ich śmierć coś zmieni, pomoże innym. Mieli już dość wysyłania listów i petycji do władz, urządzania demonstracji, z których nic nie wynikało. Ten strajk to wynik gniewu, który się w nich zbierał przez lata, gniewu i poczucia bezradności. A chodzi o jeden znaczek, który wklejają do paszportu. *Adia paramonis* – prawo pobytu.

Gdy mówię o kryzysie ekonomicznym w Grecji, Youseff uśmiecha się – nie muszę nawet kończyć pytania.

– Ciągle to słyszymy. Że imigranci ponoszą odpowiedzialność za kryzys, że go pogarszają. Nie rozumiem, jak można coś takiego wymyślić. Odpowiedzialny jest rząd, bo nie umie sobie z kryzysem poradzić, nie imigranci, którzy od lat pracują, zarabiają pieniądze, wynajmują mieszkania, kupują żywność, a na dodatek nie mają żadnej opieki socjalnej. Nie mogą iść do lekarza, nie zapracują na emeryturę.

Mohamed ma na sobie grubą, pikowaną kurtkę zimową, czapkę i rękawiczki. Obserwuję go, gdy rozrywa małą saszetkę

z cukrem i wsypuje jej zawartość do butelki z wodą. Przez chwilę miesza i wypija kilka łyków. To cały jego posiłek. Nie chce powiedzieć, z jakiego kraju pochodzi – ważniejsze jest to, że jest imigrantem, bo jego protest ma pomóc wszystkim nielegalnym, niezależnie od tego, skąd są. Nie przyszedł do nich jeszcze nikt z rządu. Już tyle dni głodują, a nie pojawił się nawet jeden minister.

– Może wiedzą, że nie będziemy negocjować. Że nie ustąpimy.

Chodzą bardzo wolno, jakby bolesny był każdy krok. Niektórych trzeba eskortować do toalety, bo są zbyt słabi, by iść samodzielnie. Wszyscy w kapturach, szalikach, z nogawkami spodni wciśniętymi w grube skarpety, żeby nie tracić ciepła. Jest koniec zimy, kilka marnych stopni powyżej zera.

Jeden z mężczyzn staje przy plastikowej umywalce i wolno myje zęby, z widocznym trudem wypluwa mieszaninę pasty i śliny. Później człapie w kierunku schodów – marmurowych, krętych. Zanim wejdzie na samą górę, stanie na jednej z dwóch wag. Pięćdziesiąt jeden kilogramów – i to w grubej, zimowej kurtce, z butelką wody w kieszeni. A przecież jest wysoki, mógłby ważyć dwa razy tyle.

Zanim poproszę o rozmowę Ahmeda, widzę, jak krzyczy na jakiegoś Greka z komitetu solidarności, który wszedł do ogrodu z kubkiem kawy. – Nawet kawy nie wolno? – dziwi się Grek. – Nawet kawy! Wypij ją na ulicy i dopiero wróć.

Ahmed jest w Grecji od prawie siedmiu lat. Mieszkał w różnych miejscach, najdłużej na Krecie. Jego ostatnie stanowisko to pomocnik stolarza. Ma na sobie gruby dres. Z czoła zwisają mu frędzle chusty owijającej głowę.

– Najbardziej chciałbym móc odwiedzić moją rodzinę w Maroku. Mam pięcioro rodzeństwa i starych rodziców. W

domu nikt nie pracuje. Wysyłam im pieniądze.

– Tylu twoich kolegów już wylądowało w szpitalu. Masz jeszcze siły?

– Jutro zabiorą kolejnych, to już pewne. My nie gramy, nie udajemy. Od początku zapowiadaliśmy, że albo dostaniemy to, po co tu przyjechaliśmy, albo nas stąd wywiozą na cmentarz. Tak czy siak to będzie nasze zwycięstwo.

*

Znajomy dziennikarz z Krety opowiada mi o innym jeszcze strajku, niedaleko, po drodze do Ypatii. Afgańczycy, którzy domagają się azylu politycznego. Idę.

Na pięknym dziedzińcu przed budynkiem uniwersytetu protestujący rozbili kilka namiotów i koczują tak już ponad trzy miesiące. Może dwudziestu, może trzydziestu ludzi, choć były momenty – jak twierdzi Ezmeraja – że strajkowało dwieście osób. Także kobiety z dziećmi.

Ezmeraja jest w moim wieku, ma dwadzieścia siedem lat. W Afganistanie pracował jako nauczyciel angielskiego i grał w lokalnej drużynie piłkarskiej. Ojciec i brat zginęli podczas wojny. Jego samego chcieli zatłuc talibowie. Bo niby molestował siostrę jednego z nich, swoją uczennicę. On jej tylko pomagał. Dziewczyna nie miała głowy do języków, więc zostawała po lekcjach, a on jeszcze raz tłumaczył jej różnice między *present simple* a *present continuous*. Nawet jej nie dotknął. Nawet o tym nie pomyślał. Ale ludzie zaczęli gadać, talibowie się dowiedzieli i urządzili polowanie. Musiał uciekać i zostawić samotną matkę.

ONZ i Unia Europejska już wiele razy upominały Grecję za nieskuteczną politykę azylową i niewydolność instytucji, które

ją realizują (w 2009 roku Grecja pozytywnie rozpatrzyła zaledwie jedenaście wniosków o azyl polityczny. Z ponad trzydziestu tysięcy – 0,04 procent).

Afgańczycy rozwiesili między pomarańczowymi drzewkami transparenty i wielkie zdjęcia, na których widać ludzi z zaszytymi ustami. Trzy kobiety i trzech mężczyzn. Ezmeraja prowadzi mnie do namiotu, gdzie przebywa jeden z nich. Jeszcze dzień wcześniej jego wargi były złączone dwoma pionowymi szwami – ale wdało się zakażenie i jeden szew został usunięty. Miejsca wkłuć znaczą cztery wielkie kropy.

*

Wracam do Ypatii. Sprzed budynku odjeżdżają karetki. W ogrodzie tłum. Za stołem siedzą cztery osoby z komitetu solidarności. Przed nimi mikrofony, kamery i kilkoro dziennikarzy.

Zaczyna doktor Karambelis: – Mamy trzydziesty szósty dzień strajku głodowego imigrantów. Następnych dwóch mężczyzn właśnie wysłaliśmy do szpitala. W sumie przebywa ich tam już dwudziestu czterech. Trzydziestu sześciu kolejnych odmawia przyjmowania wody, soli i cukru. Mają ostrą niewydolność nerek i za chwilę także znajdą się w szpitalach. Sytuacja jest bardzo poważna.

Youseff: – Jutro o dwunastej przed parlamentem, na placu Syntagma, odbędzie się wiec poparcia dla trzystu głodujących imigrantów. Zapraszamy wszystkich, którzy chcą okazać im swoją sympatię. Razem wezwiemy trzystu posłów, żeby nareszcie zareagowali i zrobili to, co do nich należy. Nie ma nad czym debatować. W przeciwnym razie będziemy mieli

w Grecji ludzi, którzy umierają z głodu i pragnienia. W dwudziestym pierwszym wieku.

Dziennikarze pytają Youseffa o doniesienia z Salonik, gdzie przy zabranym do szpitala mężczyźnie lekarz kazał zostawić jedzenie, choć ten stanowczo odmawiał zakończenia głodówki. – Potępiamy takie zachowania!

Widzę Ektifa, jak powoli wychodzi z piwnicy. Jedną ręką trzyma się ściany. W tym samym swetrze i zabawnym czarnym turbanie na głowie. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie, pyta, jak się mam. Nie bardzo chce rozmawiać. Mówi, że nie czuje się najlepiej, że jest bardzo słaby.

Ktoś przywozi wodę. Samochód staje na środku drogi. Zgrzewki latają z rąk do rąk i lądują jedne na drugich przy wejściu do piwnicy. Wśród Greków, którzy codziennie przychodzą do Ypatii i pomagają głodującym, są studenci, anarchiści, lewacy z różnych ugrupowań. Podzielili się obowiązkami. Jedni opróżniają toalety, inni dzwonią po szpitalach, pytają o wolne miejsca, a gdy jest potrzeba, do czarnych worków pakują ciuchy mężczyzn i jadą razem z nimi. Jeszcze inni mają przed budynkiem stół z ulotkami, które rozdają przechodniom. Ściany sąsiednich kamienic obwiesili wielkimi plakatami i transparentami. Czarną farbą napisali: TRZYSTU! Co pół godziny powtarzają przez megafon komunikat: „Dzisiaj trzydziesty szósty dzień strajku głodowego. Okażcie solidarność. *Adia paramonis* dla głodujących. Natychmiast". Ich głośne wezwania mieszają się z warkotem samochodów i motorów. Zniekształcają się, giną. Gdzieś obok trwa poważny remont, ciągle słychać wiercenie i pracę młotów pneumatycznych.

*

Mija półtora roku. Lecę na Kretę. Chcę porozmawiać z Youseffem i Ahmedem i sprawdzić, co faktycznie wynikło z rozmów z ministrami, które zakończyły czterdziestoczterodniowy strajk.

*

Numery telefonów i adresy dostaję od Giannisa, dziennikarza i fotoreportera z miasteczka Chania, którego poznałem w Atenach podczas strajku. Przyjechał wtedy z imigrantami i dokumentował przebieg protestu. Ma trzydzieści pięć lat i pracuje dla niezależnych mediów – radia, gazety i stacji telewizyjnej. Po kilkanaście godzin dziennie. Kiedyś przynajmniej dostawał za to niezłe pieniądze, teraz zarabia czterysta euro na rękę. Za dwudziestopięciometrową klitkę, którą wynajmuje w centrum Chanii, płaci dwieście trzydzieści euro. To dlatego próbuje rzucić papierosy – od dwóch tygodni, ale przyznaje, że jest ciężko.

Umawiamy się na piwo w przytulnej knajpie przy jednej z wąziutkich ulic starego miasta. Giannis wierci się i stuka palcami w czerwony blat. Zapaliłby! Ach, jak by zapalił!

– Czuję się stary i bezradny. Kryzys spowodował, że muszę pracować dwa razy więcej, choć o połowę spadła mi pensja. Nie mam na nic czasu ani pieniędzy. Nie mogę nawet marzyć o założeniu rodziny, o dzieciach, o własnym mieszkaniu. Przestaję się spotykać z przyjaciółmi, bo nie mogę już słuchać ich narzekań.

Giannis rozważa wyjazd za granicę. Wielka Brytania, gdzie przed laty studiował politologię, Irlandia, Niemcy, a może

dalej, może USA albo Australia, gdzie ma ciotkę i kuzynów. Gdziekolwiek, gdzie można żyć normalniej.

*

Forum Imigrantów Krety. Na piętrze starej i mocno zaniedbanej kamienicy w Chanii. Jest minikuchnia, kilka komputerów z internetem, pokój do zajęć i duża świetlica. To tu odbywały się przygotowania do strajku, wielogodzinne debaty, szacowanie ryzyka, przekonywanie nieprzekonanych. Że owszem, wiele mogą stracić, ale jest szansa, że coś jednak zyskają, że odzyskają godność.

Na jednej ze ścian wisi wielka konturowa mapa świata. Czerwonymi gwiazdkami zaznaczono na niej miejsca, skąd przychodziły wyrazy poparcia dla głodujących. Zewsząd. A już najwięcej z Europy, choć nie z Polski. Polska jest na mapie białą, samotną wyspą bez żadnej gwiazdki.

Na przeciwległej ścianie olbrzymie arkusze papieru przyklejone brązową taśmą. Pamiętam je jeszcze z Ypatii. Nazwiska osób z komitetu solidarności: Eduardo Galeano, Ken Loach, Noam Chomsky, Slavoj Žižek, Immanuel Wallerstein oraz setki innych profesorów, artystów, europosłów i europosłanek. Polskich nazwisk brak. Przestudiowałem listę dokładnie, gdy Ahmed robił mi kawę.

– Sytuacja była dramatyczna, bo w szpitalach wylądowało już stu trzydziestu głodujących, a stan pozostałych ciągle się pogarszał. Największe media nareszcie zaczęły mówić o proteście, więc władza zgodziła się na spotkanie.

Ahmed i trzej inni strajkujący reprezentowali imigrantów. Rząd przysłał czworo ministrów. Rozmowy odbywały się na neutralnym gruncie, przebiegały w spokojnej atmosferze

i trwały około godziny. Na koniec ministrowie odmówili wspólnego zdjęcia: nie, nie, nie, nie ma czasu, nie ma dobrego aparatu, lepiej nie. Ahmed żałuje, bo akurat wiceminister pracy Anna Dalara to piękna kobieta, wysoka, zgrabna blondynka.

– Ma męża. Słynnego piosenkarza – dopowiadam.

– Naprawdę? Cóż! Szkoda. – Ahmed udaje zawiedzionego, jakby właśnie stracił szansę na udaną randkę. Wszyscy wybuchamy śmiechem.

Youseff uspokaja nas, bo w pokoju obok trwają zajęcia. Dwa razy w tygodniu wpada tu nauczycielka z jednej ze szkół i za darmo uczy greckiego nowych imigrantów.

– *Fu-sta-ni. Fu-sta-ni*. – Dobiega zza ściany. – Teraz wy: *fu-sta-ni*.

Na lekcję przyszły trzy muzułmanki z małymi córeczkami. Uczą się, jak jest sukienka. Przed chwilą próbowały powtarzać: buty, spodnie, kapelusz.

– Odnieśliśmy sukces. Może trochę mniejszy, niżbyśmy sobie życzyli, ale mimo wszystko sukces – mówi Youseff. – Zmusiliśmy polityków do rozmowy, choć przez lata całkowicie nas ignorowali.

Umowa była taka: imigranci natychmiast kończą głodówkę, a w zamian dostają czasowe pozwolenie na pobyt i pracę. Na sześć miesięcy, po pół roku dostaną kolejne, później jeszcze jedno i jeszcze, aż okaże się, że są już w Grecji osiem lat. Wtedy ich pobyt automatycznie stanie się legalny. Dla jednych oznaczało to zaledwie rok czekania, dla innych trzy lata, dla innych pięć. Po kilku miesiącach minister obrony cywilnej zmienił rozporządzenie w tej sprawie i z ośmiu lat zrobiło się dziesięć.

Ponadto wszyscy strajkujący mogą swobodnie wyjeżdżać na urlopy do swoich krajów, odwiedzać rodziny i legalnie wracać do Grecji.

– Latamy przez Turcję, Tunezję albo Egipt i tak samo wracamy. Przez Włochy czy Hiszpanię do Maroka nie możemy, choć byłoby dużo taniej – mówi Abdrazak, który niedawno, po raz pierwszy od sześciu lat, odwiedził swoich starych rodziców. – Nie dla nas tanie latanie – śmieje się, bo ciągle ma w pamięci pieniądze, które musiał wydać, żeby do Grecji w ogóle się dostać. Najpierw samolot do Stambułu, później transport na granicę, w rejon Orestiady, wreszcie nocny „rejs" po rzece Ewros. Kosztowało go to cztery tysiące euro!

W 2006 roku Abdrazak był jednym z pierwszych imigrantów, którzy zdecydowali się przekroczyć rzekę, zamiast przeprawić się z Izmiru na którąś z greckich wysp – wtedy pływało się raczej na Chios lub Lesbos. Dopiero gdy grecka marynarka i Frontex (w ramach akcji „Posejdon") wzmogły kontrole na morzu, trend się zmienił.

Co chwilę przychodzą kolejni mężczyźni i włączają się do rozmowy. Z trudem rozpoznaję twarze, którym przypatrywałem się w Atenach, ale oni od razu poznają mnie.

– Ooooo – mówią z uśmiechem. – *Welcome! Welcome.*

– Trudno znów zacząć jeść? – pytam.

– Przez pierwsze cztery dni dostawaliśmy jedynie chudą zupę z ryżem, którą przynosili nam ludzie z Czerwonego Krzyża. Ciężko było to przełykać. Brało człowieka na wymioty – mówi Abdrazak. – Po powrocie na Kretę przez jakieś pół roku odzyskiwaliśmy dawną wagę. A teraz? Zobacz, jakie sobie niektórzy wyhodowali okrągłe gęby, jak im brzuchy wystają spod koszulek. Kto im uwierzy, że głodowali?

Śmiejemy się, choć prawda jest taka, że głodówka mocno odbiła się na zdrowiu mężczyzn. Zimą wszyscy bardzo łatwo się przeziębiali i byli ciągle na lekach, poza tym nie mają siły, by pracować tak ciężko, jak kiedyś. Szybko się męczą i potrzebują więcej czasu na odpoczynek. Czy ich szefowie to rozumieją?

– Akurat! – mówi Ahmed. – Spróbuj się spóźnić na budowę albo wolniej szpachlować, wolniej zbierać oliwki albo zrywać pomarańcze… Zresztą po powrocie z Aten prawie połowa z nas musiała szukać nowej pracy. Nasi szefowie nie mieli problemu ze znalezieniem bardziej pokornych pracowników. Wściekali się, że niby przyjeżdżamy do Grecji, jesteśmy tu nielegalnie, oni nam pomagają, a my, niewdzięczni, mamy jeszcze czelność walczyć z greckim rządem. A won mi stąd! Ale byli też tacy, którzy rozumieli i trzymali za nas kciuki.

Na koniec pytam ich o mur z drutu kolczastego na granicy z Turcją. Ma być długi na dwanaście i pół kilometra, szeroki na półtora metra, wysoki na cztery. Budowa już trwa. Co sądzą?

– Imigranci to ludzie, nie zwierzęta.

# 5

Moja mama długo przekonywała ojca do tego naszego „wakacyjnego wyjazdu” do Polski. No, niech się zgodzi, bo przecież bliźniaki – Ula i Paweł – we wrześniu pójdą do przedszkola, dziadkowie się za nimi stęsknili, a mnie w ogóle jeszcze nie widzieli. Poza tym Edziu będzie w okolicy, na handel jedzie do Jugosławii, może wpaść do Salonik i zabrać nas w drodze powrotnej.

Musiała mu to wszystko tłumaczyć spokojnie, nie naciskać, bo gdyby zaczął coś podejrzewać, nie zgodziłby się na wyrobienie mi paszportu.

Mama pokazała ojcu list od cioci Reni, że tęsknią, że nas zapraszają, że zapłacą za samolot powrotny, że jeśli Petro nie dostanie urlopu w pracy, to przyjedź chociaż sama z dziećmi. Dziadek chory, coraz słabszy, chciałby zobaczyć się z wnukami. Prędko odpisz, kochana.

Ojciec nie przejrzał zamiarów mamy, nie zorientował się, że list od cioci Reni to efekt siostrzanej intrygi, że jego treść została ustalona we wcześniejszych listach, o których nie wiedział. Że mąż cioci Reni, wujek Edek, w Jugosławii nigdy niczym nie handlował, bo przecież dalej pracuje jako chojnowski taksówkarz.

Ojciec niczego nie przeczuwał, bo nie był w stanie. Jak to uciec? Od niego? Bez jego zgody? Bez pytania? Kobieta? Żona? Wolne, kurwa, żarty! Takie historie to nie jemu będą się zdarzać, nie w jego rodzinie i nie w jego kraju. Wakacje, urlop,

nie ucieczka. Bo co? Bo popchnął parę razy? Niechcący! Bo uderzył? Przecież obiecał, że już nie będzie.

– Dobrze, jedźcie sobie na te wakacje – powiedział mój ojciec i podpisał wniosek paszportowy. Mama wycałowała go z radości, której nie rozumiał. Data wyjazdu była uzależniona teraz jedynie od lenistwa ateńskich urzędników. Mówiło się, że na paszporty czeka się całymi miesiącami. Ojciec nawet zadzwonił do swojej siostrzenicy, która mieszkała w Atenach, i poprosił, by przeszła się do urzędu z kopertą. Marysia skorumpowała dolarami dwoje pracowników, którzy obiecali przyspieszyć sprawę, ale konkretnego terminu podać nie mogli. Pozostawało czekać.

Przyjechał wujek Edek. Przywiózł ojcu polską kiełbasę, szynkę, dwie butelki piwa.

Marysia jeszcze dwa razy chodziła do urzędu. Najpierw była uprzejma i prosząca, później darła się, że burdel, że lenistwo, że za co im płacą! Paszport przyszedł po trzech tygodniach.

Ruszamy. Ojciec pomaga w pakowaniu i macha nam na pożegnanie.

Moja mama ani przez chwilę nie żałowała, że zostawia w Grecji wszystkie swoje rzeczy: książki, ubrania, zdjęcia, płyty z muzyką. Wiedziała, że niczego nie odzyska, bo nie mogła liczyć na życzliwość ojca. Spakowała tylko to, co najpotrzebniejsze – trochę letnich ciuchów, jedzenie na drogę, pieluchy. Najgorsze, że z nikim nie mogła się pożegnać tak, jak by chciała, podziękować za pomoc ciotce Sultanie i wujkowi Ioannisowi.

Wujka Edka nie trzeba było poganiać. Jechał szybko i pewnie. Dość niechętnie zgadzał się na dłuższe przystanki. Podczas jazdy pił kawę za kawą i palił papierosy, strzepując popiół przez uchylone okno. Ćmił greckie karelie, które bardzo

mu smakowały, i smucił się na rychłą perspektywę powrotu do klubowych radomskich.

Ucieczka przebiegała zgodnie z planem. Pogoda była w sam raz, czyli nie za gorąco i bez deszczu. Nas troje na tylnym siedzeniu czarnej wołgi – grzeczni, spokojni, nie płakaliśmy ani nie rzygaliśmy. Wujek Edek zacinał równo.

On też miał już dość Grecji, choć spędził tam zaledwie dwa tygodnie. Zgodził się na udział w konspiracji i z chęcią się po nas wyprawił, ale chciał wracać. – To nie dla mnie, to nie moje, to nie ja – mówił mamie, która z powodu pracy nie miała czasu, żeby pokazać mu trochę miasta. Kilka razy wychodził na spacery, ale wracał zmęczony, niezadowolony.

Nic dziwnego zresztą – Saloniki nie zachwycają. Wieczny, niesłabnący hałas dużego, zatłoczonego miasta, portowe, rybie smrody, wszechobecny kurz, skwar, duchota, architektoniczny nieład. Przepełnione śmietniki, samochody, które kręcą się w kółko z braku miejsca do zaparkowania i wreszcie stają na środku chodnika, co nie wywołuje u nikogo najmniejszego zdziwienia. Wwiercający się wprost do mózgu, zwielokrotniony warkot motorów. Zbyt mało zieleni, zbyt dużo cementu.

Oburzają rosnące przy drogach, na pozór niewinne cytryny i pomarańcze, które najpierw – mimo iż z lekka przykurzone – kuszą zwodniczą intensywnością koloru, a gdy wbić w nie zęby, natychmiast napełniają usta goryczą, paraliżującą ślinianki, wielce nieprzyjemną trucizną. Miejscowi znają te ich właściwości, więc dają cytrusom spokojnie rosnąć, żółcić się, bałamucić gusta przybyszów. Pozwalają, by niezerwane owoce gniły, wysychały na wiór lub by opadłe wybebeszały się dźwięcznie pod stopami tłumu. Łasili się na nie jedynie naiwni turyści, tacy jak wujek Edek. Bo choć jest sposób, żeby

przerobić je na prawdziwy przysmak, mało kto zawraca sobie tym głowę.

Biała Wieża – przypominająca monstrualny pionek szachowy – z której kiedyś źli Turcy zrzucali do morza dobrych Greków, średniowieczny zamek, maciupkie kapliczki i kościółki, przyjemna promenada – to niewiele piękna jak na tak duże miasto. Może gdyby nie ten pożar w 1917 roku, który strawił niemal całą dzielnicę żydowską (jej mieszkańcy w większości zginęli później w Auschwitz), gdyby nie wymiana ludności – w jej wyniku zniknęli przecież z miasta muzułmanie, którzy zamieszkiwali je przez prawie pięćset lat (nowe, greckie władze szybko „poradziły sobie" z kłującymi w oczy minaretami, ze słynnymi na całą Europę tureckimi łaźniami i innymi dowodami na otomańską przeszłość Salonik).

Wujek Edek nie mówił po grecku, a Grecy nie mówili ani po polsku, ani po rosyjsku. Nie było jak poprosić o butelkę wody w kiosku albo o puszkę zimnego piwa. Wujek strasznie się więc pocił i męczył. Przegapiwszy autobus, nie śmiał wygestykulować pytania o następny, a ponieważ nic nie znaczyły dla niego wydrukowane na rozkładach jazdy te wszystkie alfy, bety, sigmy, delty i omegi, swoje spóźnienie okupował dodatkowym, kilkukilometrowym marszem w palącym słońcu, wąskimi chodnikami, tuż obok bulgocących w korku samochodów, bez choćby cienia cienia. Nieświadom ukrytych pułapek tego miasta, wypuszczał się penetrować je w niedobrym czasie oraz w nieodpowiednim ubraniu – w grubych dżinsach, koszuli i marynarce. Dźwigał ponadto te swoje niepraktyczne, zupełnie nieadekwatne do greckich warunków czarne kędziory oraz równie czarny wąs. Te spacery nie mogły być przyjemne.

Wujek Edek miał dość Grecji i jej nieznośnego skwaru, nieprzespanych z gorąca nocy, bezczynnych dni. Przede wszystkim miał dość mojego ojca. Nie mógł mu jednak przemówić do rozsądku, mimo wielkich chęci nie mógł przywalić mu w gębę. Pruł więc teraz jak szalony. Jugosławia, Węgry, Czechosłowacja.

# 6

Jane, można powiedzieć, miała szczęście. Przynajmniej więcej szczęścia niż cała reszta, która leży w niepodpisanych grobach na cmentarzu w Sidiro, na północnym wschodzie Grecji, niedaleko tureckiej i bułgarskiej granicy.

Wiemy, jak miała na imię, że pochodziła z Kenii, że miała czterdzieści sześć lat i trójkę dzieci – pierwsze urodziła jako szesnastolatka. Że była chrześcijanką, że miała liczne rodzeństwo i kochających rodziców. Że miała męża, który przedstawiał się jako J.K., że to do niego chciała dotrzeć – bo przecież nie widzieli się już ponad dwa lata. On w Grecji, harując, szykował grunt dla rodziny, ona z dzieciakami w Kenii. Umówili się, że najpierw dojedzie do niego sama, pójdzie do pracy, a gdy trochę zaoszczędzą, ściągną dwójkę najmłodszych.

Wiemy, że Jane znaleziono w stanie zaawansowanego rozkładu. W zimnej, brudnej i mętnej wodzie rzeki Ewros. Kilka miesięcy po tym, gdy utonęła. Ciało najwidoczniej musiało o coś zahaczyć, może o złamaną gałąź albo o resztki pontonu, może o starą, porzuconą łódkę – tyle ich tam dryfuje. W każdym razie wystawało z wody i w końcu znaleźli je przerażony rybak albo myśliwy, albo patrol straży granicznej.

Znamy nawet dokładną datę utonięcia – 20 września 2010 roku. Tego dnia Jane ostatni raz skontaktowała się z J.K. Wysłała SMS-a, że jest po tureckiej stronie, w okolicach rzeki,

i że wieczorem wsiada do dmuchanego pontonu. „Do zobaczenia”.

Czy razem z nią zginęli inni ludzie? Czy była jedyną, którą porwał silny prąd? Dlaczego wpadła do wody? Może łódka zaczęła przeciekać i trzeba było wyskakiwać?

J.K. chciałby też wiedzieć, jakie były ostatnie słowa Jane.

*

Mufti regionu, Ewros Mehmet Serif Damadoglou, co roku jeździ do Kairu na wielką, międzynarodową konferencję islamską. Za każdym razem mówi do kamer i mikrofonów, które nadają do wszystkich muzułmańskich krajów:

„Nie przyjeżdżajcie do Grecji, bo to żaden raj. Nie znajdziecie pracy. Nic dobrego was tam nie czeka. Grecja jest mała, nie pomieści więcej imigrantów. Już na samej granicy czekają na was pułapki: rwąca, nieprzewidywalna rzeka, zimą lodowata. Możecie łatwo utonąć albo zamarznąć na śmierć. Albo wybuchnąć, gdy staniecie na minę”.

Ponieważ mufti nie do końca ufa mediom, apeluje też do Boga. Że skoro już ci ludzie przyjeżdżają, skoro podejmują ryzyko, to niech tak chociaż od razu nie giną.

– Zawsze gdy kogoś chowam, proszę Boga: niech ten będzie ostatni! Niech tak nie umierają, biedacy, bez imienia i nazwiska, bez wiedzy rodziny, na żer dla zwierząt. Dobry Boże… Już tak prosiłem ze czterysta razy.

W biurze muftiego w Didimoticho – kilka kilometrów od Orestiady – panuje nieporządek. Nie, nie bałagan. Ot, nieład i trochę kurzu. Podobnie jak w jego cmentarnych segregatorach. Niektóre kartki wypadają od razu, niektóre trzymają się na metalowych kołach jedynie na słowo honoru.

Kilkunastu najstarszych kartek – ze starych segregatorów – brakuje, więc gdyby ktoś dziś zainteresował się na przykład grobami z lat dziewięćdziesiątych, niewiele by się z tej dokumentacji dowiedział. Z drugiej strony – kogo by te groby nagle miały zacząć obchodzić? W tamtych czasach zgony na granicy zdarzały się niezwykle rzadko. Najwyżej kilka rocznie – jacyś nieuważni Kurdowie, którzy nastąpili na minę, może kilku Palestyńczyków. Kto by pamiętał?

Nowe segregatory to zupełnie inna historia. Porządniejsze i obszerniejsze. Mufti zaczął je zakładać kilka lat temu, bodaj tuż po igrzyskach olimpijskich, które organizowała Grecja, kiedy imigranci zrezygnowali ze szlaku Izmir–greckie wyspy i odkryli rzekę Ewros (inaczej Maricę). Czyli ponad sto dziewięćdziesiąt kilometrów słabo strzeżonej granicy. Wystarczy dostać się do Stambułu i zapłacić nielegalnym przewoźnikom, którzy dowiozą nad rzekę. Później to już raczej formalność.

– Pewnie sobie myślą: rzeka to rzeka, a morze to jednak morze. Rzeką będzie łatwiej, szybciej i bezpieczniej. Gdyby tak było – wzdycha mufti – my dwaj nie rozmawialibyśmy dzisiaj.

Wszyscy kolejni „N.N.” mają swoje kartki spięte metalowym spinaczem. Wśród nich zawsze jest papier ze szpitala w Aleksandropolis.

Na przykład:

„numer sprawy: 62/A/2012
data sekcji zwłok: 30.03.2012
imię i nazwisko: nieznane
płeć: mężczyzna
wiek: 20–30
przyczyna zgonu: hipotermia

data wydania zwłok: 02.05.2012”

Kolejny dokument to spis rzeczy należących do osoby zmarłej. Pakuje się je do przezroczystego worka. Parę ciuchów, może Koran w wersji mini, może zdjęcie kogoś bliskiego. I tyle ma im wystarczyć na nowy początek. Oni przecież nie podróżują z walizkami na kółkach – przemytnicy, każdy to wie, to wrogowie wszelkiego bagażu. Jedna walizka więcej na łódce to jeden człowiek mniej, a każdy człowiek to pieniądze. Można mieć ewentualnie mały plecaczek – a w nim upchane na chama dwie pary majtek, zapasowe skarpetki, koszulkę na zmianę, parę dżinsów, ładowarkę do telefonu. Inne wyjście, gdyby się okazało, że plecaki zakazane – ubrać się na cebulę. Jeden sweter na drugi, bieliznę owinąć wokół głowy. Że grubo ubrani łatwiej pójdą pod wodę? Większość z nich i tak przecież nie umie pływać.

Do worka trafiają też fotografie ciała – zrobione jeszcze zanim koroner przeprowadzi autopsję.

Bo procedura jest taka: ktoś znajduje ciało. Dzwoni na policję. Policja zawozi je do szpitala w Aleksandropolis. Sekcja zwłok, badanie DNA, odciski palców, zdjęcia. I do lodówki – w nadziei, że zjawi się jakiś krewny lub znajomy, który nazwie ciało. Czasami się zgłaszają, ale rzadko, bardzo rzadko. Chłodnie w szpitalu są tylko cztery, a zwłok ciągle przybywa – więc zdarza się, że prokurator omija nakaz trzech miesięcy przechowywania i szybciej zarządza pochówek. Wtedy przychodzi kolej na muftiego.

Worek grzebie się razem z ciałem. Pisze się na nim numer sprawy – niezmywalnym markerem, gdyby zaszła konieczność ekshumacji.

W segregatorach są też zdjęcia z imigranckiego cmentarza w Sidiro, sześćdziesiąt kilometrów od Didimoticho. Widać na nich kopce usypane ze świeżej, jasnobrunatnej ziemi. Jeden obok drugiego, trzeciego, czwartego…

– Wcześniej chowaliśmy imigrantów na naszych, muzułmańskich cmentarzach: w Adriani, w Didimoticho, w Aleksandropolis, ale ludzie bali się, że za chwilę zabraknie miejsca dla nich samych. – Mufti i lokalna rada muzułmańska postanowili więc znaleźć miejsce na nowy cmentarz. Wybrali nieuprawiany teren po dawnym lesie. Lokalne władze umywały ręce, więc cmentarz powstał bez pozwoleń. Jeszcze do niedawna był nieogrodzony i nieoznaczony. Bramę i płot zamontowano dopiero wtedy, gdy okazało się, że dzikie zwierzęta schodzą się i kopią przy grobach. Powodem mógł być też nagły najazd dziennikarzy.

– Kogo ja tu nie miałem? – mówi mufti, tasując w dłoniach dziesiątki wizytówek. – Brytyjczycy, Holendrzy, Norwegowie, Niemcy, Amerykanie. Największe telewizje i gazety. Poszła plotka i niektórzy pytali o masowe groby. Powtarzam i niech pan też to napisze, że żadnych masowych grobów nie ma i nigdy nie było. Wszystkich grzebiemy oddzielnie.

Raz przyjechała też pewna francuska europosłanka (*eurovoulevtina*). Oburzała się, że cmentarz taki skromny, że nie ma dobrego dojazdu, że nikt o niego nie dba, nie pilnuje, że skandal.

– Spodziewała się marmurowych nagrobków, kiedy nas ledwo stać na całun. Zresztą co byśmy mieli na tych marmurach pisać? N.N.? Nawet narodowości nie zawsze jesteśmy pewni – po kolorze skóry oceniamy: Pakistan, Afganistan, Irak, Iran, Bangladesz, Syria, Somalia, Erytrea, Algieria. Czasami nawet nie wiemy, czy byli muzułmanami.

Z mężczyznami jest łatwiej, bo obrzezani, ale u kobiety nie poznasz. Raz mieliśmy jedną Kenijkę, niedawno. Utonięcie. Pochowaliśmy ją po naszemu, w Sidiro, a pół roku później zjawił się mąż. Mówił, że była chrześcijanką, że chciałby przenieść żonę na inny cmentarz.

Nie, mufti nie pamięta, jak się nazywała. Jane czy nie Jane. Umarli przecież do niego nie mówią. Jeśli potrzebuję szczegółów albo informacji o żywych imigrantach, to mam rozmawiać z lokalną policją w Orestiadzie i ludźmi z Frontexu. Wszystko mi powiedzą.

– Tak, tak, dziękuję, już się z nimi umówiłem – odpowiadam.

*

J.K. przez pół roku nie miał od Jane żadnych informacji. Odchodził od zmysłów i przeczuwał najgorsze. Przyjechał z Aten do Orestiady. Poszedł na policję i opowiedział, o co chodzi. Że wtedy a wtedy, w tym mniej więcej rejonie, że Kenijka, że taka wysoka, szczupła, takie a takie włosy. Dziewięćdziesiąt procent nielegalnych imigrantów to mężczyźni, kobiet jest niewiele, więc może się uda. Szukają i znajdują. Ale dla pewności robią jeszcze badanie porównawcze DNA. Na potwierdzenie trzeba było czekać siedem miesięcy.

Jane. Jego kochana Jane, great lady, jak o niej mówił, silna, pełna energii, odważna i pracowita.

*

– Ostatni przypadek?

Mufti zerka do segregatora.

– Marzec, koniec ostrej zimy. Młoda dziewczyna z Somalii. Zmarła z wyziębienia. Przepłynęła rzekę, ale w nocy trzymał mróz. Nie wytrzymała do rana. Ludzie znaleźli ją leżącą przy drodze.

A przed Somalijką były kości. Gdy tylko stopniał śnieg, ktoś zauważył porozrzucane obok siebie kości. Na polu minowym. Zbadali je w szpitalu i okazało się, że człowiek musiał nadepnąć na minę. Rozerwało go. Cztery lata tam leżał albo i więcej.

– Wyczyściliśmy je i pochowaliśmy.

Dopóki zwłoki znajdowano sporadycznie, mufti i okoliczni muzułmanie sami organizowali pochówki. Sami obmywali ciała, jeśli jeszcze się do tego nadawały. Sami organizowali trzyczęściowe całuny dla mężczyzn i pięcioczęściowe dla kobiet. Sami kopali groby i wzmacniali je drewnianymi belkami. Później nie dawali już rady. Szczególnie ciężko bywało zimą, bo temperatura spada wtedy do minus dwudziestu stopni. Ziemia zamarza i łopatą jej człowiek nie ruszy. Potrzeba buldożerów.

– Jednej jesieni bez przerwy padało, więc rzeka gwałtownie przybrała i była jeszcze bardziej niebezpieczna niż zwykle. Utonęła cała grupa – dwudziestu pięciu młodych Pakistańczyków. Samo wykopanie grobów zajęłoby nam dwa dni.

Z pomocą przyszło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Atenach, które zaczęło zwracać koszty pochówku. Ale ponieważ lokalni przedsiębiorcy pogrzebowi kłócili się między sobą o każdego denata, władze regionu zorganizowały przetarg na najlepszą ofertę. Musiała być atrakcyjna i zakładać między innymi przewiezienie zwłok ze szpitala, wykopanie grobu, kupno kosmetyków do obmycia ciała. Zgłosiło się dziesięć

firm. Wygrał zakład, który wycenił usługę na czterysta pięćdziesiąt euro plus VAT (jedenaście procent).

# 7

Kiedy wjechaliśmy do Chojnowa, mając za sobą prawie czterdzieści godzin jazdy z krótkimi przystankami na jedzenie i toaletę oraz jednym dłuższym, podczas którego przespaliśmy się w cieniu rozłożystego dębu, moja mama poprosiła wujka Edka, by zatrzymał się na parkingu w rynku. Wszyscy odczuwaliśmy mocne zmęczenie, choć mnie samemu, jak podejrzewam, było wszystko jedno. Bliźniakom puchły z gorąca małe stópki. Wujek nerwowo stukał palcami w kierownicę – pięć godzin temu skończyła się kawa w termosie.

– Jedną chwilkę i jestem z powrotem – rzuciła mama, wysiadając.

Chciała podskoczyć do cukierni, bo wydawało jej się, że głupio tak wracać do domu z pustymi rękoma, nawet gdy się wraca tak, jak ona wracała. Niechby choć trochę było z tego jej przyjazdu radości. Z jej listów sączyło się wystarczająco wiele goryczy. Kupiła dziesięć pączków i kilogram sernika. Wiedziała, że nikt nie spodziewał się ani prezentów, ani słodyczy. Czekali na nią i na nas, nie na prezenty. Ale mimo wszystko trochę głupio. Chciała też choć na chwilę jeszcze odwlec moment spotkania. Wiedziała, jak będzie wyglądał: zacznie się od płaczu, od pytań, od użalania się nad nią i nami, śpiącymi twardo na tylnym siedzeniu, odkąd tylko nad ranem przekroczyliśmy ostatnią granicę, z Czechosłowacją. Wstydziła się tego, jak wyglądała, jak bardzo schudła, jak się postarzała. Bała się reakcji rodziców, braci i sióstr, którzy

pewnie w komplecie nas wyczekiwali. Wiedziała, że później będzie dobrze, że za kilka dni zacznie pomagać w gospodarstwie, a domownicy przestaną ją o wszystko wypytywać i patrzeć na nią z politowaniem. „Kilka dni. Dam radę" – myślała, otwierając drzwi sklepu.

Sprzedawczyni Janina Porębska, od dwudziestu pięciu lat stojąca za ladą jednej z dwóch chojnowskich cukierni, nie rozpoznała w mojej mamie ślicznej żony Petrosa. Stała przed nią mizerna, zmęczona kobieta, z krótkimi rozczochranymi włosami, w dziwacznych okularach przeciwsłonecznych. A przecież została zaproszona na ślub moich rodziców zaledwie trzy lata wcześniej, jako była sąsiadka i przyjaciółka ciotki Kuli, a w zasadzie to całej rodziny (moja babcia swego czasu uczyła ją robić baklawę i nasączane syropem ciasta. Janina próbowała sprzedawać greckie desery, ale chojnowianie nie przyjmowali ich zbyt entuzjastycznie).

– Ładny to był ślub – czasami wspominała. – Zosieńka wyglądała tak pięknie. Uśmiechnięta, w eleganckiej biało-granatowej garsonce i małym kapelusiku z woalką. Petros równie szykowny, w brązowym garniturze, wysoki, dobrze zbudowany.

Sama Janina wystroiła się tego dnia w czerwoną garsonkę, natapirowała włosy. Rzucała ryż i cukierki, gdy młodzi wyszli przed kościół. A później, kiedy przyszła jej kolej, życzyła wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia, dużo zdrowia, pieniędzy i miłości. I powodzenia w tej Grecji, żeby wam było przynajmniej tak dobrze jak tutaj albo jeszcze lepiej. I odwiedzajcie nas czasami, przyjeżdżajcie na wakacje. Macie u mnie dożywotnio najlepsze eklery gratis. No chodź, Petro, daj całusa. A ty, Zosieńko, bądź dla niego dobrą żoną, bo to porządny chłopak. Załatwiła rabat na weselne ciasta,

a w prezencie dała komplet do kawy na sześć osób. W Chojnowie mówiło się na nią Cukierniczka.

Teraz przed właścicielką cukierni stało straszydło. „Nie znam – pomyślała. – Pewnie z Legnicy albo z wioski jakaś. Tyle ich za pracą przyjeżdża. Ale czemu ona taka zaniedbana? Coś by zrobiła z tymi włosami".

Moja mama celowo unikała jej spojrzenia, cieszyła się, że Cukierniczka jej nie rozpoznała. Nie chciała z nią rozmawiać. Nie tamtego dnia. Porozmawia za parę miesięcy. Odmieniona, z włosami zafarbowanymi na jasny blond, lekko umalowana, w dopasowanym płaszczyku. Przyjdzie do sklepu i kupi to samo: dziesięć pączków i kilogram sernika. „Zosieńko!" – wykrzyknie wtedy Cukierniczka.

„Niech je zetnie albo zrobi sobie trwałą" – mówiła do siebie Porębska, widząc przez okno, jak moja mama wsiada do samochodu i odjeżdża w kierunku Osetnicy.

# 8

Kto wie, może być, że to przez te dzikie zioła, które Ikaryjczycy codziennie ponoć zrywają na swoich łąkach. Listek tego, cztery źdźbła owego, dwa listki tamtego, zaparzyć, wypić. Gotowe. Amerykanie, którzy kilka lat temu przyjechali zbadać Ikarię pod kątem długowieczności wyspiarzy i ich odporności na wiele chorób, wysłali zioła do analizy i wyszło, że wszystkie są moczopędne. Czyli dobre na nadciśnienie, czyli zdrowsze serce, czyli mniej zawałów, czyli dłuższe życie.

Naukowcy mówią też, że pozytywny wpływ ma mocne wino, które Ikaryjczycy robią w przydomowych tłoczniach i piją codziennie do późnego obiadu. Oraz że to przez miód, który sami produkują. Że przez słodką kawę po grecku, której wypijają trzy filiżanki dziennie. Że poza tym przez warzywa, których zjadają dużo i na pewno więcej niż owoców. Że nie szaleją z mięsem, że za to mają fioła na punkcie ryb. Że przez słońce, przez mikroklimat, przez drzemki, które chętnie sobie ucinają popołudniami.

A Irena mówi, że jej zdaniem to przez trudy życia i ciężką pracę.

Jej ojciec na przykład zahartował się w młodości, podczas wojny domowej, gdy ukrywał się w górach Ikarii. Siedem długich lat, żeby w końcu trafić do Polski. Było ich w sumie dziewięciu. Komuniści, na których greckie władze wydały wyrok śmierci. Tyle dobrego, że kobieta na poczcie przez przypadek przeczytała telegram z ich nazwiskami: że

natychmiast zatrzymać i zamknąć w więzieniu. Pobiegła i zawiadomiła wszystkich dziewięciu, a oni uciekli w góry.

Był rok 1948, wojna skończyła się porażką komunistów kilkanaście miesięcy później, ale wyroki nadal obowiązywały. Wiele osób wiedziało, gdzie ukrywają się poszukiwani komuniści, bo przecież nosili im jedzenie, picie, ubrania. Znali te skalne wyżłobienia, te schowki pod podłogami w domach sąsiadów i inne kryjówki. Nikt się nie wygadał. Nikt. A policja i wojsko ciągle ich szukały i dręczyły żony, rodziców i dzieci. Raz przyjechało z Aten trzy tysiące żołnierzy, którzy bezskutecznie przeczesywali góry. Nic z tego. Komuniści znali teren jak własną kieszeń – wiedzieli, gdzie instalować się zimą, gdzie w deszcz, a gdzie jest najlepszy cień w upalne lata. Aż w końcu jeden kapitan zgodził się wywieźć ich z Grecji. Z Ikarii popłynęli w kierunku Krety, okrążyli Peloponez i dotarli do Albanii. Stamtąd dostali się do Rumunii, skąd następnie pojechali do Warszawy. Pojawili się w Polsce dokładnie 24 października 1956 roku – załapali się na słynne przemówienie Gomułki. Pierwszy obraz: nieprzebrane tłumy na placu Defilad.

Ojciec Ireny miał osiemdziesiąt cztery lata, gdy umarł na zawał serca. Niedawno. Akurat byli na Ikarii, na wakacjach, jak co roku. Przyjechali z Warszawy kilka dni wcześniej. Poszedł popływać, tak jak dzień wcześniej i jak dwa dni wcześniej. Nic mu nie dolegało, gdy wchodził do wody…

Ale jego solidny wiek to i tak nic w porównaniu z wujkiem Ireny. Wujek Ioannis ma sto trzy lata. Irena nie wie, czy będę go mógł odwiedzić, to zależy od jego humoru. Ma lepsze i gorsze dni. Lepsze to takie, gdy jeszcze odrobinę słyszy, a gorsze, gdy jest zupełnie głuchy i wtedy nie chce mu się gadać z ludźmi. Zdarzają się na zmianę.

– Ale spróbuj – mówi Irena – może będziesz miał szczęście. – Obiecuje też, że zadzwoni do swoich krewnych i uprzedzi o moim przyjeździe.

*

Samolot, a raczej samolocik, leci z Aten pół godziny. Okrąża wyspę, bo lotnisko jest na wschodnim krańcu. Pas, a raczej pasek startowy, jest tak krótki, że trzeba zamknąć oczy i pomagać w hamowaniu siłą podświadomości i własnymi nogami, bo człowiekowi się wydaje, że maszyna jak nic rozbije się o skały.

Oczywiście, że taksówkarz zna historię ojca Ireny, wszyscy tu ją znają. To lokalny bohater. Wujka Ioannisa też kojarzy, bo czasami Bułgarka, która się nim opiekuje, dzwoni i prosi o przywiezienie zakupów – wioska, w której mieszkają, leży pięćset metrów nad poziomem morza, a autobus jeździ tamtędy tylko raz dziennie. Ale takich jak on – staruszków i staruszek – jest na wyspie więcej, dużo więcej. Właściciele hotelu, do którego wiezie mnie taksówkarz, też mają babcię – ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a za miesiąc skończy sto.

Okna mojego pokoju na trzecim piętrze wychodzą na morze. Po lewej widać port z pomnikiem w kształcie olbrzymich skrzydeł Ikara, a po prawej kilka małych nieodległych wysepek. Jeśli stanąć tyłem do morza i mocno się wychylić – widać góry, niezbyt wysokie, ale nieskończone, intensywnie zielone, a także jasne, niewielkie domy na ich zboczach.

Hotel to rodzinny biznes, większością spraw zajmuje się młode rodzeństwo Maria i Stawros. Połowa maja to dopiero początek sezonu. Jestem jedynym gościem, dlatego dostaję najlepszy pokój w dużo niższej cenie.

W wygodnym mieszkaniu na parterze żyją Maria z narzeczonym, Stawros, ich ojciec (matka zmarła na raka kilka lat temu) oraz babcia. Widzę ich wszystkich, krzątających się niespiesznie po ganku, gdy siedzę na balkonie. Na stoliku stoi taca z kawą. Stawros podlewa kwiaty, narzeczony kombinuje coś przy motocyklu, Maria siedzi na murku i sieka miętę, którą zerwała w ogródku, oraz bakłażany i cukinie – na obiad będzie *briam*, czyli zapiekane warzywa. Ojciec trzyma w ręku linę i uczy się żeglarskich węzłów, bo sobie wymyślił nowe hobby i kupił nawet niewielką łódkę. Zawsze bał się morza, dopiero na starość mu przeszło. Na jaką znowu starość – osiemdziesiąt lat to na Ikarii żaden wiek i żaden powód, by zwolnić, by z czegoś rezygnować.

Wszystkich widać oprócz babci. Ale za chwilę będzie ją słychać. Zacznie krzyczeć coś ze swego chłodnego pokoju z zaciągniętymi roletami. Krzyczy i krzyczy, ale tak niewyraźnie, że nie rozumiem ani słowa.

Przy śniadaniu Maria opowie mi, o co chodziło. Otóż babcia od pewnego czasu nie lubi się kąpać. Najlepiej, jak ją przetrzeć wilgotnym ręcznikiem tu i tam – wtedy jest spokój. Kąpiele to najgorsze przekleństwo. Czasami muszą jej dawać coś na uspokojenie i uwinąć się z robotą, zanim proszek przestanie działać. Jeszcze niedawno babcia była dużo bardziej na chodzie, ale podupadła po tej aferze ze szpitalem.

– Miała jakieś problemy z oddychaniem, dusiła się. Ze dwa lata temu. Lekarz powiedział, że trzeba do szpitala na badania. Od razu. Babcia się uparła, że nie pójdzie, bo jak pójdzie, to już po niej. Nigdy wcześniej nie leżała w szpitalu. Była przekonana, że będzie umierać. Na siłę ją wysłaliśmy. Po trzech dniach wpakowali ją w helikopter i wróciła cała i zdrowa. Tylko z tych nerwów coraz mniej chodziła, później

już w ogóle przestała się ruszać, choć z głową prawie wszystko jeszcze w porządku.

Szpital na Ikarii jest mały i słabo wyposażony, dlatego miejscowi lekarze wolą delegować cięższe przypadki gdzie indziej. Ludzie wiedzą, że helikopter nad ich głowami to zły znak. Zapewne nagłe wezwanie – poród, udar mózgu, może jakiś wypadek. Trzeba szybko lecieć na pobliskie Samos.

Irena pamięta taką historię sprzed lat, gdy o helikopterach nikt jeszcze nie marzył, a od nagłych przypadków były motorówki.

Kobieta zaczyna rodzić. Młody lekarz na stażu widzi, że będą komplikacje, i zarządza transport do szpitala na Samos. Problem w tym, że zbliża się sztorm. Chmury już nadciągnęły i zerwał się wiatr. Akuszerka oznajmia, że w taką pogodę to ona nigdzie nie zamierza płynąć. Oooo nie! Lekarz nie zmienia decyzji. Wypływają we czwórkę: on, rodząca, mąż i marynarz. Pada, wieje, łódka bez przerwy kołysze się na wysokich falach. Kobiecie odchodzą wody, a lekarz dostaje choroby morskiej. Co chwilę rzyga za burtę, a w przerwach leży na deskach i instruuje przyszłego ojca. Zanim dopłyną na Samos, noworodek zdąży się wypłakać i zasnąć w ramionach zmęczonej matki.

Jeszcze do niedawna na Ikarii był lekarz, który jak doktor Quinn leczył przeziębienia i grzybice, przyjmował porody, przeprowadzał drobne operacje i zabiegi. Teraz go nie ma, umarł. A ci nowi, mówi Irena, nie są już tak odważni.

Maria opowiada mi o pobliskich plażach, że choć kamieniste, to urocze, bo puste. Można sobie leżeć i niczym się nie przejmować. Mają też tu, w Agios Kirikos, na południowym wybrzeżu, gorące źródła, jedne z najlepszych w całej Grecji.

Radoczynne – dobre na problemy z krążeniem i nadciśnieniem.

Z kolei na północy wyspy plaże są długie, czyste, ze złotym piaskiem. A już najładniejsza jest ta, która rozciąga się dokładnie przed ich drugim hotelem. Jakieś siedemdziesiąt kilometrów stąd, krętymi dróżkami przez góry. Stawros jedzie tam jutro, żeby przygotować wszystko do sezonu, zostanie na kilka dni – jeśli mam ochotę, może mnie zabrać.

*

„Ikaryjczycy nie zmienili się jak reszta Greków. Nie interesują nas pieniądze. Nigdy nie było tu podziału na klasy. Nie było posiadaczy i posiadanych. Wszyscy byli i do dziś są równi – mówi narrator filmu *Moja Ikaria*, pszczelarz z małej wioski Raches na zachodzie wyspy. Na oko ma sześćdziesiąt pięć lat. – Nawet jeśli ktoś jest nieco bogatszy, nie będzie tego pokazywał. Nie kupi sobie nagle droższych ciuchów i nie będzie się ze swoimi pieniędzmi afiszował. Ludzie są szczęśliwi, gdy mogą się spotykać, spędzać razem czas, razem pić, jeść i tańczyć. To nasza tradycja, na którą składa się także wielka solidarność. Nie możemy tego zatracić".

Okej, Irena zgadza się, że to lekka przesada. Ikaria to żadna utopia, a film należy oglądać z przymrużeniem oka i traktować jako dokument, ale – powiedzmy – baśniowy.

Pokaz zorganizowało Towarzystwo Przyjaciół Grecji w Warszawie. Jest piątek, marcowy deszczowy wieczór. W sali może ze trzydzieści osób, większość to fanatycy greckich wakacji. Po wyświetleniu trailera Irena robi wstęp. Od razu przeprasza, że pewnie się rozgada, ale o Ikarii to ona by mogła godzinami. Mamy przerwać, gdy będziemy mieli dość.

Opowiada, że reżyser filmu Spiros Teskos również jest Ikaryjczykiem, choć większość życia spędził w Atenach. Jego rodzina, tak jak narrator filmu, pochodzi z Raches, a Raches to faktycznie zupełnie inny świat.

– Do dziś na przykład, co zresztą za chwilę zobaczycie na filmie, sklepy w Raches otwierają się dopiero późnym wieczorem. Powód jest prosty – tłumaczy Irena. – Wszyscy mieszkańcy to rolnicy. Uprawiają oliwki, winorośl, ziemniaki, zboża. Całe dnie spędzają na polach: plewią, podlewają, orzą, młócą. W międzyczasie karmią jeszcze zwierzęta i gotują jedzenie. Czas na załatwienie spraw jest dopiero po zachodzie słońca, mniej więcej od dziewiętnastej do pierwszej, drugiej w nocy. Wtedy na spokojnie można wybrać się na zakupy, na kawę z sąsiadem, po chleb. To w Raches jest ta słynna piekarnia, która otwiera się po zmroku i zostaje czynna prawie do rana. Piekarz wie, która rodzina ile czego potrzebuje. Pakuje chleby do siatek, siatki podpisuje i wiesza na hakach przy drzwiach. Ludzie przychodzą, odwieszają torby, zostawiają pieniądze. A jeśli ktoś nie zapłaci, znaczy, że nie miał. Odda innym razem, przy okazji.

Raches to także jedyne miejsce na wyspie, a być może w całej Grecji, gdzie urządza się wielkanocne *mnimosino* – wspomnienie zmarłych. Wszyscy mieszkańcy przygotowują wielką ucztę: jedni przynoszą miód, inni wino, inni domowy chleb lub warzywa, jeszcze inni mięso. Sztuki baraniny i jagnięciny lądują w wielkim kotle i gotują się od rana. Po południu przychodzi brodaty pop i święci jedzenie. Rodziny schodzą się do świetlicy około siedemnastej. Po zmroku, gdy zrobi się chłodniej, zaczynają się tańce. Na pierwszy ogień zawsze idzie miejscowe *kariotiko*.

Na podobnych zasadach urządza się *panigiria* – lokalne odpusty. Największe *panigiri* na Ikarii odbywa się co roku 17 lipca, bo tego dnia (w 1912 roku) wyspa uzyskała niepodległość. Na chwilę nawet ogłosiła się samodzielnym państwem i zdążyła zamówić u pewnego kompozytora z Wysp Jońskich własny hymn oraz zaprojektować własne znaczki pocztowe. Po pięciu miesiącach włączono ją do Grecji.

Pozostałe odpusty łączą się z imieninami świętego patrona danej miejscowości. Za jedzenie i wino 17 lipca płaci się więcej niż w najdroższej restauracji, choć są niewyszukane – gotowane lub pieczone mięso i tłusta, rzadka zupa – wywar po baraninie.

– Ludzie chętnie przepłacają – mówi Irena – bo wiedzą, że pieniądze będą dobrze wykorzystane. Dzięki nim powstały wszystkie lokalne drogi i wodociągi. Przez całe dziesięciolecia kolejne rządy w Atenach nie bardzo interesowały się odległą Ikarią, a fundusze na inwestycje płynęły głównie zza oceanu. Wszyscy wyspiarze, tych osiem tysięcy osób, mają rodziny w Ameryce – emigranci się dorabiali i podsyłali krewnym dolary albo wracali po latach, z wysokimi emeryturami, i stawiali domy albo otwierali minibiznesy, napędzając w ten sposób lokalną gospodarkę. Tak jak wujek i ciotka Ireny, kucharz i kelnerka, którzy połowę życia spędzili w Nowym Jorku.

Pracowali w knajpach i na statkach, opowiada Irena. Gdy zbliżali się do siedemdziesiątki, postanowili wrócić na Ikarię. Myśleli, że mają przed sobą kilka lat wygodnego życia opłacanego z wysokiej amerykańskiej emerytury. Tak samo myślała ich firma ubezpieczeniowa – że już długo dziadki nie pociągną. Ale czas leciał wolno i spokojnie, jak to na Ikarii. Kiedy wujek z ciotką dobili do lat dziewięćdziesięciu pięciu,

firma uznała, że coś jest nie tak, i wysłała na Ikarię kontrolerów. Do sprawdzenia było zresztą więcej staruszków – kilkanaście osób z taką samą historią. Amerykanie myśleli, że mój wujek z ciotką i pozostali już dawno nie żyją, a chciwa rodzina nielegalnie pobiera pieniądze.

Przyjeżdżają kontrolerzy, pukają do drzwi. Ciotka otwiera.

– Tak, ja to ja. Zgadza się. Dobrze macie napisane. Napijecie się państwo kawy?

– Możemy prosić o dowód, który potwierdzi, że pani to pani?

– Ależ proszę.

– Uhm. Zgadza się. A mąż? Bo nam tu wynika, że jesteście z mężem w takim samym wieku. Zastaliśmy może męża?

– Niestety, mąż jest w polu.

– Jak to w polu?

– Poszedł nakopać ziemniaków. Wróci za jakąś godzinę. Proszę siadać. Może jednak zrobię kawy?

Wujek, gdy wrócił z ziemniakami, strasznie się wściekł. Że jak oni śmią?! Że to nieludzkie tak sprawdzać człowieka, czy żyje. On sobie przecież na tę emeryturę zapracował ciężką harówką.

Ciotka zmarła trzy lata temu, ich syn w zeszłym roku. A wujek Ioannis żyje, ma sto trzy lata i jest w całkiem niezłej formie.

I właśnie po tej aferze na Ikarii pojawili się amerykańscy naukowcy, którzy chcieli odkryć sekret długowieczności.

Ostatnia część opowieści Ireny dotyczy położenia Ikarii względem innych wysp (że blisko Mykonos, Samos i Chios), klimatu, ukształtowania powierzchni, wieku ikaryjskich gór oraz tego, jak pięknie niektóre z tych starych skał wietrzeją. Bo Irena jest doktorem geografii i wykłada na Uniwersytecie

Warszawskim. Jest specjalistką od ikaryjskich skalnych tarasów, a po godzinach uczy greckich tańców.

*

Jest jedenasta rano. Stawros miał być z powrotem pół godziny temu. Załatwi jedną sprawę z kolegą, rach-ciach, wróci i możemy jechać.

Czekam przed hotelem. Wypiłem drugą kawę, pogadałem z przyszłym marynarzem, przywitałem się z babcią: *Kalimera, kalimera.* Jak się pani dziś ma? *Kala*, *kala*.

I łażę po ganku, na którym z każdą chwilą ubywa cienia. Siadam na betonowych schodach pod wielkim platanem. To królestwo czarnych mrówek, które nic sobie z mojej obecności nie robią. Albo przynajmniej tak udają. Zasuwają jak szalone między moimi bosymi stopami, które chłodzą się na zimnym cemencie. Niektóre spieszą się samotnie, niektóre całymi karawanami. Noszą kawałki tego i tamtego, coś pewnie urządzają. Patrzę na nie z góry, a one znikają w miniaturowych dziurkach albo gdzieś w trawie za krawędzią.

Minie kolejne piętnaście minut, zanim przyjedzie Stawros. Będzie zdziwiony, że na niego czekałem. Jeszcze się nie nauczyłem, że umawianie się na Ikarii ma charakter czysto symboliczny? Że ludzie nie liczą czasu zbyt dokładnie, bo on inaczej tu płynie, własnym rytmem? Wczoraj na przykład, jak zamawiałem kolację w tawernie, to czy od razu mi ją przyniesiono?

– No nie. Minęło dobre dwadzieścia minut.

– W Atenach podadzą ci po pięciu, prawda?

– Prawda.

– To nie dlatego, że nasze kelnerki wolniej pracują, kucharze wolniej kroją warzywa, a piece wolniej pieką. Nie. Na Ikarii nikt się nie spieszy. Widziałeś choć jedną osobę, która szłaby szybko albo gdzieś, nie daj Bóg, biegła?

– No nie.

Stawros tłumaczy, że mogłem spokojnie pójść na plażę, popływać, przeschnąć, a gdyby wrócił przede mną, zwyczajnie by zaczekał albo dołączyłby do mnie, bo ranek faktycznie był bardzo gorący.

Droga na drugą stronę wyspy biegnie przez góry – ciągnie się serpentynami, które raz opadają ku morzu, a raz wznoszą się tak wysoko, że człowiekowi zatyka uszy. Najpiękniejszy widok jest z miejsca, z którego wyraźnie widać oba wybrzeża – północne i południowe.

Rozmawiamy o polityce, bo za chwilę wybory. Jedne były w maju, ale partiom nie udało się wtedy zbudować koalicji, więc prezydent zarządził kolejne głosowanie. Za dwa tygodnie.

Rodzina Stawrosa to jedna z nielicznych w Agios Kirikos, która zawsze popierała konserwatywną Nową Demokrację. Dopiero obecny kryzys spowodował, że zmienili preferencje. Teraz po raz pierwszy postawią na inną partię – na małe liberalne ugrupowanie Dimiourgia Xana, które powstało parę miesięcy temu i składa się w większości z drobnych biznesmenów. Główne hasło partii to walka z biurokracją i korupcją.

Absolutna większość Ikaryjczyków to tymczasem zdeklarowani komuniści, którzy od lat głosują na swoich.

– Ludzie na Ikarii nadal wierzą, że jedyni porządni politycy w tym kraju to komuniści. Głównie dlatego, że jeszcze nigdy nie rządzili, że nie nakradli tak jak inni. Jesteśmy najbardziej czerwoną ze wszystkich greckich wysp. Nasi lokalni merowie

i radni to wszystko komuniści. Do Aten też zawsze staramy się wysłać komunistę, ale czasami się nie udaje, bo jesteśmy w jednym okręgu z Samos, a tam żyją zupełnie inni ludzie.

Ikaryjski komunizm to także kwestia genów i efekt polityki władz w czasie wojny domowej, która – z przerwami – toczyła się w latach 1944–1949. Rządzący rojaliści chcieli za wszelką cenę osłabić walczących w górach na północy kraju partyzantów, więc wszystkich zdeklarowanych i niezdeklarowanych komunistów wysyłali w miejsca odosobnienia. Na Ikarii znalazło się prawie osiem, a według niektórych źródeł do trzynastu tysięcy takich wygnańców. Byli to głównie mężczyźni (wśród nich słynny kompozytor Mikis Theodorakis), ale zdarzały się też kobiety. Nie siedzieli w więzieniach, nie torturowano ich, mogli swobodnie się przemieszczać, pracować i zarabiać, ale mieli zakaz opuszczenia wyspy. Ikaryjczycy dzielili z nimi swoje domy. Z takiego współzamieszkiwania często wynikały małżeństwa, a później dzieci. Spora część zesłańców na zawsze pozostała już na Ikarii, a niektórzy, w kilka lat po wojnie, powracali w swoje strony.

*

Hotel jest ładny, nowy i ekskluzywny – w zasadzie kompleks kilku fantazyjnych domków ze ścianami z kamienia, podzielonymi na mniejsze apartamenty. Turkusowe okiennice i drzwi. Wszystko zbudowane na niezbyt stromym zboczu. Budynek w kształcie wieży, leżący najwyżej ze wszystkich, to chatka dla nowożeńców – dość pretensjonalna, ale z najładniejszym widokiem – w sezonie kosztuje nawet trzysta euro za noc i prawie zawsze jest zajęta.

Stawros prowadzi mnie do wielkiej recepcji z ratanowymi fotelami i nieuporządkowaną biblioteczką pełną angielskich i niemieckich kryminałów i romansów. Na ścianach wiszą kwiatowe obrazki, a podłogę zakrywa olbrzymi niebieskawy dywan. Na wszystkich przedmiotach zebrała się gruba warstwa kurzu, bo po sezonie, od dobrych pięciu miesięcy, wszystko stało zamknięte.

Ustaliliśmy, że Stawros sprawdzi, jak idą remonty, wypakuje puszki z farbą z bagażnika i pojedziemy coś zjeść – jeśli się nie myli, właśnie dzisiaj odbywa się miejscowe *panigiri*.

Maria nie kłamała, bo plaża jest faktycznie piękna – długa, z obu stron zakończona wpadającymi do morza niewysokimi skałami. Woda jest turkusowa, tak jak drzwi i framugi w hotelu, a piasek złoty. Wystarczy przejść przez ulicę i minąć znak zakazujący wstępu nudystom. Woda jest jeszcze dość chłodna, ale i tak trzy razy cieplejsza niż w Bałtyku. Dla garstki szwedzkich turystów idealna – za to miejscowi zaczną się kąpać i opalać dopiero za jakiś miesiąc.

Wracam do recepcji, oglądam zakurzone książki. Na jednym stole leży sterta płyt w papierowych koszulkach i kilka DVD z hinduską muzyką i bollywoodzkimi filmami. Jest też prawie pełna popielniczka.

– *Kalispera.* – Słyszę nagle za plecami.

– *Kalispera* – odpowiadam na powitanie. Mężczyzna w białym roboczym ubraniu ma ciemną karnację, ciemne włosy i ciemne oczy. Woła kolegów. Wszyscy czterej są do siebie bardzo podobni: niscy i z pozoru wątli. Może bracia. Wyładowują farby z bagażnika. Ciężkie, piętnastolitrowe wiadra. Pakują je na taczki i przewożą do tych domków, które wymagają odmalowania. Patrzę na nich z wysokości wielkiego tarasu, gdy przechodzą obok pustego jeszcze basenu. W tę

i z powrotem, w tę i z powrotem. Cicho, sprawnie, szybko. Nie podnoszą głów. Kilka minut i po robocie. Rozchodzą się gdzieś, znikają. Kamiennym brzegiem basenu spieszy jedynie karawana mrówek.

– Chłopaki są z Bangladeszu. Pracują dla nas już trzeci sezon – mówi Stawros.

– Są legalnie?

– Tak, oczywiście. Mamy wszystkie papiery i pozwolenia.

Ani przez chwilę mu nie wierzę.

*

Panigiri dopiero się zaczęło. Gości jest jeszcze niewielu, ale przy długich stołach w świetlicy może zasiąść co najmniej dwieście osób. Orkiestra powoli się rozgrzewa. Grajkowie stroją skrzypce i buzuki. W powietrzu czuć nieprzyjemny zapach gotowanego mięsa.

Dołącza do nas kolega Stawrosa, Pantelis – właściciel wypożyczalni samochodowej, który zabierze mnie z powrotem do Agios Kirikos. Pantelis ma czterdzieści pięć lat, siwiejące włosy i przyjemną, spaloną słońcem twarz.

Siadamy na zewnątrz, choć nadciągają chmury i zaczyna kropić. Pantelis przynosi chleb i mięso na dużym arkuszu zatłuszczonego papieru śniadaniowego. Jemy bez sztućców i talerzy. Do tego pieczone ziemniaki i sałata. I butelka mocnego czerwonego wina – plastikowa butelka, półtoralitrowa.

Pantelis nie pije – przestał niedawno, choć wcześniej żłopał dużo i codziennie. Palił przy tym jak smok. Okazało się, że ma problemy z sercem i początki depresji. Dostał silne leki, których nie można łączyć z alkoholem. A skoro nie pije i nie

pali, postanowił, że również schudnie. Przestał się obżerać i zaczął sobie urządzać długie spacery po górach. W ciągu dwóch miesięcy zrzucił dziewiętnaście kilogramów. Pomogła mu pewna dietetyczka z Aten – piękna trzydziestolatka z bujnymi i czarnymi jak smoła włosami – włosów jest tak dużo, że ledwie mieszczą się na zdjęciu, które oglądam. Konstantina, w skrócie Tina, najpierw wysyłała e-maile ze wskazówkami, czego Pantelis powinien unikać, a co mu wolno. Później były telefony i długie rozmowy, a jeszcze później przypłynęła na Ikarię. Została na weekend. Dziś przyjeżdża drugi raz, wzięła tygodniowy urlop. Pantelis odbierze ją z wieczornego promu w Agios Kirikos.

Tinie najwyraźniej nie przeszkadzają stopy Pantelisa – najohydniejsze, jakie widziałem w życiu. Wszystko przez to, że nie nosi butów. Całe lato biega na bosaka, słońce czy deszcz, od rana do wieczora. Bez butów prowadzi swój motocykl i samochód. Podeszwy jego stóp są intensywnie pomarańczowe, twarde jak kamień i przypominają spody chodaków. Są tak odrażające, że nie mogę przestać się w nie wpatrywać.

Deszcz ustaje, chmury się rozchodzą, a na horyzoncie ukazuje się Chios, południowe wybrzeże wyspy. Za pomocą lornetki dałoby się, być może, zobaczyć słynne drzewa mastyksowe. To jedyne miejsce w Europie, gdzie rosną. Z ich żywicy Grecy robią gumy do żucia, werniksy, słodkie likiery i kosmetyki.

Bezzębny dziadek namawia nas na udział w loterii. Losy kosztują pięć euro. Stawros wygrywa pachnącą świeczkę, a ja – litrową puszkę ikaryjskiego miodu.

*

Kuzyn Ireny, Michalis, wcześniej niż zwykle zamyka swój kiosk z papierosami na głównym placu w Agios Kirikos – musimy zdążyć pogadać z wujkiem Ioannisem przed jego drzemką.

Znów serpentyny, znów wjazd w wysokie góry. Widok na morze z wysokości pięciuset metrów, przez czubki akacji, cyprysów, drzew oliwnych i nagłą mgłę, która pędzi jeszcze wyżej, nie zwracając na nas uwagi.

Wujek jest w dobrym humorze. Wstaje na powitanie. Nogi ma już słabiutkie, ale pary w rękach mógłby mu pozazdrościć niejeden osiemdziesięciolatek. Skóra na twarzy cieniusieńka, prawie prześwitująca. Ma na sobie zielony wełniany sweter, co najmniej dwie koszule, ciepłe spodnie i dwie pary skarpet. Cztery razy pyta mnie, kiedy przyjechałem i co u Ireny. Nazywa ją jej greckim imieniem – Argiro.

Jego opiekunka, sympatyczna Bułgarka Katerina, parzy kawę, podaje ciastka i *tsipouro* – mocny, gorzki alkohol wyrabiany z wytłoków po winogronach. Trochę się krzywię, ale wypijam pierwszy kieliszek. Szybko zagryzam kilkoma marynowanymi oliwkami. Katerina wyjaśnia, że to swojskie, że jeden stryjeczny wnuczek przywiózł dziadkowi w prezencie trzy wielkie słoiki. Niektóre fioletowe, inne czarne – słone, cudowne. Ich smak i cierpkość alkoholu świetnie się dopełniają. Wujek Ioannis będzie namawiał do trzeciego kieliszka, ale nie dam się przekonać – mimo wszystko *tsipouro* jest wstrętne. No dobrze, skoro tak, to muszę spróbować *nerantzia*. Też swojskie – zrobione przez żonę kuzyna Michalisa. Na stole ląduje litrowy słoik. Katerina podaje kryształowe miseczki i deserowe widelczyki. Wyławiamy z gęstej zalewy kawałki pomarańczowej skórki.

Wujek Ioannis pasuje – nie lubi słodkiego. Napiłby się jeszcze, ale co to za radość pić samemu.

Żona Michalisa co roku wyprawia się na spacer po uliczkach Agios Kirikos i zrywa dojrzałe pomarańcze z drzewek rosnących przy chodnikach i tych pojedynczych wzdłuż drogi tuż za miastem. Zbiera owoce do koszyka, a później wypełnia nimi bagażnik małego peugeota.

Będzie z tego ze dwadzieścia słoików – dla siebie i na prezenty.

Kwaśną pomarańczę należy potraktować tarką – zetrzeć pomarańczowy naskórek. Później owoc poćwiartować, oddzielić miąższ od skórki. Obierki nadziać na wykałaczki, tak by przypominały żagle. Porządnie przegotować, trzykrotnie, za każdym razem zmieniając wodę. Kiedy pozbędą się goryczy, pomarańczowe żagle na powrót toną w garnku pełnym wody, razem z kilogramem cukru i sokiem z jednej cytryny. Gotować na małym ogniu, bez pośpiechu, aż zalewa zacznie gęstnieć. Wykałaczki do śmietnika, a żagle i sos do słoików. Gotowe. Pyszne, słodsze niż najsłodsze pomarańcze z Argos.

Wujek Ioannis wyciąga album ze zdjęciami. Koniecznie chce mi pokazać swoją żonę i syna, którzy niedawno umarli. Słyszy, gdy pytam go o Nowy Jork i powrót na Ikarię, zaczyna opowiadać, ale po chwili traci wątek. Nie nadąża.

Gdy mówię mu, że jestem dziennikarzem, wstaje i powoli kuśtyka w stronę szafki z książkami. Ma tam jednego Kazantzakisa, którego koniecznie muszę przeczytać. Nie, nie *Greka Zorbę* – *Ostatnie kuszenie Chrystusa*. Szuka i szuka, ale nie znajduje. W prezencie dostaję biografię pisarza – cienkie wydanie dołączone do jednej z gazet.

# 9

Raz w tygodniu, w sobotnie wieczory, moja mama zbiegała na parter do sąsiadki, pani Danusi, z którą wcześniej się umówiła, że dołoży jej do rachunku za telefon. Dlatego nie musiała za każdym razem prosić i tłumaczyć, obiecywać, że rozmowa będzie krótka, że zapyta tylko, co słychać, czy wszystko dobrze, czy nosimy czapki, bo w prognozie podają, że w Salonikach ponad trzydzieści stopni. I już. Dwie minuty, no, maksymalnie trzy. Po minucie z każdym.

Pani Danusia zamykała się w kuchni, a mama siadała w fotelu, wystukiwała długi numer i już po pierwszym sygnale, już na sam dźwięk podnoszonej słuchawki, jeszcze przed greckim *nai* (czyli „tak"), zrywała się na równe nogi.

– *Nai?*

– Dzień dobry, Zosia z tej strony. Moje dzieciaki są?

Nie przypuszczała, że tak jej będzie ciężko przez ten miesiąc. Jeden głupi lipiec. Samej siebie nie poznawała. Przecież wyjeżdżaliśmy już wcześniej – na letnie obozy nad morze, na tygodniowe wycieczki. I było normalnie. Nawet żartowała, że wreszcie sobie od nas odpocznie, że będzie cisza i spokój.

– No, wynocha, dzieciaki, nie mogę już na was patrzeć – wzdychała, gdy przed podróżą zanadto dokazywaliśmy. Teraz było inaczej. Męczyła się w samotności, mizerniała, umartwiała się. Zawsze rozważna, wyważona, jak najdalsza od egzaltacji, teraz żywiła się niemal wyłącznie radomskimi, a przed snem popłakiwała do poduszki. Prosto po pracy wsiadała na rower i jechała przez łąki do Osetnicy – pomagać

przy żniwach, choć nie robiła tego od lat. Młynkowała zboże w otwartej na przestrzał stodole, gotowała obiady albo rowerem zawoziła na pole bańki z zimnym kompotem. Wieczorami doiła krowy, czego również nie zapomniała od młodości, i pomagała ciotce skubać kury. Wracała tak umęczona, że zasypiała na siedząco, nie upiwszy nawet łyka z parującej herbaty, nie odpaliwszy trzymanego między palcami papierosa. Schudła i zmarniała. Liczyła dni do naszego powrotu i dni do kolejnej rozmowy.

– Są, są – odpowiadała „ta kobieta", trzecia żona mojego ojca. – Tylko nie gadajcie za długo, bo Petros śpi.

Na szczęście telefon był bezprzewodowy. Zamykaliśmy się z nim w naszej sypialni i zasuwaliśmy drzwi na balkon, choć i tak mieliśmy pewność, że ta idiotka podsłuchuje, a później kabluje ojcu każde słowo, odpowiednio je interpretując.

Bez specjalnych uzgodnień dokładnie wiedzieliśmy, co możemy jej powiedzieć, a czego nie, by jej nie martwić. Historie zaczynały się więc w połowie albo w połowie kończyły: że morze, że woda taka ciepła, że dobre jedzenie, że opaleni, że owszem, czapki z daszkiem na głowach, że wieczorami chodzimy po salonickim porcie, że znamy już po grecku parę słów.

Milczeliśmy o awanturach, o kłótniach z ojcem, który nazywał babcię dziwką, a o mamie mówił, że zniszczyła mu życie, że mało go nie zabiła. Że uciekła do tej swojej jebanej Osetnicy, do matki, do braci, że go okradła, oszukała. Że to oni ją namówili, wasza babcia, dziwka.

Ani słowa o komentarzach, że za dużo jemy, że go puścimy z torbami. Żeby oszczędniej z tym szamponem. Że dlaczego, do jasnej cholery, nie mówimy do niego „tato", tylko tak jakoś bezosobowo, jak do obcego? Jest naszym ojcem? Jest. Więc to

jedno mu się chyba, kurwa, należy. Że podczas jego codziennej drzemki nie możemy chodzić po mieszkaniu ani nawet otworzyć lodówki, by wyjąć z niej wodę. Nie wolno nam oglądać wtedy telewizji, a dla zabicia nudy możemy sobie poprzeglądać książki. – Twoje książki, mamuś, które tam zostawiłaś! Których nikt od lat nie otwierał, które ona jedynie czasami odkurza z wierzchu kolorową miotełką! Stoją na półkach obok twoich kryształów, wiesz?

Ani o tym, że na nasz przyjazd pozdejmowali w całym mieszkaniu dywany, pochowali lepsze talerze i szklanki. Że za parę dni ojciec wyśle nas do ciotki Sultany, bo on już nie ma sił, już nie daje rady, to nie na jego nerwy.

– A co u ciebie, mamuś?

– Dobrze, wszystko dobrze. Pomagam troszkę wujkowi w Osetnicy. Żniwa są. Gorąco. Siedzę na balkonie i czytam książki. A jaką mieliśmy wczoraj burzę! Wysprzątałam wasze pokoje. Jak jeszcze raz je tak zapuścicie, to was normalnie na zawsze wyślę do tej Grecji.

# 10

Gazi to dziś najmodniejsza dzielnica Aten. Rzut beretem z Akropolu. Na terenie byłej gazowni kwitną offowe teatry, gejowskie knajpy, rybne tawerny, centra sztuki i muzea. Stare betonowe hale przerobione na wystawiennicze lofty, ceglaste kominy, wijące się prostokątnie rury, olbrzymie fabryczne kotły noszące imiona słynnych greckich poetów. Futurystyczne, gargantuiczne graffiti. Artystyczne technopolis.

Wystarczy wyjść z metra (stacja Kerameikos), wprost na centralny plac dzielnicy, żeby odetchnąć powietrzem, w którym mieszają się oddechy coraz mniej licznych ateńskich robotników, coraz liczniejszych imigrantów, hipsterów i kolorowej bohemy.

Życie aż tętni. Czasami tak głośno, że w fundacji Klimaka – na lewo od metra – trzeba zamykać okna, bo nie słychać, gdy dzwoni telefon…

*

Stelios zapomniał przynieść ze sobą zdjęcia ojca, ale wystarczy, mówi, żebym spojrzał na niego.

– Byłem do ojca bardzo podobny.

Rzadkie, czarne włosy, wysokie czoło, malutkie, jakby schowane, ciemne oczy. Policzki wydęte jak u chomika. W wyobraźni mam sobie dodać jeszcze bujne wąsy, typowe dla starszych Kreteńczyków, ale u młodych rzadko spotykane.

– To ja go ratowałem, gdy pierwszy raz chciał się zabić. Wypił benzynę zmieszaną z piwem. Ze wstydu i desperacji, bo ludzie się dowiedzieli, że próbował oszukać bank.

Vaggelis Petrakis od małego ciężko pracował. Najpierw – jako szkrab – sprzedawał sąsiadom z górskiej wioski słodkie *loukoumi* (galaretki ze skrobi kukurydzianej, cukru, soków owocowych i orzechów), a zarobione w ten sposób drachmy, co do grosza (lepta), oddawał matce wdowie. Następnie, gdy podrósł, kupił starą ciężarówkę, handlował z niej mięsem, jeżdżąc po całej Krecie. Później wynajął niewielki warzywniak, w którym pomagali mu żona Jeorgia i młody syn Stelios. Prawdziwe pieniądze pojawiły się, gdy rodzina zaczęła sprzedawać owoce i warzywa na największym bazarze w Iraklionie. Supermarkety i hotele kupowały hurtem najlepsze pomidory, cukinie i bakłażany. Wystarczało na dostatnie życie, a z niewielką pożyczką także na kawałek „rancza" za miastem – z miejscem dla kur, królików, paru owieczek i psa. Bo Vaggelis kochał zwierzęta.

*

– Bywa, że dziennie odbieramy nawet dwadzieścia pięć telefonów. A kiedy pięć lat temu uruchomiliśmy naszą niebieską linię, tyle nie zdarzało się przez tydzień. Związek z kryzysem jest oczywisty – mówi szefowa Klimaki, psycholożka doktor Eleni Bekiari, i szybko dodaje, żebym pamiętał, że samobójstwo to zawsze wynik bardzo skomplikowanego procesu, na który składa się zespół przyczyn. Trudności finansowe to tylko jedna z nich – znacznie częstsza obecnie niż jeszcze niedawno.

Doktor Bekiari ma kojący, ale stanowczy głos – taki, który uspokaja. Przeprasza, że musiałem czekać, miała pacjenta. Musieli porozmawiać. Czy to jeden z nich, czy jego też wyciąga z samobójstwa? – pytam naiwnie. Nie może odpowiedzieć, bo to sprawy najbardziej poufne.

Pod numer 1018 można zadzwonić nawet w środku nocy, bo na miejscu zawsze jest przynajmniej jeden dyżurny psycholog lub psychiatra. Rozmowa trwa średnio dwadzieścia minut, ale bywa, że i parę godzin. Czasem człowiek jest przerażony pierwszą samobójczą myślą i pyta o radę. Wtedy wystarczy z nim porozmawiać, wysłuchać go, uspokoić, umówić się na telefon lub spotkanie za kilka dni. Gorzej, gdy dzwoni kobieta i mówi, że właśnie połknęła garść tabletek, albo mężczyzna z lufą przy skroni.

– W takich przypadkach trzeba działać szybko i jednocześnie bardzo delikatnie – tłumaczy Bekiari. – Musimy przekonać człowieka, żeby nam powiedział, jak się nazywa i skąd dzwoni. Musimy podtrzymywać rozmowę, żeby karetka zdążyła dojechać na miejsce. Nie zawsze zdąża.

Greczynki podejmują więcej prób samobójczych, ale często im się nie udaje. Wybierają mniej skuteczne sposoby albo rozmyślają się w pół drogi. Grek, jak już spróbuje, to po nim.

*

Problem pojawił się, gdy na Kretę zawitały czeki o wydłużonym terminie realizacji. Hipermarkety lub wielkie hotele płaciły dostawcom, owszem, ale papierkiem, którego okres realizacji w banku przypadał – powiedzmy – pół roku później. Handlowcy, wśród nich Vaggelis, nie byli takim rozwiązaniem zachwyceni, ale nie mieli nic do powiedzenia. Poza tym,

przeczuwając zbliżający się kryzys, cieszyli się, że w ogóle mają jeszcze odbiorców.

„Ktoś sprytny" wpadł na pomysł, który szybko się upowszechnił.

Stelios wyjaśnia na przykładzie: dojrzewający miesiącami czek opiewa na pięćset euro. Niesiemy go do banku i od razu dostajemy trzysta pięćdziesiąt. W oznaczonym dniu realizacji bank wypłaca nam kolejną stówkę, ale pięćdziesiąt euro zatrzymuje dla siebie.

– Zwykła lichwa, którą musieliśmy z ojcem zaakceptować, żeby utrzymać płynność i móc płacić naszym rolnikom.

Ale system nie mógł trwać w nieskończoność. Każdorazowy zysk banku był odczuwalną stratą Vaggelisa. Rachunek powoli przestawał się domykać. Później przyszedł kryzys i wszystkim zaczęło brakować pieniędzy.

– Bankrutowaliśmy powoli, latami, nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Okazało się, że nie mamy z czego spłacać zaciągniętych kredytów, a banki nie chciały czekać – Stelios jest wściekły, bo komornicy ciągle do niego dzwonią i domagają się, żeby spłacił długi ojca. – Straszą mnie i matkę, że przyjdzie prokurator i zabierze dom, samochód, działkę. Niech mnie wsadzą do więzienia, nie zależy mi, już raz siedziałem.

Obaj z ojcem trafili do aresztu. Na pięć dni. Wiosną 2010 roku. Vaggelis był tak zdesperowany, że posłuchał grupki oszustów i kupił od nich fałszywy czek. Bank miał się nie zorientować…

– Ojciec leżał w szpitalu, chwilę wcześniej miał operację pęcherza, kiedy na bazar przyszła policja. Nie mieliśmy z matką pojęcia, o co chodzi. Po tygodniu przyszli do domu i zabrali nas obu, bo w papierach jestem współwłaścicielem

firmy. Ojciec, płacząc i przepraszając, przyznał mi się do wszystkiego w celi. Wypuścili nas za kaucją. Do tej pory czekam na rozprawę.

Vaggelis załamał się, gdy lokalne gazety pisały o nieuczciwym handlarzu, a ludzie zaczęli patrzeć na niego spode łba. Na niego, który całe życie pomagał innym i był czysty jak łza. Stelios ciągle ma żal do sąsiadów z bazaru.

„Pamiętajcie, żeby po wykocie oddzielić samicę od małych królików" – napisał Vaggelis w liście pożegnalnym, zanim wypił miksturę z piwa i benzyny.

*

Solidarność społeczna, bardzo mocne więzi rodzinne, silna pozycja Cerkwi prawosławnej, słońce i zamiłowanie do zabawy – wszystko to powodowało, że pod względem samobójstw Grecja była przez lata na szarym końcu światowych statystyk. Wskaźniki mówiły, że na sto tysięcy Greków w ciągu roku zabijają się nie więcej niż trzy osoby – w Polsce ponad piętnaście.

– Doganiamy Europę w szybkim tempie – mówi doktor Bekiari. Dowód: w 2007 roku odnotowano trzysta dwadzieścia osiem samobójstw, dwa lata później o ponad sześćdziesiąt więcej. – W latach 2010 i 2011 sytuacja była jeszcze gorsza. Wiem to na pewno, choć władze dotąd nie udostępniły oficjalnych statystyk. Może się obawiają? Na szczęście – dodaje Bekiari – urzędnicy w Ministerstwie Zdrowia nareszcie zrozumieli, że ignorowanie problemu nie spowoduje, że problem zniknie. Sypnęli groszem, dzięki czemu Klimaka mogła zatrudnić kilka dodatkowych osób do obsługi infolinii i zacząć płacić wolontariuszom, którzy dotychczas odbierali

telefony. Powoli zaczynamy też rozmawiać o narodowej strategii przeciwdziałania samobójstwom, o którą zabiegamy od lat.

Poza tym Klimaka szkoli księży, lekarzy, pielęgniarki, policjantów i nauczycieli. To jedyna tego typu fundacja w całej Grecji.

– Ludzie muszą zrozumieć, że samobójstwo nie jest wyrazem słabości, tylko bezradności, że można mu zapobiec. Musimy być bardziej czujni i wrażliwi, musimy nauczyć się słuchać i rozmawiać.

*

Vaggelis, gdy już się opił trucizny, przestraszył się śmierci i narobił w garażu strasznego rabanu. Pozrzucał z półek wszystkie sprzęty.

– Udało się go wpakować do samochodu i zawieźć do szpitala. Kiedy doszedł do siebie, przepraszał i obiecywał, że drugi raz nie spróbuje.

– Czy szukał gdzieś pomocy?

– Tak, poszliśmy z nim do psychologa. Porozmawiali sobie pół godziny w gabinecie, po czym lekarz stwierdził, że ojcu nic nie dolega, że jest, jak to powiedział, psychicznie zdrowy.

*

Jak wynika z danych Klimaki, najwięcej prób samobójczych jest w dużych miastach, w Atenach i Salonikach, gdzie kryzys odczuwa się najdotkliwiej.

– Wiele osób traci pracę, a wraz z nią poczucie stabilności i bezpieczeństwa. W normalnych warunkach nie byłby to

wielki problem, bo człowiek prędzej czy później znalazłby coś nowego. W kryzysie nie ma na to szans. Bezrobocie wynosi już ponad dwadzieścia pięć procent – mówi doktor Bekiari. – Ludzi bolą nowe podatki, spadające pensje i rosnące ceny. Wielu emerytów nie stać na wykupienie leków, a nawet na jedzenie. Czują się ciężarem dla swoich bliskich. Często pojawia się depresja, której sami nie umieją rozpoznać…

Inaczej jest na wyspach, szczególnie mniejszych, gdzie społeczności są nie tak liczne, a ludzie – bardziej ze sobą zżyci. Prawie każdy ma kawałek pola, kilka kurczaków, własne wino i własne oliwki, więc nie trzeba się przynajmniej martwić o jedzenie. Wyspiarze – siłą rzeczy – mają też mniejsze oczekiwania i lepiej umieją sobie radzić w trudnych czasach.

– Ikaryjczycy? – odpowiada na moje pytanie doktor Bekiari. – Zdarza się, że dzwonią, ale niezwykle rzadko.

Co innego Kreteńczycy…

*

Facet od najsłodszych pomarańczy na wyspie nadal pojawia się na bazarze. Jak gdyby nigdy nic. Stelios wodzi za nim spojrzeniem, ale tamten udaje, że go nie widzi. Omija ich stoisko z daleka.

Tamtego dnia przyszedł rozliczyć się z Vaggelisem. Chciał, żeby mu oddać wszystkie pieniądze za ostatnie dwadzieścia skrzynek pomarańczy i stare, niby niezapłacone dostawy. Już! Natychmiast! W gotówce! Pierdoli jakieś jego czeki!

– Uspokój się, człowieku!

– Oddawaj kasę, oszuście!

Kłótnia przemienia się w widowisko, zlatują się wszyscy handlarze. Niektórzy to bliscy przyjaciele. Chcieli załagodzić

sytuację, udobruchać faceta od pomarańczy. Ale ten nie słucha. Nie przestaje krzyczeć.

Vaggelis nie wie, co robić. Najchętniej zastrzeliłby sukinsyna. Wybiega na zewnątrz, wsiada do samochodu i odjeżdża.

– Takim wściekłym go jeszcze nie widziałem – opowiada Stelios.

*

– Kreteńczycy są bardzo konserwatywni. Kobieta dba o dom i wychowuje dzieci, facet ma zarabiać pieniądze i utrzymywać rodzinę – tłumaczy doktor Bekiari. – Żeby podkreślić, jaki jest męski, przy każdej możliwej okazji – imieniny, wesela, lokalne odpusty – lubi wyciągnąć starą, od dawna nieczyszczoną lufę i postrzelać sobie w powietrze. Kreteńczycy są dumni i honorowi. Chętnie pomagają, ale rzadko sami proszą o pomoc. Kryzys bardzo utrudnia im odgrywanie tych tradycyjnych ról. Szczególnie ciężko mają mężczyźni. Ich biznesy plajtują, a oni zostają z długami, których się wstydzą. Uważają, że ponieśli życiową porażkę, że nie sprawdzili się jako mężowie i ojcowie.

Doktor Bekiari zerka do zeszłorocznych statystyk i podlicza samobójców z Krety.

– Około trzydziestu mężczyzn. Lokalni biznesmeni. Ale prawdziwa liczba na pewno jest większa. Trzeba by porozmawiać z ludźmi od ubezpieczeń.

Kiedy ktoś dzwoni pod 1018, ludzie z Klimaki próbują się zorientować, jak groźna jest sytuacja. Pytają człowieka, czy zdecydował już, jak się zabije. Pozorowany wypadek samochodowy to najczęstsza odpowiedź.

– Tak to sobie tłumaczą: że umrą, ale rodzina przynajmniej dostanie trochę pieniędzy na życie i spłatę długów.

*

Jadąc z Chanii do Iraklionu na spotkanie ze Steliosem, mijam co najmniej kilka miejsc, z których samochód mógłby się „przypadkowo" stoczyć, przekoziołkować po skalistym zboczu i zatrzymać na pniu starej sosny albo starego cyprysu.

*

Jeorgia i Stelios nie mogli się do Vaggelisa dodzwonić. Jeździli po okolicy, pytali ludzi w tawernach i kioskach, szukali go w pobliżu mieszkania i na „ranczu" do późnej nocy. Jak kamień w wodę.

O piątej rano pies zaczął ujadać. Jeorgia szła za jego głosem. Kiedy znalazła męża – pod oliwnym drzewem, jakieś dwieście metrów za domem – jeszcze żył, ale z rany w głowie sączyła się gęsta krew, tężejąca na policzku i siwych włosach. Miał zamknięte oczy, próbował mówić, ale nie był w stanie wydać z siebie głosu. Chwilę później umarł.

Obok leżała strzelba – ojciec Vaggelisa używał jej w czasie wojny domowej, walcząc w północnej Grecji przeciwko monarchistom.

Był też list. „Wybaczcie mi, bo bardzo Was kocham".

*Fot. 1. Tradycyjny festiwal w Choudetsi na Krecie.*

*Fot. 2. Turyści na mało uczęszczanej wyspie Anafi.*

*Fot. 3. Antymacedońska demonstracja w Chanii. Kreta, luty 2019 r.*

*Fot. 4. „W ciągu dwóch godzin karetki wywożą piętnastu mężczyzn. Wieczorem zabiorą jeszcze kilku...". Strajk głodowy imigrantów. Ateny, luty 2011 r.*

*Fot. 5. „Sanitariusze kładą ich na noszach i zanoszą do karetek. Przy każdym mniej ostrożnym ruchu wychudzeni mężczyźni marszczą czoła i krzywią usta z bólu...". Prostest głodowy imigrantów. Ateny, styczeń 2011 r.*

*Fot. 6. „Ezmeraja prowadzi mnie do namiotu, gdzie przebywa jeden z nich. Jeszcze dzień wcześniej jego wargi były złączone dwoma pionowymi szwami...". Protest imigrantów na dziedzińcu Uniwersytetu Ateńskiego, styczeń 2011 r.*

*Fot. 7. Protest głodowy imigrantów. Ateny, styczeń 2011 r.*

*Fot. 8. Protest głodowy imigrantów. Ateny, styczeń 2011 r.*

*Fot. 9. Zdjęcie, które zrobiłem w drodze na antyrządowy protest. Centrum Aten, 2011 r.*

*Fot. 10. „Piękny, neoklasyczny gmach. Sto czterdzieści lat historii – podczas okupacji naziści w jego podziemiach urządzili salę tortur. Spod zgliszcz ciągle bucha szary dym". Spalone kino Attikon. Ateny, 2011 r.*

*Fot. 11. Demonstracja Oburzonych w Chanii. Kreta.*

*Fot. 12. Masowym protestom przeciwko polityce cięć i oszczędności towarzyszyły czasem rozróby. Zadymiarze rabowali drogie sklepy w centrum Aten zamknięte na czas demonstracji. Z tej księgarni nie ukradli ani jednej książki, stłukli jedynie witrynę.*

*Fot. 13. Protestowali też studenci – przeciwko cięciom w oświacie.*

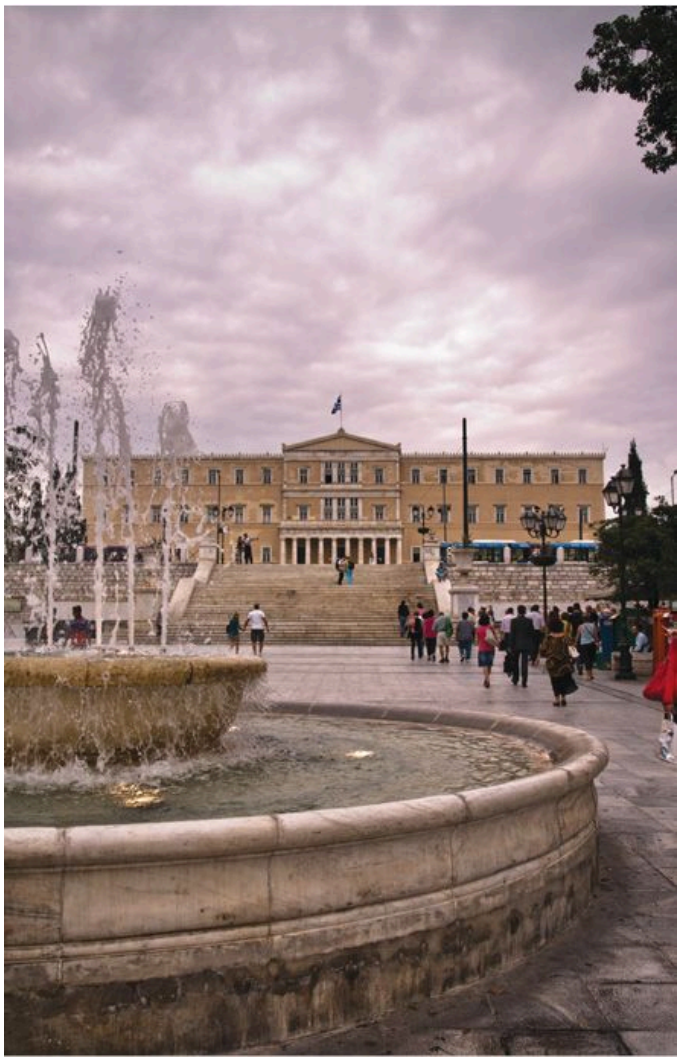

*Fot. 14. Plac Syntagma, Ateny.*

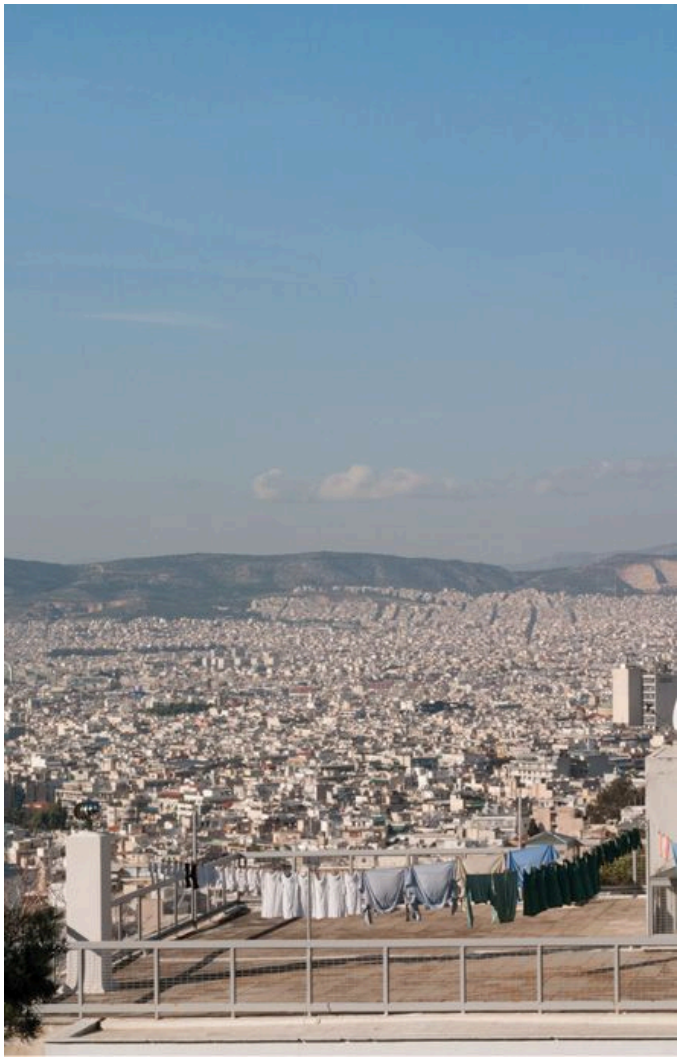

*Fot. 15. Panorama Aten.*

*Fot. 16. Metalowe skrzydła Ikara w porcie w Agios Kirikos na Ikarii.*

# 11

Na samym końcu w CV piszę, że znam grecki w stopniu średnio zaawansowanym. Wysyłam e-maila. Po paru dniach przychodzi odpowiedź: zostałem przyjęty na sześciotygodniową praktykę studencką w polskiej ambasadzie w Atenach. Lato 2004. Igrzyska olimpijskie. Wielka radość.

Zanim wylecę, uczę się na pamięć osiemnastu rozdziałów z polsko-greckich rozmówek i wkuwam liczebniki. W internecie znajduję poprawną wymowę wszystkich liter. Ani w Chojnowie, ani w Legnicy, ani nawet we Wrocławiu nie było w tamtym czasie żadnych kursów greckiego. Zapiszę się dopiero trzy lata później, gdy przyjadę kończyć studia w Warszawie.

Na szczęście okazuje się, że w ambasadzie większość załogi też nie mówi po grecku, więc problem rozwiązuje się sam.

Zatrzymuję się u Marysi, w jej przytulnym mieszkaniu w dzielnicy Vironas (od nazwiska Byrona). Marysia jest laborantką w jednym z ateńskich szpitali – mieszka w stolicy, odkąd przyjechała tam na studia z Larisy. Ma burzę blond loków i wspaniały, zaraźliwy śmiech. Z Polski wyjechała razem z rodzicami – ciotką Kulą i wujkiem Apostolisem – prawie trzydzieści lat wcześniej. Miała jedenaście lat i była potwornie nieszczęśliwa. Musiała zostawić szkołę i wszystkie koleżanki. Po grecku umiała wtedy dwa zdania na krzyż. Teraz ma spore kłopoty z polskim, cudownie przekręca wyrazy i robi językowe kalki z greckiego. Mówi na przykład: „Strasznie zgrubłam od zeszłej himony” (zimy) albo „wezmę cię telefon”.

Dziesięć lat wcześniej Marysia, na którą przyjaciele mówią Meri, rozwiodła się ze swoim mężem, a gdy przyjechałem, jej związek z pewnym psychoanalitykiem przechodził akurat poważny kryzys. Postawiła warunek: albo Dimitris zdecyduje się na kolejny krok i wspólne zamieszkanie, albo koniec z nimi.

– Kochamy się? Kochamy. To dlaczego żyć nie razem? – pyta Meri, gdy jemy śniadanie na jej maleńkim balkonie.

Ateny wydają mi się wspaniałe: olbrzymie, gorące nawet w środku nocy i czyste. Szczególnie centrum, okolice placu Syntagma. W powietrzu unosi się mnóstwo pozytywnej energii, czuć ducha igrzysk, które zaraz się rozpoczną. Grecy kończą wszystko na ostatnią chwilę – a polscy pracownicy mocno im w tym pomagają. Ze wszystkich rusztowań w mieście lecą polskie niezliczone „kurwy" i „chuje", podobnie jak ze strzyżonych pospiesznie trawników i klombów, które polscy ogrodnicy na dzień przed ceremonią otwarcia obkładają dywanami holenderskiej trawy i „obsiewają" kwitnącymi goździkami w doniczkach.

– Dawaj, kurwa, dawaj. Jeszcze musimy dzisiaj podjechać pod stadion.

– No przecież się, kurwa, spieszę.

Przez pierwszych kilka wieczorów zwiedzam i udaję zachwyt na Akropolu, na starożytnej Agorze, przed łukiem Hadriana i świątynią Zeusa Olimpijskiego. Czytam przewodniki i zatrzymuję się przy każdym wykopalisku, oglądam starożytne dzbanuszki za witrynami na stacjach metra, z trudem odszyfrowuję podpisy na wszystkich mijanych pomnikach.

Ale dużo bardziej od prastarych ruin fascynują mnie piękni, młodzi, beztroscy ludzie, których oglądam w autobusach i na

ulicy: kobiety z tymi ich gęstymi włosami i zachrypniętymi, donośnymi głosami, wysocy i szczupli mężczyźni z szerokimi brwiami. Uśmiechnięci, żartujący, wracający znad morza. Z ich rozmów wyławiam jedynie pojedyncze wyrazy.

Grupki studentów, dwa zaprzyjaźnione małżeństwa w okolicach czterdziestki, trzech kolegów z długimi włosami i w ciężkich glanach – *parea*. *Parea* to nieodmienny rzeczownik, którego znaczenie i symbolikę zrozumiem dopiero po latach. *Parea* to więcej niż paczka znajomych, to bardziej związek braterski lub siostrzany – grono najbliższych osób, które razem spędzają czas, razem świętują, bawią się, razem nudzą się w leniwe wieczory. Dzwonią do siebie, pytają o zdrowie, wyświadczają sobie przysługi, pamiętają o imieninach. *Parea* może się na nas otworzyć i wtedy stajemy się ogniwem zamkniętego łańcucha – zyskujemy przyjaciół, oddanych towarzyszy, obrońców, którzy zawsze wezmą naszą stronę. Ale jeśli nie będziemy respektować reguł – zostaniemy wykluczeni, bez większych szans na powrót. *Parea* będzie trwać bez nas.

– *Paidia! Paidia!* – Słyszę na każdym kroku. W ramach *parea*, ale nie tylko, Grecy często zwracają się do siebie per *paidia* (wym. pedia) – dzieci. Nawet staruszkowie na emeryckiej wycieczce będą się zwoływać do autobusu, krzycząc: *paidia*.

Na równi z językiem zachwyca mnie jedzenie, którego próbuję po raz pierwszy: pieczone bakłażany z pomidorami, briam, moussakas, nadziewane papryki, tzatziki, feta, oliwki, biedazupy z soczewicy i fasoli. Wszystko cudownie oleiste i słone.

Do tego palące słońce, a w weekendy plaża za miastem i zimna, orzeźwiająca frappé – rozpuszczalna kawa z mlekiem,

cukrem i kostkami lodu.

Poznaję Grecję zmysłami.

Wieczorami Marysia pokazuje mi ciekawe miejsca z perspektywy motocykla. Zakładamy kaski i pędzimy zatłoczoną ulicą. Wokół nie milkną klaksony, a jadące przed nami autobusy puszczają bąki z szarego dymu. Przy światłach zawsze jesteśmy pierwsi, bo skutecznie przeciskamy się między samochodami. Marysia nie przestaje mówić, a ja, przyklejony do jej pleców i lekko przerażony, udaję, że słyszę i przytakuję – uhm, uhm, no tak, masz rację. Uhm.

– Rok temu Dimitris wprowadził się do mnie na kilka dni, ale przeszkadzało mi, że chrapie. Trochę się *tsakotikame*, jak to powiedzieć *sta polonezika*, pokłóciliśmy. Tak, pokłóciliśmy, i się wyniósł z powrotem do siebie. O tu – Marysia wskazuje prawą ręką – wjeżdżamy na plac Omonia, tam dalej jest Politechnika, tu Uniwersytet Prawniczy. Uwaga, ostry zakręt.

Zawracamy na światłach.

– Biblioteka Narodowa, Exarchia – dzielnica studentów i anarchistów, Kolonaki – tu mieszkają same *celebrities* i bogacze.

– Uhm – odpowiadam.

– Tu jest mój szpital, niedaleko od domu, można dojść na nogach. Tu jest kino, jakbyś miał ochotę. Tędy niedługo pobiegną maratończycy.

– Tak, tak, oczywiście masz rację. Powinniście porozmawiać o ślubie.

*

W ambasadzie – zazwyczaj sennej, jeśli nie śpiącej – z okazji igrzysk wielkie poruszenie. Przyjeżdża prezydent Kwaśniewski

z córką, kilku ministrów i działacze PKOl. Trzeba ich podjąć i ugościć. Odbywają się przyjęcia w ogrodzie, koncerty, recytacje, wystawy, akcje promujące polską kulturę.

Jednego ranka zjawiam się w ambasadzie nieco spóźniony.

– Boże, jak gorąco! – mówię dla niepoznaki, że niby mój pot na skroniach to z powodu silnego słońca, a nie parującego alkoholu. Dzień wcześniej były czyjeś urodziny i do piątej rano siedzieliśmy na Areopagu, wzgórzu obok Akropolu, rozmawiając, pijąc wino i podziwiając panoramę wielkich Aten. Oprócz naszej wesołej bandy mnóstwo było zakochanych greckich par i paru muzykantów z gitarami. Ledwo zdążyłem wrócić do mieszkania, wziąć prysznic i zdrzemnąć się przez dwie godzinki.

– Gorąco, gorąco – mówi radca, zajęty przeglądaniem papierów, nawet na mnie nie spojrzawszy. – Ale nie przejmuj się, tam, dokąd za chwilę pojedziesz, jest jeszcze gorzej.

Wycieczka na Peloponez. Kilka osób z ambasady do obsługi i spora grupa VIP-ów. Busem bez klimatyzacji. Ruszamy. Korynt, Mykeny, Epidauros i Nauplion. Dużo ruin i dużo łażenia, dużo stania w słońcu, dużo mniej lub bardziej szczerych zachwytów (śmierdzący ptasimi odchodami grób Agamemnona). Ja w garniturze, pod krawatem, w skórzanych półbutach. Niewyspany i na kacu. Jemy obiad w nadmorskiej tawernie – z bólem przełykam gumowate kalmary. Niebo bezchmurne. Temperatura powyżej czterdziestu stopni. Męka.

Wieczorami jeździmy do wioski olimpijskiej – po sportowców, których zawozimy na spotkania z miejscowymi Polakami i polskimi dziennikarzami. Są tam Otylia Jędrzejczak, Monika Pyrek, Renata Mauer, Mateusz Kusznierewicz, Agata Wróbel i wielu innych.

Polonia zachwycona, przychodzi tłumnie. Wspólne zdjęcia, autografy, pytania od publiczności, podziękowania za medale. Dużo radości.

Ale świetna atmosfera i liczni klienci już niedługo wyparują z polskich kawiarni i restauracji, które gościły olimpijczyków. Od gospodarczego boomu minie zaledwie kilka lat i zacznie się kryzys, który poważnie przerzedzi szeregi tamtejszych Polaków.

*

Ateny, polska dzielnica, luty 2011 roku, apogeum kryzysu.

W cukierni Ptyś można dostać zarówno jagodzianki, gigantyczne pączki z marmoladą czy szarlotkę, jak i grecką baklawę. Właścicielka, pani Dorota, nie bardzo chce mówić do mikrofonu. – O czym chce pan rozmawiać, o biedzie? O tym, że obroty nam spadły co najmniej o czterdzieści procent? Nietrudno odmówić sobie kawałka sernika, gdy brakuje na bardziej potrzebne rzeczy.

W księgarnio-biblioteko-drogerii Novum klientów też jest znacznie mniej, choć właściciele mówią, że w kryzysie Polacy chętniej uciekają w literaturę. Szczególnie kobiety, bo mężczyźni to raczej w alkohol. Wystarczy, że wyjdę na zewnątrz – naprzeciwko jest polski kościół, przed kościołem, po prawej, brama, za bramą ogród. To nic, że jest przed południem, miejscowa żulerka urzęduje od rana. Polacy potracili pracę na budowach – dziękują Bogu, jak w tygodniu trafią się dwie dniówki. Co niby mieliby robić z resztą czasu? Z frustracją? Z wkurwieniem? Więc piją. Polki są w nieco lepszej sytuacji. – Szczególnie te – mówi właścicielka Novum – które pracują „na mieszkaniach".

Czyli sprzątają u bogatych Greków lub opiekują się osobami starszymi. To opiekunki zawyżają statystyki – kupują kolorowe magazyny i wypożyczają po trzy romanse na raz. Ich praca jest ciężka, ale momentami nudna. Jak greckie dziadki zasną, a bywa, że mogą przespać i pół dnia, to się siedzi i czyta.

W Novum spada też popyt na podręczniki, które dotąd zawsze nakręcały koniunkturę. Powód? W polskiej szkole imienia Zygmunta Mineyki (podstawówka, gimnazjum, liceum) ubyło pięćdziesiąt procent uczniów. Bo rodziny wyjeżdżają.

Pani Dorota z Ptysia mówi, że codziennie ktoś przychodzi się pożegnać. – Codziennie. Po tylu latach wracają do Polski albo jadą dalej na Zachód: do Wielkiej Brytanii, Niemiec, niektórzy do Szwecji.

W polskim kościele z rozkładu zniknęły niedawno dwie niedzielne msze, a miejscowy duszpasterz ksiądz Krzysztof Choma marznie, chodząc po kolędzie, bo choć zima, ludzie zakręcają w mieszkaniach kaloryfery. Polaków nie stać na ogrzewanie. Podczas wizyt ksiądz nie zdejmuje więc płaszcza. Parę razy zdarzyło się też, że musiał organizować zbiórki na pokrycie kosztów pogrzebu – zmarli przebywali w Grecji nielegalnie, więc ubezpieczalnie nie wypłaciły rodzinom zasiłków. A tysiąc euro to sporo.

Na budkach telefonicznych czytam polskie ogłoszenia:

„Szukam majstrów od ociepleń do Niemiec. Z własnym samochodem. Dobre zarobki. Osoby pijące – nie dzwońcie".

„Sprzedam pracę dziewczynie – opieka nad dzieckiem i sprzątanie".

„Odsprzedam dniówki".

„Wszystkim zainteresowanym kobietom i mężczyznom pomogę w Niemczech. Załatwię wszystkie dokumenty,

zakwaterowanie i dam kontakt z pracodawcami niemieckimi, greckimi, polskimi".

„Praca na Skiathos. Sprzątanie pokoi w małym hotelu. Za siedemset euro. Od zaraz. Dla kobiety odpowiedzialnej, uczciwej i z pozytywnym podejściem do pracy. Grecki komunikatywny".

„Ania, usługi fryzjerskie. Strzyżenie męskie pięć euro, strzyżenie damskie osiem euro, dzieci gratis". Telefon, e-mail, adres. Tuż obok, ulica Michail Voda, w imigranckiej dzielnicy, w centrum Aten, gdzie razem z Polakami mieszkają Albańczycy, Bułgarzy, Rumuni, Rosjanie, Pakistańczycy, Afgańczycy, Afrykanie.

*

W starożytnym amfiteatrze Herodesa Attykusa na południowo-zachodnim zboczu Akropolu występują tylko najlepsi z najlepszych greckich artystów. Tego wieczora, dokładnie w połowie igrzysk, śpiewał Georgios Dalaras – żywa legenda greckiej piosenki. Poszliśmy we trójkę: Marysia, Dimitris i ja. Koncert nosił tytuł *Morze Śródziemne mówi*. Dalaras występował z Portugalką Dulce Pontes, z tancerzami flamenco z Hiszpanii, z muzykami z Izraela, z tureckim piosenkarzem i jeszcze kilkoma innymi śpiewakami.

Noc była ciepła i gwiaździsta. Bilety wyprzedane do ostatniego. Akustyka doskonała. Akompaniament setek tysięcy niewidzialnych cykad. Marysia i Dimitris przez cały koncert trzymali się za ręce i przytulali, razem z resztą widzów śpiewali najbardziej znane utwory Dalarasa (dwa dni później pokłócą się i ostatecznie zakończą burzliwy romans. Ale gdy minie im złość, zostaną najlepszymi przyjaciółmi).

*KALI TIHI* (Powodzenia)

*Nie obwiniam cię za to, że mnie nie kochasz,*
*Twoje serce należy do ciebie.*
*Odchodzę z twoich marzeń,*
*Powodzenia, gdziekolwiek będziesz.*
*Nie mam żalu,*
*Sama rządzisz swoim życiem.*
*To ja zrobiłem błąd,*
*Nagmatwałem w twoim sercu.*
*Dlatego odchodzę z twoich marzeń,*
*Powodzenia, gdziekolwiek będziesz.*

Tamtej nocy nie znałem ani jednej piosenki, nie miałem pojęcia, o jakie chodzi w nich dramaty, nie rozumiałem ani słowa. Mimo to siedziałem i słuchałem jak zaczarowany.

Osiem lat później zaproszę Meri i Iliasa (jej nowego narzeczonego) na koncert Dalarasa do Megaro Mousikis (największej sali koncertowej Aten) – w rewanżu za gościnę i wspólny obiad sprzed kilku dni (wyprawili miniprzyjęcie w ogrodzie u Iliasa z okazji pierwszego maja. Było dużo ludzi i dobre jedzenie: świniak z rusztu i tort o żywicznym smaku mastyksu). Zarezerwuję bilety na piątkowy wieczór, ale we czwartek okaże się, że koncert odwołano. Organizatorzy obawiali się powtórki sprzed kilku tygodni, gdy w kierunku piosenkarza poleciały jogurty, woda, kubki z kawą, wyzwiska i zerwane chwilę wcześniej gorzkie pomarańcze. – *Prodotis, prodotis* (zdrajca)! – krzyczano. Dalaras dawał darmowy koncert w dzielnicy, z której kilka dni później jego żona miała

startować do parlamentu. Mieszkańcy oburzali się, że artysta niby solidaryzuje się z biedniejącymi na skutek kryzysu ateńczykami, a jednocześnie bierze udział w kampanii wyborczej swojej żony: „Taki z ciebie socjalista?! Idź, pośpiewaj swojej żonie o solidarności!".

Grecy nie zapomnieli, że Anna Dalara jeszcze do niedawna zasiadała w niby to lewicowym rządzie i głosowała za cięciami pensji, emerytur, zasiłków, wydatków na służbę zdrowia i edukację.

*

Vironas to jedna z brzydszych i biedniejszych dzielnic Aten. Same wielopiętrowe betonowe bloki, pomiędzy którymi ciągną się wąskie uliczki zastawione samochodami. Liczne budynki zdają się stykać czubkami. Sąsiadki na ostatnich piętrach, po dwóch stronach ulicy, gdyby wzięły rozbieg z przedpokoju, mogłyby przeskakiwać z jednego balkonu na drugi – nad zatłoczoną ulicą – i wpadać do siebie na kawę i *kouluria* (kruche ciastka). Partery bloków przerobiono na sklepy: minisupermarkety, warzywniaki, apteki, cukiernie i piekarnie.

Ludzie tak niedbale parkują swoje motocykle i samochody, że nawet późnymi wieczorami tworzą się korki – kierowcy trąbią i krzyczą, wołają po okolicy:

– Dureń, *malakas* (dosłownie: onanista), *pou eisai, pou eisai!?* (gdzie jesteś?)

Właściciel czarnego peugeota reflektuje się w końcu i wybiegnie z narożnego *kafenijo*, by przeparkować swoją maszynę. – *Signomi, paidia, signomi* (przepraszam).

Na Vironas jest mało zieleni, za to pełno kolorowych reklam i starych wyborczych plakatów. Ściany obdarte i upaćkane

brzydkim graffiti.

Blok Marysi oraz ten, który do niego przylega pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, są pod tym względem wyjątkowe. Ich stykające się ściany, bez okien i balkonów, zdobią wielkie malowidła w rażących kolorach: piękna, dwudziestometrowa twarz młodego Byrona, z ciemnymi włosami, z bujnym wąsem i równo przystrzyżoną bródką; poniżej jeden z jego greckich wierszy. Na drugiej ścianie *prosfyges*, czyli uchodźcy z Azji Mniejszej, którzy ponad osiemdziesiąt lat temu zakładali dzielnicę. Widać ich od tyłu. Kilka kobiet, olbrzymek z tobołkami na kijach, chustkami na głowach, w spódnicach po kostki, z dziećmi pałętającymi się u nóg. Wyruszają ze swych tureckich wiosek i idą w nieznane. Jeszcze nie wiedzą, że dotrą właśnie tutaj.

Dwie ulice dalej znajduje się główny plac dzielnicy (*platija*) z pocztą czynną do trzynastej, kilkoma modnymi kawiarniami, w których przy jednej frappé można przesiedzieć pół dnia, i tradycyjnymi tawernami. Jedzenie jest porządne, w rozsądnych cenach i smaczne – nie może być inaczej, bo klienci to sąsiedzi, znajomi, przyjaciele, nie jacyś tam turyści.

Imigranci zaczęli się osiedlać na Vironas dopiero od niedawna – od roku, najwyżej dwóch lat. Wynajmują mieszkania i cisną się w nich po piętnastu czy dwudziestu. W ten sposób jest taniej, wychodzi po pięć euro za noc. A pięć euro zawsze da się utargować – wystarczy sprzedać jedną parę podrabianych okularów, dwa filmy na DVD, pół eleganckiej torebki Louis Vuitton.

Gorzej mają ci, którzy nie załapali się nawet do handlu, którzy wychodzą o świcie, by uprzedzić służby oczyszczania miasta, i przegrzebują śmietniki w poszukiwaniu makulatury albo złomu. Czasami uda im się napełnić wózek „pożyczony”

z supermarketu, czasami nie. Są brudni, zakurzeni i milczący. Nie podnoszą głów, żeby zobaczyć, co dzieje się wokół. Idą od śmietnika do śmietnika, pchając swoje wózki po ciepłym asfalcie.

Vironas biednieje z roku na rok. W kryzysie mnóstwo ludzi potraciło pracę, a lokalni przedsiębiorcy zwijają interesy – niedawno zamknęły się optyk, tu, na rogu, sklep z ubraniami sportowymi, dwa warzywniaki, dwie małe kawiarnie i miejsce, gdzie jeszcze do niedawna kupowałem pitę *kotopoulo* (z kurczakiem) na wynos. Ale witryny tylko przez chwilę straszą pustką. Jak grzyby po deszczu na Vironas wyrastają punkty skupu złota – *agora hrysou*. Podobnie jest w całych Atenach. „Skup złota – gotówkę dostajesz na miejscu" – zachęcają plakaty. Wszystkie te miejsca wyglądają identycznie: do niewielkiego pokoiku wchodzi się wprost z ulicy, przez szeroko otwarte drzwi. Białe ściany, skórzana sofa, biurko, kalkulator i mała waga. Biznes się kręci, więc klientów musi być wielu, ale nigdy ich nie widać. Może przychodzą późno w nocy, tuż przed zamknięciem, albo w czasie sjesty, albo rano, tuż po otwarciu. Wstydzą się.

Ktoś spryskał czarnym sprejem drzwi jednego z lombardów, wielkimi literami napisał: *tokoglifos* (lichwiarz).

*

W czasie igrzysk w 2004 roku mieszkanie Marysi wyglądało zupełnie inaczej niż teraz. Dziś stoi puste, chyba że któraś przyjaciółka pokłóci się z mężem i potrzebuje lokum na kilka dni albo ja znów przyjadę relacjonować kolejne kryzysowe zamieszki. Kuchnia i łazienka zamieniły się miejscami, wyburzono jedną ścianę. Salon zrobił się przez to trochę

większy, nowe są wszystkie meble i sprzęty. Ale Marysia i tak nie lubi tam nocować. Myślała, że remont wszystko załatwi, ale nie załatwił. Od trzech lat mieszka u Iliasa, narzeczonego, który ma sklep z meblami dwie dzielnice dalej, tuż przy morzu.

Złodziej zapukał kulturalnie. Miał być koleżanką, która zjawia się na chwilę przed umówioną godziną. Kawa i ploty. Marysia otworzyła drzwi, nie sprawdzając, kto za nimi stoi. Mężczyzna w czarnej kominiarce zarzucił wokół jej szyi gruby sznur, po którym ślad będzie później widoczny przez dwa miesiące. Trzymał ją twarzą do ściany. – *Lefta!* (pieniądze) – krzyczał i coraz silniej zaciskał pętlę. Na dziewięćdziesiąt procent Grek, bo nie miał żadnego obcego akcentu. Udało mu się zerwać bransoletkę z ręki Marysi i schować łańcuszek z wisiorem, który leżał na biurku w przedpokoju. – *Lefta* – powtarzał, gdy Marysia siniała coraz bardziej, na oślep szorując rękami po białej ścianie. Tak głupio ją trzymał i tak mocno dusił, że nawet gdyby chciała, nie miałaby jak wskazać miejsca z forsą i pierścionkami. Pisnęła, że jest w ciąży. Nie była. Skąd jej się to wzięło, nie wie. Przestraszył się. Rozluźnił sznur, pchnął ją na podłogę, wcześniej jeszcze kalecząc czymś jej lewe przedramię. Uciekł, w drzwiach ściągając z głowy czarną kominiarkę. Marysia leżała jeszcze jakieś pięć minut, zanim zaczęła się wydzierać i zanim zobaczyła krew. Zleciały się sąsiadki i zjawiła się spóźniona koleżanka. Któraś z nich zadzwoniła po policję i pogotowie.

Od tamtej pory Meri nie spędziła w swoim mieszkaniu ani jednej nocy.

# 12

Poniedziałki i czwartki po półtorej godziny. Szkoła Języków Wschodnich przy Uniwersytecie Warszawskim. Grupa liczyła czternaście osób. Październik. Zaczynamy. Gdy wszyscy się przedstawiliśmy i wyjaśniliśmy, dlaczego chcemy się uczyć greckiego, lektorka spuściła na chwilę głowę, niby to szukając czegoś w papierach, i drwiąco uśmiechnęła się pod nosem.

„Historia znów się powtarza" – zapewne pomyślała rozbawiona. Odkąd Polska weszła do Unii Europejskiej i można swobodniej podróżować, kursy dla początkujących co roku zaczynają się tak samo. Połowa to studentki, które chwilę wcześniej – zakochane po uszy – wróciły do Warszawy z greckich saksów (sezonowe wyspiarskie pokojówki, barmanki, kelnerki). Przez pierwszy miesiąc będą najpilniejsze z całej grupy – wciąż naładowane greckim słońcem, miłosną energią i niezachwianą wiarą, że to właśnie ten, że to na pewno on – nie tylko będą odrabiały wszystkie zadania, będą prosić o więcej i więcej. „Bo Kostas tak się cieszy, gdy mu mówię, że się uczę greckiego". „Bo z Sakisem już nie musimy rozmawiać po angielsku". „Bo Stelios mi napisał w e-mailu, że kocha – *sagapo* – i od razu zrozumiałam".

Przed zajęciami i podczas przerw dziewczyny będą sobie nawzajem opowiadać: Ach, greckie morze! Ach, greckie upały! Ach, greckie jedzenie! Ach, muzyka! Ach, taniec! Ach, najwspanialsze trzy miesiące mojego życia! Ach, mój Stelios! Sakis! Kostas! Ach, jego motocykl! Ach, jego samochód! Ach, te wycieczki i wschody słońca na plaży! Ten błękit! Białe

domki! Ach, Santorini! Ach, Korfu! Zakintos! Ach, jadę na Boże Narodzenie! Ach, na Wielkanoc! Ach, z powrotem na lato! A potem kto wie, ach!

W trakcie zajęć będą przeszkadzać lektorce i wyrywać się ze swoją wiedzą. Ona wie, co znaczy *plaka, plaka* – że dowcip, żart. Bo Christos ciągle żartował, ciągle wykręcał jakieś dowcipy. *Agapi* to znaczy kochanie. *Se thelo* – pragnę cię, a miłość to *erotas*.

Mniej więcej w połowie listopada dziewczyny zaczną przychodzić na lekcje nieco markotne, rozkojarzone, bez początkowego zapału. Zamiast przepisywać z tablicy ćwiczenia na akcenty i koniugację, zamyślone będą bazgrały po zeszycie. Dlaczego nie odpisał? Dlaczego już nie dzwoni? Jak mógł zapomnieć o moich urodzinach? Co się stało?

W początkach grudnia będą jeszcze nadążać, choć już tylko siłą rozpędu. A to nie nauczą się zadanych przymiotników, a to nie przeczytają tekstu o pogodzie. Zawalą kartkówkę albo nie zrobią ćwiczenia z etymologii.

*tremo* (τρέμο) – trząść się, drżeć
*telegraf* (τηλεγραφ) – piszę z daleka
*anemia* (αναιμία) – coś nie tak z krwią (*aima*)
*ksenofobia* (ξενοφοβία) – strach przed obcymi
*filoksenia* (φιλοξενεία) – umiłowanie obcych, gościnność
*pseudonim* (ψευδώνυμο) – kłamiące imię
*chryzantema* (χρυσάνθεμο) – złoty kwiat
*anoreksja* (ανορεξία) – brak apetytu
*antybiotyk* (αντιβιοτικό) – przeciwko życiu (mikrobów)
*biografia* (βιογραφία) – zapis życia
*diagnoza* (διάγνωση) – przez poznanie
*dialog* (διάλογος) – przez słowa

*psychiatra* (ψυχίατρος) – lekarz duszy
*etymologia* (ετυμολογία) – prawda o słowach

W połowie zajęć będą się wiercić, przepraszać, w końcu wychodzić, bo gdzieś tam muszą pędzić. Tak, tak – będą w poniedziałek. Tak – powtórzą sobie przysłówki i zaliczą zaległy sprawdzian. Do widzenia, *geia sas*, *geia sas*.

Po nowym roku pokażą się na lekcjach jeszcze raz, może dwa, i ślad po nich zaginie. Nie wrócą na zajęcia ani do tej pieprzonej Grecji! Do tego syfu i nieznośnego gorąca, do tej wody w morzu jak rosół, do tego tłustego skąpanego w oliwie żarcia, gnijących pomarańczy, do zblazowanych facetów, tych maminsynków udających donżuanów. Gnoje: Kostas, Sakis, Stelios. Gnoje, jakich mało. *Malakes!* „Ja naprawdę myślałam, że on, że my, że… że razem, że przecież mówił, obiecywał… Chuje!".

Kiedy Ela, nasza lektorka, dostanie potwierdzenie z dziekanatu, że dziewczyny nie zapłaciły za drugi semestr, wyjaśni nam swój drwiący październikowy uśmiech.

– Co roku to samo. Poznaję je już na odległość, wyczuwam ich słomiany zapał. Znam te wakacyjne romanse i jesienne złamane serca. Szkoda na nie mojego czasu – będzie żartować. – Ale nic to. W mniejszych grupach lepiej się pracuje, a wy macie więcej miejsca.

Sala była niewielka, za to przytulna – w siedzibie Instytutu Filologii Klasycznej, z widokiem na Krakowskie Przedmieście, ze skrzypiącą podłogą w jodełkę i starymi drewnianymi meblami. Została nas siódemka, z czego czwórka to takie przypadki jak ja. Na etapie oswajania greckości, „odkopywania korzeni", fifty-fifty, jeśli chodzi o skład krwi. Dzieci dzieci wojny domowej i politycznej emigracji. Na przykład Tomek,

którego dziadek był tłumaczem przysięgłym z greckiego, zagorzałym komunistą i autorem pierwszych polsko-greckich rozmówek. Też umie powiedzieć po grecku parę słów, coś tam zapamiętał z wakacji na Chalkidiki, na które co roku od małego jeździł z dziadkiem. I tak jak ja liczy, że otworzy mu się w głowie grecka szufladka. Że coś przeskoczy, coś zaskoczy, gdzieś popłynie jakiś impuls.

„Przecież to musi gdzieś siedzieć" – myślałem z nadzieją, zapisując się na kurs. Nie mogło tak po prostu z głowy wyparować. Przecież grecki, można powiedzieć, przez chwilę był moim pierwszym językiem. Wystarczy pogrzebać – łudziłem się przez pierwsze jałowe miesiące. Wystarczy pogrzebać i od razu zacznę pisać, czytać, mówić, rozumieć.

Uczyłem się pilnie, a mimo to w lutym ostatecznie pozbyłem się wszelkich nadziei. Nic się nie otworzy, żadna szufladka.

Może jedynie w ruchomych akcentach byłem nieco lepszy niż inni – umiałem je wyczuć, nie musiałem kuć na blachę.

# 13

Joanina. Początek grudnia 2009 roku. Zimny, deszczowy wieczór – taki sam jak trzy poprzednie. Tutejsza pogoda już nas nie dziwi. Stypendium rozpoczęło się w październiku – mieliśmy czas, żeby zrozumieć (nie)pogodę Epiru, polubić wilgotność powietrza podczas upałów i rześkość w czasach ulewy. Nasza nauczycielka greckiego Margarita mówi, że kobiety w Joaninie przez cały rok noszą w torebkach okulary przeciwsłoneczne i parasol. Klimat jest wredny i nieprzewidywalny – wybuchowa mieszanka mas powietrza znad Śródziemnomorza i Europy Środkowej. Spotykają się i ścierają – a później leje, wieje albo śnieży. Śnieg utrzymuje się na czubkach gór do maja! Góry otaczają miasto ze wszystkich stron.

Mieszkamy na uniwersyteckim kampusie, kilka kilometrów od centrum miasta. Nasz akademik jest nowy, kolorowy i wygodny, wybudowany zaledwie kilka lat wcześniej. Sponsorem był Stavros Niarchos. A raczej fundacja jego imienia.

Obrzydliwie bogaty armator – kiedy umierał w 1996 roku, jego majątek wyceniono na cztery miliardy dolarów. *Master of ships*. Właściciel potężnej floty. Miał pięć żon i tuziny kochanek, wśród nich synową Winstona Churchilla. Miał też rywala, z którym zabiegali o pierwszeństwo na oceanach i w nagłówkach tabloidów. Aristotelis Onasis zarobił pierwsze miliony na argentyńskim tytoniu i peruwiańskich

wielorybach, które poławiał nielegalnie. Szybko przerzucił się na statki – olbrzymie kontenerowce i zbiornikowce.

Pierwszy pojedynek o kobietę (piękną Athinę Livanos) wygrał Onasis. Niarchos zadowolił się jej siostrą Eugenią. *Golden Greeks* zostali szwagrami. Okazja do zemsty nadarzy się ćwierć wieku później, po tym jak Eugenia przedawkuje barbiturany, a Onasis wda się w romans ze śpiewaczką Marią Callas. Athina zażąda rozwodu i później zostanie piątą Mrs. Stavros Niarchos. Obydwaj panowie będą szli cios za ciosem. Prywatna wyspa, kolego Stavrosie? Proszę bardzo – moja będzie bardziej urokliwa (Spetsopoula kontra Skorpios). Najdłuższy na świecie jacht? Twój ma sześćdziesiąt metrów długości, mój sto sześć. Ożeż ty, stocznia?! A masz, ja sobie kupię linie lotnicze (Olympic Airlines). Dziedziczka fortuny Henry'ego Forda twoją żoną, Stavrosie? A co powiesz na Jackie Kennedy-Onasis?

*

Po sukcesie słynnej komedii *Nigdy* w *niedzielę* (Oscar w 1960 roku za piosenkę i cztery nominacje – w tym za reżyserię i dla najlepszej aktorki) popularna aktorka Melina Mercouri i jej partner (późniejszy mąż), amerykański reżyser Jules Dassin, postanowili nakręcić grecką tragedię przeniesioną do współczesności. Padło na Eurypidesa i jego *Hippolytosa uwieńczonego*, przerobionego później przez Racine'a i jeszcze później przez grecką dramatopisarkę Margaritę Liberaki. Mercouri w roli Fedry, która nieszczęśliwie zakochuje się w pasierbie. Gdy romans wychodzi na jaw, Tezeusz (ojciec) wścieka się nie na żarty, syn ginie, a Fedra popełnia samobójstwo. Pozostawało pytanie: kogo zrobić współczesnym

królem Tezeuszem? Kto w Grecji wczesnych lat sześćdziesiątych XX wieku był kimś na miarę starożytnych władców?

*Greccy armatorzy. Znam wielu z nich, choć tylko nieliczni mieszkają w Grecji. Jeśli jesteś greckim armatorem, zarządzasz swoimi interesami z biur w Londynie, Nowym Jorku lub Paryżu. Oczywiście masz domy i mieszkania także w innych ważnych stolicach na świecie. Zawsze gotowe na twoje przybycie. Możesz przylecieć na chwilę swoim prywatnym odrzutowcem tylko po to, by się przekonać, że twoje garnitury i koszule są wyczyszczone i uprasowane. Broń Boże nikt nie może cię zobaczyć z walizką – przystoi ci jedynie aktówka.*

*Od czasu do czasu odwiedzasz Grecję, szczególnie latem. Zapraszasz na swój ekskluzywny jacht zagraniczne sławy i robicie tour dookoła wysp. Popisujesz się, jaki to z ciebie jest Grek. Dla gości masz zapas bordeaux i bourbona, a sam pijesz tanią retsinę. Gdy grają buzuki, najgłośniej strzelasz palcami. Chętnie zdejmujesz marynarkę – taki z ciebie luzak i demokrata. Jesteś wspaniały i wiesz, że twoim celem jest kumulowanie olbrzymiej fortuny i… niepłacenie podatków. […] Grecja jest biedna i zacofana. Potrzebujemy szpitali i szkół, a nasi miliarderzy sprytnie unikają poborców podatkowych, rejestrując swoje statki w Liberii lub Panamie. To armatorzy mają dziś władzę. Królewską władzę. […] Dlatego postanowiliśmy, że nasza Fedra będzie żoną armatora*[1].

W filmie jest taka scena: Fedra i jej pasierb Alexis spotykają się w British Museum w Londynie. Tezeusz rozkazał, że mają się poznać i zaprzyjaźnić. Oboje piękni i zmysłowi. Fedra chce zapalić, ale strażnik na widok papierosa o mało nie dostaje

zawału, więc rezygnuje. Nagle reflektuje się, że stoi przed katafalkiem z marmurami Elgina – rzeźbami zagrabionymi dwieście lat temu z Partenonu przez chciwego ambasadora brytyjskiego w imperium osmańskim. Robi jej się słabo i prosi, by wyszli na zewnątrz… Mercouri już jako minister kultury przez lata będzie zabiegać o zwrot kariatyd, metop i płaskorzeźb. Rozpocznie w tej sprawie międzynarodową kampanię na wielką skalę i zadecyduje o budowie supernowoczesnego muzeum pod Akropolem, które mogłoby pomieścić marmury. Ale nic z tego. Brytyjczycy do dziś pozostają nieubłagani.

*

Jest piątkowy wieczór. Czyjeś urodziny. Wychodzimy większą grupą. Wybieramy *tsipuradiko* Parea, najsłynniejsze w całej Joaninie – zadymione, z zaparowanymi szybami, niedaleko jeziora. Siadamy przy długim stole i śpiewamy greckie Sto lat. Tłok. Kobiety nie tańczą jeszcze na stołach, nikt nie tłucze talerzy, ale *kefi* – radość i chęć zatracenia się w zabawie – wypełnia już całą salę i odbija się na twarzach gości. Melina Mercouri twierdzi, że *kefi* jest nieprzetłumaczalne na inne języki: „To więcej niż ostentacja i buńczuczność. To improwizacja, łapanie okazji i ryzykowanie" – pisze w swojej autobiografii.

Gdyby moja mama nie uciekła w sekrecie z Grecji, pewnie lubiłaby takie miejsca i takie wieczory.

*Tsipuradiko* to rodzaj folkowej dyskoteki z jedzeniem. Raczej dla Greków niż dla turystów, którzy wolą zwyczajne tawerny. Studenci i studentki, urzędnicy i urzędniczki, ludzie z fabryk, młodsze i starsze małżeństwa – wszyscy, którzy w tygodniu

zdążyli się narobić, namęczyć, nasłuchać, napatrzeć, namyśleć, którzy zasłużyli na trochę tańca, śpiewu i butelkę *tsipouro* albo też na wino, piwo czy gin z tonikiem. Wątłe światło, wątlejsze z odpaleniem każdego papierosa, dobre, ociekające tłuszczem jedzenie i cierpki alkohol.

Moi rodzice, ciotka Sultana z mężem, wujkiem Ioannisem, kuzyn ojca Christos z żoną Marią, kilka sąsiadek z mężami. Takie wyjścia zdarzały się rzadko, najwyżej dwa razy do roku. Dla mojej mamy to była jedyna okazja, by dla odmiany zadbać o siebie i wyglądać ładnie – założyć tę biało-niebieską sukienkę do kolan, którą przywiozła z Polski, pomalować na czerwono usta i paznokcie, zakręcić włosy.

My kładliśmy się wtedy wcześniej spać lub wręcz przeciwnie – mogliśmy dłużej niż zwykle oglądać bajki na wideo.

Gdyby moja mama nie uciekła, pewnie znałaby już na pamięć piosenki śpiewane w *tsipuradiko*. Greckie folkowe ballady (*laika tragoudia*) o tragicznej miłości, stare szlagiery: Marinella, Dimitris Mitropanos, Jorgos Dalaras, Tolis Voskopoulos… Nuciłaby do dźwięków buzuki, zawodząc smętnie razem z grubawymi dziewczynami z zespołu i całą resztą gości. Bujając się z boku na bok – niby patrząc na te półmiski pełne różnych mięs, którymi zastawiony był ich stół, na te niedojedzone zapiekane sery, kawałki pszennego chleba, które umoczono w oliwie, ale z wrażenia zapomniano zjeść, na wilgotne pestki po oliwkach tułające się po papierowym obrusie – niby patrząc na to wszystko, a wcale tego nie widząc.

Gdyby moja mama nie uciekła, pewnie potrafiłaby też tańczyć greckie tańce, bo tańczyć lubiła bardzo.

W jednej z początkowych scen *Nigdy w niedzielę* pijany facet, ledwie stojący na nogach, rozpoczyna swoje *zeibekiko*.

Robotnik ze stoczni w Pireusie, po dziesięciogodzinnej zmianie. W tańcu odzyskuje pewność ruchów, stabilność i skoczność – obraca się, tłucze dłońmi w kolana i stopy, jakby wyparował z niego nagle cały wypity alkohol, jakby żarcia w żołądku nie było. Jest piękny i groźny. Homer, amerykański turysta pseudointeligent, który przyjechał do Aten odnaleźć sens życia, jest zauroczony hipnotycznym tańcem. Zaczyna gwizdać i krzyczeć „brawo", czym wybudza mężczyznę z jego transu. Tancerz się wścieka i poszłoby na noże, gdyby nie interwencja kelnerów i pięknej prostytutki Ilii (Melina). Bo *zeibekiko* to nie jest zwykły taniec, żadna pokazówka, to manifestacja, akt odwagi i symbol jedności ciała i ducha. Wychodzisz na małą scenę przed muzykami, twoi przyjaciele kucają wokół ciebie i klaszczą w rytm piosenki. Tańczysz. Z zamkniętymi oczami, z głębi, z duszy, z nieszczęścia, z rozpaczy, z problemów – albo z radości, ze szczęścia, z braku problemów, z wdzięczności.

Moja mama, gdyby nie uciekła z Grecji, miałaby wiele do wytańczenia. Każdą burdę z osobna, każdy policzek, każde pchnięcie, wszystkie upadki i szarpnięcia. Rodzina mojego ojca, sąsiedzi i znajomi, oklaskujący ją na kolanach, byliby zdziwieni, skąd u niej ta pasja, tyle siły w zaciśniętych pięściach, tyle pewności przy każdym obrocie. Być może zdziwiłyby ich również sińce wyłaniające się momentami spod jej falującej sukienki. Być może. Tych pod oczami nawet by nie zauważyli – moja mama zbiegałaby szybko ze sceny, zanim nieodporny na pot makijaż przestałby je skrywać. Po powrocie z łazienki nawet nie próbowałaby budzić mojego ojca, który pijany spałby za stołem, ze swą pijacką gębą między pustymi kieliszkami i talerzami z niedokończonym jedzeniem. Szwagrowie na jej prośbę wtłaczaliby go do taksówki.

*

Trzy młode Greczynki zgrabnie lawirują na połączonych stołach pomiędzy talerzami i szklankami. Pora na grecki taniec brzucha – lubieżne *tsiftenteli*. Śpiewa Eleuteria Arvanitaki – jak się okaże, Ikaryjka z urodzenia, daleka kuzynka Ireny.

Irena poszła kiedyś ze swym ojcem na spacer po jednej z kamienistych plaż południowej Ikarii. Szli i kopali suche patyki. Spotkali kobietę: „Co słychać, jak się macie, dawno się nie widzieliśmy, jak ciotka, jak kuzyn, jak szwagier, jak teściowa, jak teściowej wujek, jak wam w tej Warszawie? Nie tęskno za Ikarią?" „Tęskno, tęskno, dobrze, dobrze". „Wpadnijcie na kawę, zanim wrócicie do Polski". „Wpadniemy, wpadniemy".

Ojciec: – To moja daleka kuzynka, twoja daleka ciotka.

Irena: – Moja daleka ciotka?

– Mama tej znanej piosenkarki.

– Której?

– Twojej dalekiej kuzynki.

– Mojej dalekiej kuzynki?

*

W środku Joaniny jest jezioro. Na jeziorze wysepka. Na wysepce klasztor św. Pantelejmona. W klasztorze umiera Ali Pasza, niepokorny możnowładca Epiru. Żołnierze sułtana odrąbują mu głowę i dostarczają na dwór Mahmuda II. Bo się za bardzo rządził i chciał utworzyć państwo niezależne od Konstantynopola.

Jest rok 1822. Tacy jak Ali Pasza rozsadzają imperium osmańskie od środka. Grecy, pozostający pod tureckim butem przeszło trzysta sześćdziesiąt lat, wykorzystują nadarzającą się okazję i coraz śmielej walczą o niepodległość. Wybucha wiele lokalnych, niezwykle zaciętych i krwawych powstań antytureckich. Obie strony postępują okrutnie i cywile giną jak muchy. Najbardziej pamiętna pozostaje rzeź na wyspie Chios. Turcy mordują pięćdziesiąt dwa tysiące mieszkańców, tyle samo biorą w jasyr. Na niewielkiej wyspie zostaje niecałe dwa tysiące osób. Niemal upada produkcja mastyksu, bo katolicy, których Turcy zmuszają do pracy na polach, nie mają pojęcia, co robić z żywicą sączącą się z drzew. Dzięki temu kilku miejscowych – prawosławnych – rolników odzyskuje wolność.

Grecy zajmują Peloponez, kilka wysp i niewielką mieścinę Ateny (sześć tysięcy mieszkańców, w zasadzie wioska, wolno rozrastająca się wokół Akropolu; dziś – prawie cztery miliony, a jeśli doliczyć imigrantów – grubo ponad pięć milionów mieszkańców). Walki trwają osiem lat.

Cała Europa trzyma za Greków kciuki, za tych wspaniałych – w jakże naiwnym wyobrażeniu – potomków Homerów, Achillesów i Platonów, którym wszyscy tak wiele przecież zawdzięczamy. Elity w Berlinie, Paryżu czy Londynie wyobrażają sobie, że wystarczy pojechać do Grecji, żeby – przy odrobinie szczęścia – spotkać słynnych filozofów we własnej osobie. Tak jakby czas w rejonie Morza Egejskiego się zatrzymał, jakby Grecy nie byli w większości rolnikami lub pasterzami, a do tego analfabetami.

*Urodzić się Grekiem to klątwa. Większość ludzi uważa, że jako Grek własnymi rękami budowałeś Akropol, wyrocznię*

*w Delfach i starożytne teatry, że to ty pomogłeś wymyślić demokrację. Doprowadza mnie do szału to, jak mało na świecie wiadomo o naszej nowożytnej historii. Ludziom wydaje się, że Perykles umarł zaledwie wczoraj i że Ajschylos nadal pisze swoje sztuki. Bardzo rzadko spotykam kogoś, kto wie, że przez czterysta lat byliśmy pod turecką okupacją i że w końcu postanowiliśmy z nią walczyć*[2].

Zawiązują się komitety solidarności (także w Polsce), oddani filhelleni zbierają pieniądze na potrzeby powstania. Delacroix maluje słynną *Masakrę na Chios*, a brytyjski wieszcz, lord George Gordon Byron – podobnie jak tysiące europejskich ochotników – wsiada na statek i przypływa na wyspę Kefalonię. Jedzie do Missolungi i szykuje się do walki przeciwko tureckiemu oprawcy, ale… umiera. Na malarię. 19 kwietnia 1824 roku. Wcześniej zdąży jednak napisać:

*Czas spocząć sercu, które nieudolną*
*Iskrą przestało dąć w innych pożogę,*
*Ale choć już być kochanym nie mogę –*
*Niech mi kochać będzie wolno.*
*Pożółkły liście mojego żywota,*
*Zmarły miłości kwiaty i owoce,*
*Został mi tylko smutek i tęsknota –*
*Rak toczący dnie i noce…*
*Lecz nie tak, nie tu – mary te zadumne*
*Wstrząsać powinny dziś duszy mej tonie –*
*Gdy chwała wieńczy bohatera trumnę*
*Albo wawrzyn jego skronie…*
*Oto miecz, pole, sztandar rozpostarty,*
*Grecja i chwała z ciuchem nieodrodnym,*

*Na własnej zbroi niesiony syn Sparty*
*Nie czuł się bardziej swobodnym.*
*Zbudź się (nie Grecjo – o! Grecja nie drzemie)*
*Zbudź się, mój duchu… Wspomnij, czyje żyły*
*Krwią życia serce twoję napoiły –*
*Walcz, jak za ojczystą ziemię!…*
*O tem myśl, co nam snadniej dla swych szczątek*
*Znaleźć niż szukać: o żołnierskim grobie,*
*Tam, tam dla ciebie najlepszy zakątek:*
*Wybierz go i spocznij sobie*[3].

Nie widać końca zaciętych walk z Turkami, a dodatkowy problem polega na tym, że sami Grecy są mocno podzieleni – nieustannie kłócą się o wojskowo-polityczne wpływy. Lokalni liderzy, awanturnicy i watażkowie zawiązują wątłe sojusze, organizują słabe regionalne struktury władzy, żeby później móc szybko – kto pierwszy, ten lepszy – przemienić je w ogólnokrajowe rządy. Długo nie udaje im się stworzyć władzy centralnej ani spójnej armii i często zamiast z Turkami walczą sami ze sobą. Sułtan tymczasem kontratakuje i powoli odbija tereny opanowane wcześniej przez greckich partyzantów.

Na pomoc wezwano europejskie mocarstwa: Wielką Brytanię, Francję i Rosję, które przyznają, że Grecji należy się autonomia. Na czele wojska staje brytyjski generał, a Grecy znów mobilizują się do walki. Pieniądze na nią pochodzą z zagranicznych pożyczek. Bitwy toczą się na morzu i na lądzie.

W 1828 roku głową państwa zostaje Ioannis Kapadostrias – dyplomata o europejskiej sławie, były minister spraw zagranicznych w carskiej Rosji, odznaczony orderem Orła

Białego – dziś narodowy bohater i patron najstarszego greckiego uniwersytetu. Ginie trzy lata po objęciu urzędu w wyniku zamachu, wychodząc z kościoła w Nauplionie. Właśnie niewielki, urokliwy Nauplion na Peloponezie chwilę wcześniej został pierwszą stolicą kraju.

Tymczasem w Londynie trwają rozmowy o kształcie niepodległej Grecji i wyborze jej przyszłego króla. Europejscy władcy zgadzają się, że strategicznego położenia Grecji nie da się pogodzić z ustrojem republikańskim i rządami demokratycznymi – w Atenach potrzebny jest król i łatwo sterowalna monarchia.

Poważnie osłabiona Turcja, po przegranej w wojnie z Rosją, przyjmuje „protokół londyński", a tym samym 15 lutego 1830 roku Grecja odzyskuje niepodległość.

Euforia nie trwa jednak zbyt długo – rozmiary odrodzonego państwa są co najmniej rozczarowujące, kraj jest zdewastowany, panuje straszliwa bieda. Na świeżutki grecki tron wstępuje młody bawarski książę Otton Wittelsbach – wybrany bez specjalnych powodów, ot, jeden z europejskich bezrobotnych monarchów, umiarkowany filhellen, który w przyszłości polubi swoich nowych rodaków (bez wzajemności) oraz ich tradycyjny strój – spódnicę o nazwie *fustanella*.

Król Otton I po trzydziestu latach rządów opuszcza Grecję w wyniku puczu wojskowego. Jego miejsce zajmuje inny monarcha z przypadku – duński książę Jerzy Glucksburg (dziadek brytyjskiego księcia Filipa, męża królowej Elżbiety II).

*

Nad ranem Parea jest już prawie pusta. Kelnerzy ostatni raz donoszą wino w zgrabnych dzbankach. Znowu śpiewamy Sto lat, klaszczemy. Ktoś czeka, aż opróżnię kieliszek, chwyta mnie za rękę i ciągnie na parkiet. Dołączamy do innych, łapiemy się za ramiona i tańczymy – tym razem słynne *sirtaki* do muzyki z *Greka Zorby*. To jedyny taniec, który jako tako opanowałem (kiedy na zajęciach zaczęły się trudniejsze, odechciało mi się chodzić). Na kampus wracamy o świcie, pierwszym sobotnim autobusem.

W ramach stypendium mamy też lekcje greckiego i wykłady z kultury i historii. Organizują nam wycieczki albo sami wypożyczamy samochody i zwiedzamy okolicę – ośnieżone Metsowo, wysoko w masywie Pindosu, podobne do Karpacza; Zagarochorię – zespół małych uroczych wiosek w parku narodowym, w pobliżu wąwozu Vikos – jednego z najgłębszych na świecie; Dodonę z amfiteatrem i ruinami starożytnej wyroczni, którą pomógł odkryć Zygmunt Mineyko. Przez osiem miesięcy zjeżdżamy pół Grecji.

[1] M. Mercouri, *The Autobiography: I Was Born Greek*, Londyn 1971, s. 129. Tu i w kolejnych cytatach tłumaczenie własne autora.

[2] M. Mercouri, tamże, s. 16.

[3] G.G. Byron, *On This Day I Complete My Thirty-sixth Year*, przeł. F. Jezierski, cyt. za: A. Lange, *Lord Byron, jego żywot i dzieła*, Warszawa 1905.

# 14

– Okej – mówi Margarita, filigranowa brunetka z burzą prostych, długich włosów, nasza nauczycielka – popatrzcie na mapę. Co widzimy? Dużo morza. Brawo! Dużo wysp. Największą grecką wyspą jest Kreta. Kreta. Dużo morza. Najbliższe nam są Wyspy Jońskie: Korfu, Lefkada, Zakintos, parę innych jeszcze i oczywiście Itaka. Itaka to bardzo ważna grecka wyspa – dzięki jednemu naszemu poecie, Konstandinosowi Kawafisowi, jego wiersze będziemy czytać za kilka tygodni. Okej, krainy geograficzne. Peloponez, Attyka, Grecja Środkowa, Epir, Tesalia, Macedonia – to tam, gdzie są Saloniki, Tracja. A teraz granice. Z jakimi krajami graniczy Grecja? Uwaga! Alwanija, Skopje, Wulgarija, Turkija. Teraz razem: Alwanija, Skopje, Wulgarija i Turkija. Brawo!

# 15

– *So, what do you love about Greece?* – zapytała Xanthy, Rumunka o greckich korzeniach, zatapiając widelec w kurzym udku.

Zasłoniłem usta ręką i udawałem, że ciągle przeżuwam dawno połknięty kawałek wołowiny. Po chwili oboje z Samem (Brytyjczyk bez greckich korzeni, doktor archeologii) patrzyli na mnie wyczekująco.

Była sobota, trzecia w nocy. Drugi tydzień stypendium. Pół godziny wcześniej we troje wyszliśmy ze średnio udanej studenckiej imprezy. Złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do miasta coś zjeść.

Uwielbiam grecką kuchnię, grecką muzykę, grecki luz *and the way people enjoy their lives*. Dodałem jeszcze kilka banałów o pogodzie, morzu i wyspach, by móc czym prędzej – niby to naturalnie – zatkać sobie gębę frytkami i kolejnym kawałkiem cielaka. Siedzieliśmy w przytulnej knajpie, jednej z niewielu w Joaninie, które są czynne całą dobę. W tle Kazantzidis i Marinella – największe przeboje greckiego duetu wszech czasów.

Przecież to mógłby powiedzieć każdy turysta – każdy, kto przyjeżdża na wczasy *all inclusive* na Chalkidiki, Kretę czy do Aten, kto spędza dwa tygodnie w trzygwiazdkowych hotelach, smaży się na plaży i cyka foty na tle każdego zabytku.

Ale jeśli człowiek rzuca pracę, przyjeżdża tu na osiem miesięcy, zakuwa język, w którym jest więcej wyjątków niż

reguł, to chyba powinien umieć na takie pytanie inaczej odpowiedzieć.

*So, what do I love about Greece?* I czy ja w ogóle?

# 16

– *No money, no ticket!* – wrzeszczała kasjerka na dworcu kolejowym w Aleksandropolis.

– *Madame, please, sorry, madame. Athens. Athens. Please.*

– *No money, no ticket! Go away!* – Kobieta wrzasnęła raz jeszcze i przeniosła wściekłe spojrzenie na mnie. – Słucham, pan dokąd?

– Poproszę zwykły do Salonik.

– *Madame, please.*

– *Go away! I don't take dollars. I take euros. Here is Greece!*

Mężczyzna patrzył na mnie błagalnie. W jednej dłoni trzymał zwitek amerykańskich dolarów, w drugiej plastikową reklamówkę z kilkoma pogniecionymi ciuchami. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Nie rozumiał, gdzie leży problem. Chciał zapłacić za bilet do Aten, a kobieta nie chciała mu go sprzedać. Zacząłem tłumaczyć, że to nie ta waluta, że musi znaleźć bank i wymienić pieniądze. Nie rozumiał ani słowa, a jego oczy pytały: w czym rzecz? Kasjerka podała mi bilet i warknęła, żebym uciekał, bo pociąg za chwilę odjeżdża.

Wychodząc na peron, usłyszałem jeszcze:

– *Only to Thessaloniki, no Athens. You want?*

– *Thank you, madame. Thank you.*

Pociąg już czekał, ale nie wolno było jeszcze wsiadać. To tu, to tam stali pojedynczy Grecy ze swoimi walizkami, a przy pierwszych wagonach tłoczyła się grupa imigrantów. Może pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu. Afrykańczycy i Azjaci. Większość w kurtkach, które nie nadawały się już na połowę

ciepłego maja, w grubych swetrach, w materiałowych spodniach od garnituru i zakurzonych mokasynach. Zamiast walizek mieli cienkie reklamówki związane jak tobołki. Facet w czapeczce dobiegł do nich. Oddychał z widoczną ulgą i pochwalił się biletem. Koledzy poklepali go po ramieniu. Parę godzin później mignie mi jeszcze przez chwilę w wagonie restauracyjnym.

Przez pierwszych dziesięć minut jazdy panowało lekkie zamieszanie. Pociąg wyjeżdżał wtedy z centrum Aleksandropolis. Imigranci nie umieli odczytać numerów miejsc na swoich biletach i siadali gdzie popadło. Sprawą zajęły się dwie młode Greczynki, zapewne studentki. Spoglądały na bilety i prowadziły mężczyzn do ich foteli. Było dużo śmiechu i dziękowania.

Pociąg najpierw jechał do Salonik (sześć i pół godziny), a później do Aten (dwanaście godzin).

*

W lokalnym, niepozornym muzeum w Nowej Orestiadzie stoi drewniany wóz-symbol. Pomalowany na niebiesko – starszy niż samo miasto. W środku szafki, szafeczki i kufry, dywany, łopaty, widły, garnki i chochle. Z burt zwisają płócienne worki z ubraniami. Dziewięćdziesiąt lat temu ciągnęły go koń albo wół. Na koźle siedziała pięcioosobowa rodzina. Dzieciaki, jak to dzieciaki – zadowolone, bo przygoda. Rodzice smutni i milczący. Nawet się za siebie nie oglądali.

Teoretycznie – do pokonania mieli niewiele, tyle co przez most i ze dwadzieścia kilometrów na południe. Praktycznie – przenosili się właśnie do innego świata.

W gablocie piętro niżej leży pożółkły papier – fragment traktatu z Lozanny z 1923 roku. Kończył on grecko-turecką wojnę i ostatecznie grzebał Wielką (*Megali*) Ideę, która napędzała wyobraźnię wielu greckich polityków i kolejnych rządów przez poprzednich osiemdziesiąt lat. Koniec z marzeniami o Grecji na dwóch kontynentach i z dostępem do pięciu mórz. Nie będzie greckiego Konstantynopola, greckiego Pontu, greckiego Cypru, greckiej Tracji Wschodniej, greckiej Smyrny, greckiej Jonii! Będzie Grecja taka, jaka jest.

Traktat nakazywał też wymianę ludności. Kryterium stała się religia, nie narodowość czy język: muzułmanie z Grecji ruszali na wschód, do Turcji, a chrześcijanie z Turcji – na zachód. Ale ci ostatni w rzeczywistości byli w drodze już od miesięcy – uciekali, bo Młodoturcy dokonywali masowych mordów i czystek, palili miasta (Smyrna) i w pień wyrzynali chrześcijan, głównie Greków i Ormian. Przesiedlenia miały zahamować agresję i pogromy.

Przerażeni ludzie zostawiali domy i dobytek, pakowali na swoje wozy, co się dało, czyli zazwyczaj bardzo niewiele. Rozpoczynali pochód. Setki tysięcy osób pokonywało graniczną rzekę Ewros w przeciwnych kierunkach.

Z przymusu przesiedlenia wyłączono jedynie Konstantynopol i Trapezunt (obecnie turecki Trabzon), gdzie do dziś mieszka grecka mniejszość, a po stronie greckiej – Trację Zachodnią z Pomakami i Turkami – stąd miejscowe meczety, mufti Damadoglou w Didimoticho i tureckie kobiety, które czekały przed jego biurem, aż skończymy rozmowę.

Gdy traktat z Lozanny wchodził w życie, początkujący amerykański pisarz Ernest Hemingway rezydował w przygranicznym mieście Edirne (chwilę wcześniej należało ono jeszcze do Grecji i nazywało się Adrianopol, Grecy do dziś

tak na nie mówią), rzut beretem od Starej Orestiady, i relacjonował przebieg wojny dla kanadyjskiego dziennika:

*Niekończący się, falujący tłum chrześcijan ze wschodniej Tracji wypełnił drogi prowadzące do Macedonii. Główna kolumna, która w Adrianopolu przekroczyła rzekę Maricę (Ewros), ma dwadzieścia mil długości. Dwadzieścia mil wozów, ciągniętych przez woły, i tłum wymęczonych mężczyzn, kobiet i dzieci, z głowami owiniętymi w koce, idących obok swojego nędznego dobytku. […] Nie wiedzą, dokąd idą. Opuścili swoje gospodarstwa, wsie i urodzajne ziemie i dołączyli do strumienia uchodźców, skoro tylko usłyszeli, że nadchodzą Turcy. Teraz dbają tylko o to, aby utrzymać swoje miejsce w tej procesji duchów, a pokryci błotem greccy kawalerzyści pilnują porządku, tak jak pasterze nadzorują prowadzone stado. To cicha procesja. Nikt nawet nie chrząknie. Wszystko, co mogą zrobić, to iść dalej*[4].

Gdy dowiedzieli się, że przesiedlenie jest przymusowe, mieszkańcy Starej Orestiady (którą Turcy nazwą Karagac), w sumie dziewięćset rodzin, nie chcieli zanadto oddalać się od rzeki. Teren na jej drugim brzegu był w większości niezamieszkany, niezabudowany i bardzo żyzny – idealnie nadawał się pod uprawę wszystkich zbóż, a już szczególnie trzciny cukrowej. Wybrali okolicę płaską jak patelnia i rozbili namioty. Zaczęło się ciosanie desek i rozrabianie cementu.

*

Orestiada, rok 2012. Senne majowe popołudnie. Mijam budynek policji, stację kolejową i wąską drogą zmierzam ku

rzece. Po obu stronach potężne drzewa i gęste krzaki. Trawy wysokie na metr. Wszystko bujne i intensywnie zielone. Atakują komary olbrzymy i roje małych muszek.

Dwóch starych dziadków na działce podlewa grządki pomidorów. Mają siwe włosy i koszule flanelowe z dziurami.

– Dzisiaj już za późno. Oni przychodzą rano. O świcie.

– Nocą przeprawiają się przez rzekę i czekają na brzegu, aż się rozjaśni.

– Później idą dużymi grupami, po kilkunastu. Zdarzają się też całe rodziny: mąż, żona i dzieci.

– Tędy przechodzą, obok nas. Zmęczeni, zmarznięci, głodni. Dajemy im wody albo trochę mleka.

– A dzieciom owoce.

– Idą po cichutku, że czasem ich człowiek nie usłyszy i nie zauważy.

– Zimą, latem, wiosną i jesienią. Cały rok. Codziennie. Codziennie.

– Idą prosto na policję.

– Nie, żadnych problemów. Nie kradną, nie robią awantur. Pojawiają się i znikają. Niektórzy czarni jak ta ziemia, inni trochę jaśniejsi, choć też ciemni. Nie mają nic oprócz marnych tobołków lub małych plecaków. Mówi się, że uciekają z różnych biednych krajów albo od wojen.

– Ale ilu jeszcze ich się tu zmieści? Grecja ich nie wyżywi. Sami nie mamy pieniędzy.

– To wina Turków. Dlaczego nie zatrzymują ich po swojej stronie?

– Chcą w ten sposób podbić Europę.

*

– Dajmy na to: tysiąc policjantów. Jeden niech stoi pięćdziesiąt metrów od drugiego. Niech będzie piękny, słoneczny dzień, niech wszyscy mają lornetki, niech krótkofalówki, niech oczy i uszy szeroko otwarte, a imigranci i tak prześlizną się między nimi niezauważeni. Bez problemu. Taka na brzegu jest dżungla, tak gęsto porośnięta, takie drzewa, chaszcze, zarośla – mówi Georgios Kalaitzis, wiceszef policji w Orestiadzie. – A przecież tylko nasz lokalny odcinek rzeki to osiemdziesiąt sześć kilometrów. Całość to prawie sto dziewięćdziesiąt kilometrów. Nie sposób tego wszystkiego skontrolować. Nawet ze wsparciem Frontexu i jego najnowszych technologii i nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że dzięki Frontexowi tureckie wojsko po drugiej stronie zatrzymuje imigrantów nieco aktywniej niż jeszcze niedawno.

Odkąd w listopadzie 2010 roku (po oficjalnej prośbie rządu w Atenach) strażnicy Frontexu pojawili się w rejonie Ewros, rzeka jest lepiej kontrolowana, ale nielegalnych imigrantów ciągle przybywa.

– Mamy tu prawdziwy kryzys humanitarny, który ciągle się pogłębia – mówi Kalaitzis. – Wczoraj w naszym rewirze zatrzymaliśmy sześćdziesiąt pięć osób z Afganistanu, dwadzieścia sześć z Bangladeszu i dwadzieścia z Pakistanu. Dzisiaj: osiemdziesięciu dwóch Afgańczyków, czterdziestu pięciu Syryjczyków i dwudziestu pięciu obywateli Bangladeszu. Średnia przekroczeń wzdłuż całej granicy to około dwustu dziennie. Cały zeszły rok to pięćdziesiąt pięć tysięcy, dwa tysiące dziesiąty – czterdzieści siedem tysięcy. Naprawdę niewiele możemy zrobić.

Tym bardziej że nielegalni przewoźnicy zmienili sposób działania. Już nie ryzykują aresztowania i nie wsiadają do pontonów razem z imigrantami, nie odholowują ich na drugi

brzeg. Pakują ludzi po kilkunastu do małej łódki, kasują pieniądze, dają parę wioseł i odpychają. Na drugą stronę ma ich doprowadzić prąd rzeki.

– Oni nie umieją wiosłować ani tym bardziej pływać, a prądy u nas bywają szalone, szczególnie zimą. Czasami spotykamy ich zmarzniętych i przemoczonych na którejś z małych wysepek na środku rzeki. Po łódce, która poszła na dno, nie ma nawet śladu. Bierzemy ich wtedy na nasze motorówki i holujemy do brzegu. A czasami… – Kalaitzis pokazuje mi zdjęcia, na których jego ludzie wyciągają z wody martwe ciała. – Bywa, że znajdujemy je dopiero po kilku tygodniach albo nawet miesiącach, gdy woda nieco opadnie, gdy o coś zahaczą…

– A jak jest z minami? – pytam. – Ponoć imigranci giną też od min.

– Ginęli kiedyś. Zdarzało się, zanim zdążyliśmy je rozbroić. Teraz wzdłuż granicy zostały jedynie miny przeciwpancerne.

*

W ateńskim muzeum Benaki, niedaleko Gazi, pokaz nowego filmu dokumentalnego o anatolijskiej katastrofie i przesiedleniach z lat dwudziestych. Jest niedziela, godzina piętnasta, wielka kinowa sala wypełniona po brzegi.

Wymiana ludności, przy której asystowała Liga Narodów, trwała osiem lat, do 1930 roku. Objęła około trzystu pięćdziesięciu tysięcy muzułmanów i zdecydowanie więcej, bo ponad milion sto tysięcy chrześcijan.

Dla władz w Atenach największym wyzwaniem było rozlokowanie gdzieś tego morza ludzi. W całym kraju powstawały nowe miasta, wsie i dzielnice – głównie

w Macedonii i Attyce. Jeszcze dziś łatwo je odróżnić, bo w nazwie mają przymiotnik „nowa”: Nea Moudania, Nea Santa, Nea Ionia, Nea Sinasos, Nea Artaki, Nea Kios, Nea Chalkidona, Nea Pfiladelfia, Nea Erythraia, Nea Smyrni, Nea Sinopi i jeszcze wiele, wiele innych. Setki, jeśli nie tysiące, w całej Grecji.

Bogaci i często świetnie wykształceni uchodźcy, którzy zostawiali w Turcji spore majątki, sklepy i fabryki, w Grecji klepali biedę – część nie znała języka, nie było dla nich pracy ani mieszkań. Niektórzy przez lata koczowali w prowizorycznych barakach, szkołach czy hotelach. Miejscowi Grecy wściekali się, że uchodźcy (*prosfyges*) dostają pod uprawę pozostawione przez muzułmanów pola, że zabierają miejsca pracy i mieszkania, że powoli opanowują uprawę tytoniu i produkcję dywanów, że rosną ich polityczne wpływy, że śpiewają odmienne pieśni (*smyrnaika*), że jedzą odmienne potrawy. Wymyślali dla nich nowe przezwiska:

Βρωμοπρόσφυγας (*wromoprosfygas*) – śmierdzący uchodźca
τυρκογεννομένος (*turkojennomenos*) – Turek z urodzenia
γιαουρτοβαφτισμενοι (*jaourtowaftismenos*) – chrzczony w jogurcie

Integracja trwała całe lata…

Bohaterowie filmu, starzy *prosfyges*, którzy na początku lat dwudziestych byli dziećmi, przywołują swoje najodleglejsze wspomnienia. Głos ma i jedna, i druga strona. Na jaw wychodzą podobieństwa łączące wysiedlanych chrześcijan i muzułmanów. Niektórzy opowiadają po grecku, inni po turecku, inni raz tak, raz tak. Kamera towarzyszy im, gdy po latach odwiedzają swoje opuszczone domy i rozmawiają z ich

aktualnymi mieszkańcami. Wielkie emocje i łzy, często poczucie ulgi.

Widzowie na sali reagują oklaskami, głośnymi westchnieniami, wiercą się i zakrywają dłońmi usta. Rozpoznają w tych opowieściach historie swoich rodziców, dziadków, sąsiadów i przyjaciół, niemal identyczne, powtarzane całymi latami z nabożeństwem, żywe i wzbudzające wielkie emocje.

Pamięć społeczna o wydarzeniach z lat dwudziestych zeszłego wieku to ciągle jeden z najważniejszych kluczy do zrozumienia greckiego ducha i zakrętów nowożytnej historii Grecji.

*

Ci imigranci, których strażnicy nie zdołają zatrzymać przy rzece, sami przychodzą na komisariat w Orestiadzie. Czekają na ławce przed wejściem, aż ktoś się nimi zajmie.

David i John są z Erytrei. Podróż zajęła im dwa tygodnie. Najpierw statkiem do Egiptu, później lądem – przez Syrię i Liban do Turcji. Przemytnicy przywieźli ich do Stambułu, a po paru dniach na granicę i wskazali za Ewros: tam jest Grecja. Młodzi mężczyźni (dwadzieścia jeden i dwadzieścia osiem lat) rzekę przepłynęli w nocy. Na drugim brzegu przebrali się, a mokre ciuchy upchali w plecaki. Ile się nabłądzili, żeby znaleźć policję! Ze cztery godziny szukali drogi.

Gdy ich zobaczyłem, trzęśli się z zimna, choć dzień był raczej ciepły. Policjanci właśnie przywieźli mnie z patrolu, na który pojechałem, żeby zobaczyć budowę nieszczęsnego muru na

lądowym odcinku granicy. Jego budowę nadzoruje greckie wojsko, a opłaca rząd.

Kalaitzis z policji w Orestiadzie, z którym rozmawiałem tego samego dnia rano, nie mógł wprost skrytykować idiotycznego pomysłu ministra z Aten, ale bardzo się starał, żebym zrozumiał, co kryje się za słowami, liczbami i zdjęciami, które mi pokazywał.

– O, tu dobrze widać, jak imigranci swobodnie sobie przechodzą. Ten odcinek ma dwanaście i pół kilometra. Tylko tędy granica biegnie wzdłuż lądu, reszta to rzeka, która, przypominam, ciągnie się przez prawie sto dziewięćdziesiąt kilometrów. Nie wszędzie mogliśmy rozstawić naszych funkcjonariuszy, a Turcy zupełnie nie reagowali na grupy imigrantów. Przechodzili sobie spacerkiem. O, na tym zdjęciu dobrze widać. Dwa lata temu, w dwa tysiące dziesiątym roku, w ten sposób na nasz teren dostało się dwadzieścia sześć tysięcy osób. W zeszłym roku już tylko osiemset dziewięćdziesiąt. W tym roku to pojedyncze przypadki. Wszyscy wybierają rzekę, bo wiedzą, że znacznie wzmocniliśmy patrole na granicy lądowej, że lądem już teraz na pewno nie przejdą, nie prześlizną się. Zresztą murem zajmuje się wojsko, nam, policjantom, nic do tego.

Gdy wysiadam z policyjnego dżipa, żołnierze instruują mnie, że zdjęcia mogę robić, jedynie stojąc tyłem do Turcji, tak żeby nie obejmowały jej terytorium. Bo może być chryja.

Fragment muru, który postawiono, by pokazać (głównie dziennikarzom), że już stoi i za chwilę się rozrośnie: drżyjcie imigranci, to wysokie i szerokie rusztowanie z metalu, w które włożono kłęby drutu kolczastego. Na razie ma nie więcej niż metr długości, stoi przy budce strażniczej, niewkopane jeszcze w graniczną ziemię – wilgotną i żyzną.

David i John. Pobiegłem do piekarni po drugiej stronie ulicy i kupiłem im jeszcze ciepłe pity z fetą i szpinakiem, jakiś sok.

– *God bless you! God bless you!* – dziękowali.

Na Grecji – mówią – nieszczególnie im zależy. Woleliby dalej na zachód – do Włoch lub Niemiec. Ale zostaną wszędzie tam, gdzie znajdą pracę. Jakąkolwiek. W Atenach na pewno coś znajdą. Na pewno! Nie, nikogo tam nie znają. Nie wiedzą jeszcze, gdzie będą mieszkać, ale to przecież duże i bogate miasto. Na pewno coś się znajdzie – i jakiś kąt, i robota. To przecież Europa. Unia Europejska.

– Wiecie, gdzie są Ateny? Jak daleko? – zapytałem po chwili wahania. Spojrzeli na mnie wyczekująco.

– Prawie tysiąc kilometrów stąd.

– Naprawdę?

Raz, a czasami dwa razy dziennie policyjny bus zabiera wszystkich Davidów i wszystkich Johnów do centrum detencyjnego w Filakio, kilka kilometrów za Orestiadą. Pozostali, których policjanci zatrzymali przy rzece, już tam są i mają za sobą część procedury: zdążyli złożyć odciski palców, zapozować do zdjęć, „udzielić wywiadu". Funkcjonariusze muszą ustalić ich narodowość oraz to, czy nie są przestępcami, co nie zawsze jest łatwe, bo imigranci najczęściej nie mają ze sobą paszportów czy dowodów osobistych. Wyrzucają je po tureckiej stronie, żeby utrudnić ewentualną deportację. Mówią, że uciekają przed wojnami, że są z Iraku, Afganistanu, Syrii, Somalii. Niektórzy są, inni nie.

Jeszcze niedawno imigranci zostawali w centrach detencyjnych przez tygodnie, a nawet miesiące. W zatłoczonych celach, z bardzo ograniczoną lub żadną opieką lekarską. Nie wiedzieli, na co czekają ani kiedy zostaną wypuszczeni. Sytuacja nieco się poprawiła po głośnym

raporcie specjalnego wysłannika ONZ, który na greckich władzach nie zostawił suchej nitki – tak traktować ludzi w XXI wieku?! W Unii Europejskiej?! Skandal!

Teraz imigrantów jest tak wielu, że dłuższy pobyt w ośrodkach przestał być możliwy. Wszystko odbywa się w ekspresowym tempie. Po paru godzinach imigranci są „na wolności".

Do kieszeni chowają papier – ze zdjęciem, kilkoma podpisami i pieczątkami. To dokument, który upoważnia ich do legalnego pobytu w Grecji i podróżowania po niej. Przez trzydzieści dni. Mają zakaz wypuszczania się nigdzie indziej. W tym czasie mogą spróbować złożyć papiery o azyl – ale w dzisiejszej Grecji to fikcja, bo system jest źle pomyślany, a przez to niewydolny. Podanie składa się na policji – raz w tygodniu pod płotem już w nocy ustawia się spora kolejka, która nad ranem zamienia się we wściekły tłum. Policjanci, jeśli mają dobry dzień, przyjmą czterdzieści–pięćdziesiąt wniosków. Reszta nieszczęśników musi wrócić za tydzień. Po czterech nieudanych próbach imigranci stają się nielegalni – do komisariatów wolą się nie zbliżać. Powinni zniknąć. Niech sobie nie zawracają głowy, niech najlepiej wrócą tą samą drogą i będzie po kłopocie.

– Ale Turcy, panie władzo, nas nie wpuszczą.

– Myśmy też nie chcieli, ale jakoś daliście radę.

– My wolimy na północ albo na zachód, panie władzo.

– Tam to dopiero was nie wpuszczą. A jeśli nawet wpuszczą i dacie się złapać, to was z powrotem do Grecji odeślą. I co my z wami zrobimy?

– My i tak spróbujemy.

Kalaitzis pokazuje mi w swoim komputerze zdjęcia – nieudane próby wydostania się z Grecji. Niby zwyczajny

autobus, ładny, czysty, niby jechał do nowego właściciela w Bułgarii, a proszę, tu gdzie pasażerowie chowają mniejsze bagaże, nad siedzeniami – długa półka, zabudowana wykładziną – w półce trzynastu Chińczyków. Na leżąco, w pampersach. Albo tu, na pace ciężarówki, za stertą towaru – pięciu ukrytych Pakistańczyków. Inni będą próbowali dostać się na statki odpływające do Włoch z dużych portów w Patras lub Igumenitsy.

Ale na dalszą podróż najpierw trzeba zarobić – dlatego wszyscy imigranci uderzają do Aten. Ci, których nie stać na pociąg lub autobus, będą szli. Przynajmniej część drogi, może po kilku dniach ktoś się zlituje i kawałek podwiezie. W Atenach – wydaje im się – najłatwiej o pieniądze oraz o to, żeby zgodnie z czytelną sugestią na papierze człowiek po trzydziestu dniach zniknął – żeby się zdematerializował, rozpłynął w tłumie innych bezimiennych imigrantów. Zniknął w imigranckim getcie – nic prostszego. Policjanci nie rozróżniają narodowości ani religii wśród miliona twarzy. Człowiek jest, a jakby go nie było.

*

Gdyby padał deszcz, mógłbym pomyśleć, że jedziemy przez Szkocję. Pociąg sunął cichą doliną między zalesionymi wzgórzami spokojnych, niezbyt wysokich i niezbyt stromych Rodopów. Wszystko intensywnie zielone, soczyste. Gęste paprocie walczące o odrobinę słońca z wysokimi bukami i dębami. I ukryte między nimi niedźwiedzie, jelenie, dziki.

Tory zakręcają tak fantazyjnie, że muszę przytrzymywać plastikowy kubek z frappé. Chwilę wcześniej zmieniłem wagon na restauracyjny, bo w moim było tłoczno i duszno. To samo

zrobił starszy niemiecki turysta, który teraz nie mógł się zdecydować – czytać przewodnik po Tracji, który trzymał w jednej ręce, czy uwieczniać bajeczne krajobrazy najnowszym smartfonem. Momentami próbował wykonywać obie te czynności jednocześnie.

Choć znaki zakazujące palenia wisiały na ścianach wagonu, palili i kelner, i bufetowa, i kilkoro pasażerów. Trochę ukradkiem, gdy zbliżał się konduktor – udający, że nic nie widzi i niczego nie czuje – i już zupełnie bezczelnie, gdy się oddalał.

Imigranci przynajmniej zachowywali pozory i palili w toaletach.

Tymczasem teren za oknem stał się bardziej płaski. Wjechaliśmy na Nizinę Tracką – zniknęły lasy na wzgórzach, a pojawiły się łąki i pola – świeżo zaorane, wilgotne. Jeszcze widać było ścieżkę, którą ubiły wielkie koła ciągnika. Na obrzeżach pól zatrzęsienie maków.

Tę samą podróż z Aleksandropolis do Salonik można odbyć w trzy godziny – wystarczy jechać samochodem albo autobusem, każdego dnia jest kilka połączeń. Początkowo droga biegnie równolegle do torów, choć z pociągu ani przez chwilę jej nie widać. Nowoczesna, czteropasmowa, nudna autostrada Egnatia Odos – duma co najmniej kilku greckich premierów i ministrów transportu. Jej budowa trwała dziewiętnaście lat i pochłonęła miliardy euro. Łączy Trację z Adriatykiem, a także główne miasta północnej Grecji, cztery najważniejsze porty, pięć lotnisk i strefy ekonomiczne. Jej pierwowzór powstał ponad dwa tysiące lat temu – Via Egnatia miała siedemset kilometrów długości i prowadziła z Konstantynopola do Rzymu. Była szeroka na trzy metry,

a w okolicach większych miast – na pięć. Fragmenty obu dróg biegną dziś obok siebie.

Pół podróży przesiedziałem w wagonie restauracyjnym. Bałem się ruszyć, żeby nie ominął mnie przypadkiem jakiś uroczy obrazek.

Światło gasło co kilka sekund, gdy wjeżdżaliśmy do krótkich tuneli wyżłobionych w skałach. Po ich zboczach skakały górskie kozy. Dzika dolina krętej rzeki Nestos – raj dla myśliwych, rybaków, ornitologów i kajakarzy. Wysokie brzegi gęsto porośnięte ostami, łopianem i akacjami, drzewa po szyję ubrane w pnącza. Wielgachne pokrzywy.

Kiedy dotarliśmy do Macedonii, „ciemniało i wieczorniało", jak pięknie mówią Grecy (*skoteiniazei, vradiazei*). Rolnicy kończyli pracę na polach i wracali z haczkami do domów, a tłuste owce mełły w pyskach soczystą kolację.

[4] E. Hemnigway, „Toronto Daily Star", 22.10.1922 r., przeł. T. Czekalski, [w:] J. Bonarek, T. Czekalski, S. Sprawski, S. Turlej (red.), *Historia Grecji*, Kraków 2005, s. 550–551.

# 17

Ateny. Maj 2012 roku. Kulminacja kampanii wyborczej. Wielka zawierucha, bo po raz pierwszy nikt nie jest w stanie przewidzieć wyników wyborów. I to w takich czasach, w tak potężnym kryzysie. PASOK (niby-lewica) i Nowa Demokracja (niby-prawica), które przez prawie czterdzieści lat wymieniały się władzą, straciły połowę swoich dotychczasowych wyborców. Dokąd oni poszli, ten twardy elektorat, na dalekie lewo czy na skrajnie dalekie prawo? Trzeba ich odnaleźć i przekonać do powrotu. Za wszelką cenę.

Za główny motyw kampanii politycy obierają strach – bezczelnie licytują się na podszyte lękiem hasła i wizje: Grecja bankrutuje, bankomaty nie wypłacają pieniędzy, banki i inflacja pożerają oszczędności, nie ma pracy, nie ma co jeść, ludzie zaciskają zęby i żywią się kwaśnymi pomarańczami. Masowo popełniają samobójstwa. Nielegalni imigranci z Afryki i Azji (tfuj!) szaleją, rabują, gwałcą i mordują, roznoszą choroby. Trzeba uszczelnić granice, wybudować mur, rozciągnąć kolczaste druty, a tych, którzy już do Grecji się dostali, kilka milionów, należy pozamykać w specjalnych centrach. Pozamykać, odizolować. Tak jak te bezwstydne prostytutki, które zarażają wirusem HIV porządnych greckich mężczyzn. Wiedziały, że są chore, ale nikomu nie mówiły. „Nagle" cała sprawa wychodzi na jaw – potężna afera, twarze kilkunastu ladacznic pokazują wszystkie telewizje, zna je cała Grecja.

– Zagłosujcie na nas, bo tylko my ustrzeżemy kraj przed klęską, przywrócimy porządek, zadbamy o wasze, rodacy kochani, bezpieczeństwo – straszą stare polityczne wygi z największych partii.

Ale Grecy są wściekli na obecnie rządzących i niechętnie kupują ich argumenty oparte na lęku. Są żądni przekazu bardziej radosnego, z iskierką nadziei.

Ryzyko, że scena polityczna się „rozbetonuje" i do władzy dojdą lewacy z Syrizy, prawdziwi – nie, jak PASOK, malowani – socjaliści, jest wielkie. Ich lider ma charyzmę, jest młody i przystojny, średniozamożny, bez politycznych tradycji w rodzinie, pięknie przemawia, nie nosi krawatów, jeździ motocyklem. Jeszcze nigdy nie rządził, więc nie zdążył nakraść. Wiele obiecuje, umie jednoczyć małe środowiska. Chce zabierać bogatym, których kryzys do tej pory dziwnym trafem omijał, i dzielić się z najbiedniejszymi, którzy już ledwie zipią. Chce podnieść podatki dla krezusów, zakończyć idiotyczny i niezwykle kosztowny wyścig zbrojeń z Turcją oraz zwiększyć zasiłki dla bezrobotnych.

Europa jest przerażona. Sarka, oburza się, krytykuje, nie dowierza. Co też ci głupiutcy Grecy znowu wyprawiają? Chyba słońce wypaliło im mózgi, *retsina* wyprostowała zwoje. Wyprowadzą się ze strefy euro i pociągną za sobą innych. Zapraszają nas do tańca śmierci. Zacisnęliby zęby, lenie jedne śmierdzące. Wzięliby się do roboty – jak my, Niemcy, którzy przez lata korumpowaliśmy greckich polityków i którzy zarządzamy ateńskim lotniskiem (zalegając z podatkami). I jak my, Francuzi, którzy pożyczaliśmy Grekom przez lata grube miliardy, nie zważając na ich niewypłacalność. Jak my… Polacy, którzy, wiadomo: Kopernik, Chopin, Curie-Skłodowska, papież, Solidarność, żurek z kiełbasą, Lech

Wałęsa i zielona wyspa. Tak jest – niech się Grecy od nas uczą, niech jak my będą bardziej potulni, niech też zapierdalają za półdarmo, niech jak my zaczną płacić podatki, niech przestaną wiecznie tylko protestować, strajkować, demonstrować. W dupach im się poprzewracało!

Jest, co prawda, umówmy się, no jak by nie patrzeć, demokracja, Grecy mogą zagłosować, jak chcą, powiedzmy, ale najlepiej będzie (o tak, najlepiej!), jeśli nas posłuchają i zagłosują na tych, których im wskażemy – płynie pieśń z Brukseli. Niech wygrają stare, sprawdzone partie. Dokładnie te same, które zadłużały Grecję na potęgę, fałszowały statystyki, których politycy przyjmowali łapówki od Siemensa. Lepsze znane zło niż niesprawdzone nowe licho.

Co to będzie, co to będzie? Przyszłość Unii Europejskiej leży w rękach bandy leni jeżdżących na osłach.

Największe światowe telewizje znów wynajęły najdroższe pokoje w ekskluzywnych hotelach przy placu Syntagma – te, których okna wychodzą bezpośrednio na parlament. Bo może być zadyma. Kamery nawet nocą nie znikają z balkonów. Fala dziennikarzy płynie do Aten.

*

Jest sobota – dzień przed wyborami. Mały balkonik w mieszkaniu Marysi jest zawalony sprzętami po remoncie – jakieś wyblakłe dywany, znielubione obrazy, pęknięte lustro, trochę starych ciuchów – wszystko to upchane w kącie czeka na wyniesienie. Z trudem usadawiam się z drugiej strony, z nogami na poręczy, przez słomkę pociągam lodowate frappé. Pół dnia biegałem po mieście z mikrofonem i pytałem ludzi, czy i jak będą głosować, a później słałem materiały do radia.

Ostatnie komentarze, prognozy i wrażenia – wyzwiska rzucane pod adresem polityków puszczałem bez tłumaczenia.

Za godzinę wybierałem się do muzeum Benaki w dzielnicy Gazi na głośną wystawę *Greckie potwory*. Grupa znanych artystów z Salonik zabrała głos w sprawie kryzysu. Wykorzystali do tego znane mitologiczne strachy. Mówią: Grecja jest fajniejsza, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Nie musicie się nas bać. Nie wierzcie światowym mediom, które wykrzywiają obraz Grecji. Kryzys nie zamienił nas w potwory.

Ale najpierw kawa. Wsłuchuję się w darmowy koncert silników: motocykle, samochody, autobusy, trolejbus numer jedenaście. Do tego klaksony i okazjonalne krzyki. I polityczna kłótnia po drugiej stronie ulicy, w *kafenijo* na parterze. Stoliki rozstawione między pomarańczowymi drzewkami. Wstaję i wychylam się, żeby lepiej słyszeć. Deliberują barman ze starszym mężczyzną w czerwonej koszuli i krótkich spodenkach, który siedzi na zewnątrz, pali papierosa i popija piwo. Dyskusja jest zacięta, choć typowa: ja uważam tak, ty tak, nie masz racji, bo ja ją mam.

Teraz albo nigdy! – postanawiam. Biorę dyktafon z mikrofonem i biegnę do windy.

Do tej pory greckie *kafenijo* było dla mnie miejscem przeklętym, skansenem szowinistycznej, konserwatywnej, męskocentrycznej Grecji, z którą nie chcę mieć nic wspólnego, którą wypieram.

Wszystkie *kafenija* w greckich miastach i wioskach wyglądają tak samo. Zazwyczaj brzydkie i trochę zapuszczone, żeby czasem któryś z klientów nie zapomniał, że jest facetem z jajami (*archidia*), a nie ciotą, która preferuje kolorowe tapety na ścianach sterylnych kawiarni i pedalskie fredo cappuccino.

Prawdziwy Grek pije piwo, *ouzo, retsinę*, w ostateczności zwyczajne frappé w wyszczerbionej szklance. Może do tego przekąsić marynowaną ośmiorniczkę albo smażoną w całości – na głębokim oleju – szprotkę, kawałek fety i trzy oliwki. Krzesła są niewygodne, na ścianie wielka plazma i niekończący się latami mecz piłki nożnej. Kobiety potrzebne są tylko po to, by opróżnić popielniczki, podać następną kolejkę, sprzątnąć puste szklanki i butelki. Same przy stołach siedzą niezwykle rzadko. To męski świat. Bo co niby kobiety mogą wiedzieć o polityce? Albo o strzelaniu goli?

Przechodząc obok *kafenijo*, zawsze zaglądałem do środka z zaciekawieniem, ale nigdy nie wszedłem i nie zostałem. Choćby po to, żeby popatrzeć na „prawdziwych Greków", którzy w roboczych ciuchach, w drodze do domu, wstępowali na jednego. Czułem wobec tych miejsc fascynację połączoną z obrzydzeniem. I strach. Choć w normalniejszych okolicznościach rozmawiałem już po grecku dość swobodnie, miałem wrażenie, że w *kafenijo* język uwiązłby mi w gardle, że tamtejsi faceci nie akceptowaliby moich gramatycznych błędów, że niecierpliwiliby się, gdybym chwilę dłużej szukał w pamięci odpowiedniego słowa. Kontakt byłby co najmniej trudny, jeśli nie niemożliwy. Więc niech się gonią.

Przebiegam przez ulicę i wyciągam rękę na powitanie. Stawros, emerytowany handlarz, najpierw lekko zdziwiony, jest chętny do rozmowy. Ależ proszę, dlaczego mielibyśmy nie porozmawiać? Mam sobie usiąść, a on zamówi dla mnie piwo. Dam się poczęstować, prawda? Nie? Jak to? Na pewno? Szklaneczkę *ouzo*? Też nie? No to chociaż kawę? Okej, nie to nie. Dziennikarz? Skąd jestem? W Polsce interesują się greckimi wyborami? Naprawdę? Jakim cudem tak dobrze mówię po grecku?

– Ojciec Grek, matka Polka? To ty Grek jesteś. *Ellinas*, żadne tam „pół na pół”.

Tej uwagi nie prostuję. Słyszę ją po raz tysięczny. Nie ma sensu. Grecy i tak wiedzą najlepiej.

Choć Stawros usłyszał, ile mam lat, mówi o mnie *agori* – chłopiec. Na zmianę z *paidi* – dziecko (oba rzeczowniki są rodzaju nijakiego).

– Ciszej tam. Ja tu daję wywiad. To *agori* przyjechało z Warszawy, ale jest *Ellinas*. – Stawros gasi papierosa, odwraca się na krześle i krzyczy w stronę wnętrza *kafenijo*. Barman i kelnerka kiwają głową z uznaniem. – Chce rozmawiać o wyborach. Co mam dziecku powiedzieć?

W połowie nagrania rozładowują się baterie w dyktafonie, ale nie przerywam. Stawros się rozgadał: żona, dzieci, wnuki, młodość, jedna partia, druga, trzecia, wszystko to samo. Całe bogactwo Grecji: słońce, plaże, oliwa, wiatr, złoto, gaz. Bogaty kraj, bardzo bogaty kraj. Tylko dlaczego komuś zależy, żeby go zniszczyć i upodlić?

Stawros bardziej mówi do siebie niż do mikrofonu, głośno myśli. A ze mnie ulatują stare obawy.

*

Wszystkie potwory pomalowano na czarno-pomarańczowo-biało. Farbą bez połysku. Są opływowe, bez żadnych kantów, jak maskotki.

Największy jest Minotaur, który wita tuż przy wejściu do klimatyzowanej sali – potężny grubas, wysoki na trzy metry. Klęczy na jednym kolanie, a lewą trójpalczastą dłonią (kopytem?) zasłania sobie oko – jakby się chciał ukryć przed światem, a przynajmniej przed widzami w muzeum. Ma

długie, wykręcone, pomarańczowe rogi i pomarańczowy ryj. Chce się go pogłaskać. Może boi się tego mordercy – okrutnego Tezeusza, może już słyszał, że razem ze wstrętną prządką Ariadną czają się na niego. Skurczybyki.

Później, kiedy wystawa będzie się przenosić do innych europejskich miast, będzie problem, żeby wtłoczyć Minotaura do tira. Zajmie pół naczepy, owinięty w przezroczystą folię. Lekki jak piórko, bo ze styropianu, ale delikatny i kruchy.

Cerber to potulny trzygłowy jamnik, rozkojarzony i nieuważny pieszczoch – pomimo sześciorga oczu nie ustrzegłby miski z kolacją, a co dopiero wrót do Hadesu.

Na ścianie napis: „Głośne, brutalne, okropne to my – potwory w twojej głowie. Twoje potwory".

Są też Pegaz i Feniks, są syreny i ponętna Meduza.

Pod nogami plączą się kurki i koguty – grubiutkie ptaki stymfalijskie. Podziobałyby ziarenka, zniosły jajko. Że też ten głupi osiłek Herakles ostrzy na nie swoje strzały.

Ptaki dostępne są również w postaci balonów, które w muzealnym sklepiku można kupić za dwa i pół euro. Akurat się skończyły, kiedy o nie pytam (są gadżetowym hitem wystawy), ale jutro dowiozą nowe. Własnego potwora – dowolnie wybranego – można też mieć na pocztówce albo w formie zgrabnej wyklejanki na lodówkę.

# 18

Andreas Papandreou wysłał list do polskiego ambasadora w Atenach na dwa lata przed tym, zanim został premierem. List utrzymany był w formie żartobliwej, choć sprawa, którą poruszał, miała poważny, bo miłosny charakter.

Jest rok 1979. Papandreou zaledwie pięć lat wcześniej wrócił z wygnania – drugiego w swoim życiu.

Po raz pierwszy dwudziestoletni Andreas ucieka z Grecji chwilę przed wybuchem II wojny światowej, po tym jak prawicowy dyktator Ioannis Metaxas przejął władzę i aresztował jego ojca, byłego premiera Jorgosa Papandreou. Andreas, zdeklarowany trockista, płynie do Ameryki, z której nie wyjedzie przez dwadzieścia lat. Kończy studia na Harvardzie i rozpoczyna karierę naukową. Zostaje jednym z najwybitniejszych profesorów ekonomii tamtych czasów.

W gabinecie dentystycznym poznaje przyszłą żonę – Amerykankę Margareth, studentkę dziennikarstwa. Rozmawiają o polityce i o socjalizmie. Z marszu idą na kolację, a później na tańce. Ślub odbywa się szybko – tak szybko, jak tylko oboje uzyskują rozwody. Rodzą się kolejne dzieci: Jorgos, Andronikos, Nikos, Sofia.

Jest rok 1959, gdy rodzina Papandreou wraca do Grecji. Sytuacja polityczna okazuje się bardzo niestabilna, trwają powojenne rozrachunki ideologiczne, a kolejne prawicowe rządy nadal uparcie walczą z lewicą. Andreas bardzo szybko angażuje się w politykę, dostaje się do parlamentu i pracuje u boku ojca, który kolejny raz został premierem. Jego pozycja

jest coraz silniejsza, a poglądy coraz bardziej wyraziste. Prawica dostaje białej gorączki na samą myśl, że stary Papandreou, umiarkowany liberał, przekaże władzę młodemu Papandreou – walczącemu socjaliście.

Gdy pułkownicy przeprowadzają pucz w kwietniu 1967 roku, Papandreou syn jako jeden z pierwszych trafia do więzienia. (Papandreou ojciec najpierw znajdzie się w szpitalu, później w areszcie domowym). Dzieci i żona mogą go odwiedzać raz w tygodniu. Wizyty trwają po piętnaście minut. Margareth pisze dziesiątki listów do amerykańskich przyjaciół Andreasa – polityków i intelektualistów – którzy naciskają na władze w Atenach, by uwolniły jej męża. Po ośmiu miesiącach, pod pretekstem amnestii dla więźniów politycznych, Papandreou wychodzi na wolność, ale pułkownicy wręczają mu wilczy bilet. Ma wyjechać i nie wracać. Tak zaczyna się drugie wygnanie.

Podczas siedmioletniej tułaczki rodzina Papandreou mieszka we Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Andreas, znów jako profesor, wraca z wykładami na uczelnie. Przede wszystkim jednak prowadzi zaciętą i nieustającą walkę z dyktaturą – wygłasza odczyty, apeluje, organizuje spotkania z politykami i wielkie demonstracje. Czasami, dla wzmocnienia efektu, przemawia na wiecach razem ze swoją przyjaciółką Meliną Mercouri lub innymi liderami demokratycznej opozycji.

Gdzieś po drodze przydarza mu się romans ze szwedzką dziennikarką. Minie kilkanaście lat, zanim dzieci Andreasa dowiedzą się, że mają przyrodnią siostrę.

Rok 1974. Upadek junty. Rodzina Papandreou triumfalnie wraca do Grecji. Ludzie dobrze pamiętają zarówno Andreasa, jak i jego ojca, który zmarł w areszcie domowym jeszcze w 1968 roku. U władzy co prawda znów jest prawica, ale to

niedługo się zmieni. Andreas odcina się od liberalnych poglądów ojca i powołuje do życia Ogólnogrecki Ruch Socjalistyczny – PASOK (wśród członków założycieli jest rodzeństwo Mercourich).

Papandreou jest naturalnym liderem, ulubieńcem tłumów. Jeździ po Grecji i przemawia. Nosi okulary w grubych, czarnych oprawkach, niemal nie rozstaje się z fajką, zakłada jasne koszule z rozpiętym kołnierzykiem. Ma charyzmę, której brakuje większości polityków, i jest świetnym oratorem. Swoją popularność buduje na wielkich wolnościowych hasłach, które podobają się dumnym, ale i zakompleksionym Grekom:

– koniec z poddańczą zależnością od innych państw i instytucji: USA, NATO, Wspólnoty Europejskiej. Grecja należy do Greków!

– pogłębienie demokracji,

– sprawiedliwość społeczna, pomoc dla najuboższych, opodatkowanie bogatych,

– równouprawnienie kobiet, legalizacja aborcji.

Przyszły premier obiecuje rodakom radykalną zmianę (*allagi*) dotychczasowej polityki – nie będzie rewolucji, będziemy zmieniać chory system od wewnątrz – wszyscy, razem. Do PASOK-u zapisują się setki tysięcy osób.

Partia rozrasta się w nieprawdopodobnym tempie – w zaledwie kilka lat staje się drugą siłą polityczną w kraju, w którym samo słowo „socjalizm" przez lata było zakazane. W pierwszych wyborach socjaliści zdobywają piętnaście mandatów, w kolejnych już dziewięćdziesiąt dwa, w 1981 PASOK pewnie wygrywa, uzyskując czterdzieści osiem procent głosów, czyli przeszło sto siedemdziesiąt miejsc w trzystuosobowym parlamencie. Andreas Papandreou zostaje premierem.

Najpierw jednak będzie list do polskiego ambasadora.

Papandreou nie śmie zawracać Jego Ekscelencji głowy, ale pisze w imieniu partyjnego przyjaciela. Otóż przyjaciel zakochał się w pewnej pięknej Polce. Kobieta przyjechała do Grecji tylko na wakacje i – niestety – niedługo powinna wracać do kraju. Byłoby to jednak wielkie nieszczęście, bo w tym krótkim czasie para bardzo się pokochała i obojgu szalenie zależy, by być razem. Oboje są młodzi i już myślą o małżeństwie oraz dzieciach. Jego Ekscelencja na pewno rozumie zaistniałą sytuację. Problemem jest wygasająca wiza, której teoretycznie nie da się przedłużyć.

Papandreou byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby całą sprawę udało się pomyślnie rozwiązać. Tym bardziej – pisze – że on sam jest owocem miłości dziadka Polaka do Greczynki.

Dzięki Zygmuntowi Mineyce w moich żyłach płynie dwadzieścia pięć procent polskiej krwi.

Z wyrazami szacunku

Andreas Papandreou

*

Zygmunt Mineyko za udział w początkowej fazie powstania styczniowego, w potyczce kilkadziesiąt kilometrów od rodzinnego majątku Bałwaniszki niedaleko Wilna, zostaje skazany na śmierć przez powieszenie. Ma dwadzieścia trzy lata. Jego matka Cecylia – dzięki licznym koneksjom rodzinnym wśród wpływowej szlachty i niebagatelnej sumie dziewięciu tysięcy rubli – sprawia, że kara zostaje zamieniona na dwanaście lat ciężkich robót na Syberii.

Po drodze, którą zesłańcy w większości pokonują piechotą, jeden z towarzyszy Zygmunta zapada na tyfus i umiera. Młody

Mineyko podszywa się pod niego i przyjmuje nazwisko Strumiłło – bo kolega, podobny do niego wiekiem i wyglądem, miał dużo łagodniejszy wyrok: zamiast pracy w kamieniołomach – osiedlenie.

W Tomsku, cztery i pół tysiąca kilometrów od domu, Strumiłło handluje sztucznymi kwiatami i poduszkami. Chomikuje zarobione pieniądze, których niedługo jest tak dużo, że spokojnie wystarczają na sfinansowanie ucieczki. Polak i jego dwaj przyjaciele bez większych problemów docierają do Petersburga. Dzięki pomocy miejscowej Polonii Strumiłło dostaje wytworne ubranie i podrobiony paszport, umożliwiający wyjazd z Imperium Rosyjskiego. Dystyngowany baron von Mebert – o estońskich korzeniach – wsiada wkrótce na pokład brytyjskiego żaglowca w Kronsztadzie. Płynie do Kopenhagi, a później przez Rotterdam i Brukselę dociera do Paryża.

Mineyko przekazuje tamtejszym władzom listę nazwisk kilkudziesięciu Francuzów, którzy za udział w powstaniu styczniowym, podobnie jak on, zostali zesłani na Syberię. Trzy lata później – w roku 1868 – cesarz Napoleon III Bonaparte przedstawia listę rosyjskiemu carowi Aleksandrowi II, gdy ten zjawia się we Francji z wizytą. Panowie się dogadują i wkrótce Francuzi są wolni – po przyjeździe do Paryża organizują spotkanie z Polakiem i nie mogą mu się nadziękować. Bohater dostaje w nagrodę wysokie stypendium na cały okres nauki w niezwykle prestiżowej Akademii Sztabu Generalnego w Paryżu. Po dwóch latach ma dyplom w kieszeni i szybko otrzymuje ciekawą propozycję pracy – ma być inżynierem pracującym przy projektowaniu i budowie kolei w rejonie dzisiejszej północnej Bułgarii. Mineyko przyjmuje ofertę

i wyjeżdża do imperium osmańskiego – przez dwadzieścia dwa lata będzie pracował dla tureckiego sułtana.

*

Nicholas Papandreou jest bardzo wysoki, szczupły, siwiejący, siedzi za wielkim mahoniowym biurkiem i bardzo szybko mówi. Powyższą opowieść o tułaczce zna jedynie z grubsza, za to podczas naszej rozmowy ubarwia ją fragmentem o pobycie pradziadka we Włoszech i znajomości z Garibaldim, słynnym rewolucjonistą i filhellenem. Ponoć taka wersja obowiązuje w przekazach rodzinnych. Zygmunt Mineyko miał przybyć do imperium osmańskiego w celach bardziej chwalebnych niż tylko zarobek. Zainspirowany i przeszkolony przez Garibaldiego, po cichu miał wspierać grecką walkę o odzyskanie dawnych ziem.

Nicholas (Nikos, Nick) Papandreou to syn Andreasa. Jest doktorem ekonomii i politologiem (studia w Yale i Princeton), ale także pisarzem. W zależności od nastroju pisze albo po grecku, albo po angielsku. Jego książka *Father Dancing. An invented memoir* (Ojciec tańczący. Wymyślony dziennik) znalazła się wśród największych greckich bestsellerów XX wieku.

– Naprawdę? Coś podobnego! – Nikos nie miał pojęcia, że przez swojego polskiego pradziadka jest skoligacony z noblistą. Nie wie, kim był Henryk Sienkiewicz, że często bywał u Mineyków, a usłyszane u nich historie twórczo rozwijał w swoich powieściach. *Quo vadis?* Tak, chyba kiedyś o tym słyszał.

Nick Papandreou jest również sekretarzem fundacji imienia Andreasa Papandreou. Jego podstawowe zadanie to badanie

przemówień ojca, spisywanie ich i katalogowanie oraz szerzej – dbanie o to, by Grecy nie zapomnieli wielkiego przywódcy i wszystkiego, co mu zawdzięczają.

Fundacja mieści się niedaleko stacji metra Monastiraki, u stóp Akropolu. Neoklasyczna willa z uroczym ogrodem to własność rządu – przekazana fundacji w ramach wspierania trzeciego sektora na preferencyjnych warunkach. Kiedy organizacja rozpoczynała działalność, budynek był ruderą. Dziś – po długim i kosztownym remoncie – imponuje świeżością. Marmur na ścianach i klimatyzacja przynoszą cudowną ulgę po krótkim spacerze w czerwcowym słońcu.

– Tyle pieniędzy i serca włożyliśmy w remont, w tworzenie archiwum. Mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia. Szkoda, że będziemy musieli się stąd wynieść i zamknąć fundację.

– Zamykacie fundację?

– Kryzys. Nie mamy pieniędzy. Nasi darczyńcy nagle zbiednieli i nie mają czym nas wspomagać. Wcześniej dostawaliśmy też dotację od rządu i unijne granty, ale po tym, jak mój brat został premierem, fundusze się skończyły. Jorgos kazał wszystko zawiesić, żeby nie było podejrzeń o korupcję. Ledwo przędziemy. Część osób musieliśmy zwolnić, część pracuje za darmo. Jorgos chciał, żeby było uczciwie, transparentnie, bez najmniejszych podejrzeń o cokolwiek. Ale co z tego? Do fundacji nikt się, co prawda, nie może przyczepić, za to on sam, a razem z nim my, cała jego rodzina, jesteśmy łatwym celem medialnych ataków.

To dlatego Nikos początkowo nie bardzo chciał się ze mną spotkać, a jego sekretarka wielokrotnie spławiała mnie przez telefon – myślał, że historia jego pradziadka to tylko przykrywka i że jak reszta dziennikarzy zacznę go wypytywać o brata, który niedawno, po dwóch latach premierowania,

w środku potężnej politycznej zawieruchy zrezygnował ze stanowiska i jest obecnie wrogiem publicznym numer jeden.

– Media – mówi Nikos – sprzysięgły się przeciwko Jorgosowi. Przechodzi teraz naprawdę trudne chwile.

Ale Nikos też nie ma lekko. Brukowce oskarżają go o nieczyste interesy, które miał prowadzić ostatnimi czasy.

Mam nie wierzyć w nic z tych rzeczy, bo to wszystko kłamstwa.

Nie, willa z basenem w ekskluzywnej dzielnicy Aten Ekali, w której mieszka, nie należy do niego, podobnie jak porsche warte sto czterdzieści tysięcy euro i BMW z napędem na cztery koła. Jego jest tylko dziewięcioletnie rodzinne volvo. Nie, nie dorobił się fortuny na giełdowych spekulacjach dzięki temu, że miał nieograniczony dostęp do brata, a w związku z tym do niejawnych informacji. To pomówienia, na które nie ma najmniejszych dowodów. Dziennikarskie hieny insynuują najróżniejsze głupoty – a nikt nawet do niego nie zadzwoni, nie napisze, nie zapyta, jak jest naprawdę. Redakcje – mówi – publikują dyrdymały bez sprawdzania faktów. A przecież gdyby tylko go poproszono, od ręki pokazałby zeznania podatkowe z ostatnich dziesięciu lat i wszystko byłoby jasne.

Że mieszka w Ekali? A gdzie dziennikarze woleliby, żeby mieszkał? W rodzinnym domu w równie ekskluzywnej dzielnicy Paleo Psichiko? Czy może w domu dziadka w bogatej okolicy Kaseri? Do których restauracji może chodzić, jakimi samochodami ma prawo jeździć? Jako brat (syn i wnuk) premiera – jaki alkohol powinien pić? *Retsinę* czy greckie wino? A jeśli woli wina włoskie, francuskie lub chilijskie?

O Zygmuncie Mineyce też zaczęli wypisywać wierutne bzdury. Nikos widział w internecie. To grecka fanatyczna prawica. Tak, tak, właśnie tak, że Żyd. Że polski Żyd, że dzięki

niemu w żyłach greckich premierów płynie wstrętna żydowska krew.

Oraz że złodziej. Złodziej i potworny oszust – dorobił się na starożytnych monetach z Dodony, które potajemnie wywiózł za granicę. A oprócz tego – że zdrajca, który w Epirze walczył po stronie Turków przeciwko Grekom.

– Bzdury, wszystko to bzdury.

*

Mineyko niecałe trzy lata zajmuje się budową torów w południowej Bułgarii i Tracji, po czym błyskawicznie awansuje. Władze tureckie mianują go naczelnym inżynierem Epiru i Tesalii. Zdolny inżynier przenosi się do Joaniny.

Znów ciężko pracuje, budując linie kolejowe, drogi, mosty, obiekty wojskowe, i zaprzyjaźnia się z miejscowymi Grekami. Po dwóch latach poślubia córkę jednego z nich, dyrektora gimnazjum i autora podręcznika do algebry – piękną Persefonę Manaris (mąż będzie nazywał żonę rzymską wersją jej imienia – Prozerpina).

Mineyko urządza sobie długie, samotne spacery po górzystych okolicach Joaniny i wokół jeziora. Pływa łódką na wysepkę, na której ponad pół wieku wcześniej zginął Ali Pasza. W ramach relaksu i hobby przechadza się, obserwuje, notuje, odrysowuje, niweluje i trianguluje. W ten sposób sporządza kilka bardzo dokładnych map terenu. Najcenniejsza z nich – mapa etnograficzna – podoba się niezmiernie miejscowym naukowcom, którzy sponsorują jej publikację.

Na mapie dokładnie widać niewielką mieścinę Dodonę – dwadzieścia dwa kilometry na południowy zachód od Joaniny. Mineyko spędza tam długie godziny, nadzorując odkopywanie

ruin słynnej wyroczni – ponoć starszej nawet niż delficka. Tamtejsze kapłanki i tamtejsi kapłani wsłuchiwali się w szum dębowych liści, w gruchanie gołębi na gałęziach albo w dźwięki wydawane przez brązowe misy poruszane siłą wiatru – na tej podstawie wieszczyli. W dębowym gaju znajdowały się też liczne świątynie, domek dla kapłanów i amfiteatr – jeden z piękniejszych w całej Grecji. Mineyko wszystko to odsłania, a przy okazji znajduje mnóstwo figurek, inskrypcji i starożytnych monet.

Razem z Polakiem w całym przedsięwzięciu brał udział pewien chimeryczny grecki archeolog Konstantisos Karapanos z Arty na Peloponezie, który najpierw zobowiązał się wyłożyć konieczne fundusze, a chwilę później zerwał umowę. Gdy Mineyko – sponsorowany przez innych miejscowych bogaczy – odkrył w końcu cenne przedmioty, Karapanos na powrót chciał się przyłączyć do prac. Odkupił część znalezisk i zaczął rozgłaszać wszem wobec, że oto samodzielnie odkrył pradawną wyrocznię. W jego komunikatach, skierowanych między innymi do Akademii Francuskiej, nazwisko Mineyki nie padło ani razu. Zygmunt prostował, pisał wyjaśnienia, przedstawiał katalogi, spisy, dokumenty potwierdzające oszustwo Greka. Na dowód przesłał również do Polski i Francji po kilkadziesiąt monet ze swojej pokaźnej kolekcji. Jako dary trafiły one do paryskiego Luwru i krakowskiego Muzeum Narodowego. Największą część zbioru spieniężono na początku XX wieku za pośrednictwem zięcia Mineyki, hrabiego Karola Ludwika Potockiego. Kupiło je muzeum w Berlinie.

To była ta słynna kradzież, o której w internecie rozpisują się greccy faszyści.

Druga bzdura to udział w walkach grecko-tureckich po stronie Turków.

W 1891 roku Mineyko poprosił władze w Konstantynopolu o zwolnienie ze służby. Dymisja została przyjęta, a Polak wraz z rodziną przeniósł się do Aten i rozpoczął pracę w tamtejszym Ministerstwie Robót Publicznych. Został naczelnym inżynierem państwa greckiego i odpowiadał między innymi za wielkie projekty osuszania bagien czy regulacji rzek.

W czasie walk o zjednoczenie Krety z Grecją Mineyko został szefem sekcji topograficznej w sztabie generalnym i zaopatrywał grecką armię w niezwykle przydatne mapy taktyczne.

W rewanżu parlament w Atenach nadał Polakowi honorowe obywatelstwo Grecji.

Później przyszedł rok 1912. Umysły greckich polityków nadal zapładniała Wielka Idea – marzyli o odzyskaniu dawnych ziem i maksymalnym rozszerzeniu granic. Władze w Atenach chętnie przyłączyły się więc do koalicji z Bułgarią, Czarnogórą i Serbią. Wszystkie te kraje chciały ostatecznie wyrównać porachunki z Turcją. W ten sposób wybuchła I wojna bałkańska.

Σιγισμούνδος Μινέϊκο wziął w niej udział jako szef greckich służb kartograficznych. Miał za zadanie opracować szczegółowe plany zdobycia tureckich fortyfikacji w Epirze – tych samych, które niegdyś sam przecież projektował i budował! Jego sprytna koncepcja oskrzydlenia wroga pozwoliła greckim wojskom zdobyć niezwykle ważne umocnienia w rejonie Bizani, a dzięki temu pokonać Turków w bitwie o Joaninę, leżącą kilka kilometrów dalej. Miasto znów znalazło się w rękach Greków, podobnie jak większość Epiru.

Tym razem zasługi Polaka chciał sobie przypisać sam grecki król Konstantyn I, który twierdził, że zdobycie Joaniny Grecy zawdzięczają jego własnemu geniuszowi. Niedługo później

prawda wyszła jednak na jaw, o czym wiele pisały greckie gazety. Zawstydzony król przyznał Mineyce najwyższe z możliwych odznaczenie wojskowe – Helleński Złoty Krzyż Zbawiciela.

Zygmuntowi i Prozerpinie rodzą się kolejne dzieci: Stanisław, Andromacha, Klio, Witold Spirydion, Cecylia Elefteria, Jadwiga, Kazimierz i Zofia (Sofia).

*

Po moim szesnastym telefonie i osiemnastym e-mailu Nick Papandreou nie tylko zgodził się na spotkanie, ale też wspólnie ze swoją sekretarką skserował dla mnie cały plik starych dokumentów, zdjęć, listów i artykułów prasowych dotyczących rodziny Mineyków. Oboje są przemili, częstują mnie grecką kawą, oferują biurko do pracy i kserokopiarkę, z której mogę korzystać do woli.

Wszystkie zdjęcia są elegancko pozowane. W ładnie utrzymanym ogrodzie między rosłymi palmami siedzą Zygmunt i Persefona – ona już siwiejąca, w długiej, ciemnej sukni z wachlarzem w dłoni, on w mundurze z odznakami (w 1921 roku zawiśnie wśród nich także order Virtuti Militari), z bujnymi siwymi wąsami i równo przystrzyżoną bródką, w rzędzie za nimi dorosłe dzieci.

Na którymś z kolejnych zdjęć pojawia się młody wąsaty Grek, ma gęste, czarne włosy, lekko falujące i zaczesane do tyłu. Siedzi wyprostowany obok Zygmunta – to Jorgos Papandreou, od roku 1913 mąż Sofii Mineyko, późniejszy trzykrotny premier Grecji.

– Babcia była piękna, mądra, oczytana – wspomina Nikos. – To pierwsza w historii kobieta na greckim uniwersytecie,

studiowała filologię. Albo filozofię. Interesowała się Polską i swobodnie mówiła po polsku, ale była też wielką grecką patriotką.

*

W 1917 roku Mineyko przechodzi na emeryturę. Ma sześćdziesiąt siedem lat. Gdyby nie atak serca, najchętniej w ogóle nie rezygnowałby z pracy. A tak przez kilka miesięcy musi leżeć w łóżku w swoim ateńskim domu. Opiekują się nim żona i syn Stanisław, lekarz. Wolny czas Sigismundos poświęca na spisywanie pamiętników – kilkanaście opasłych tomów znajduje się dziś w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

Mineyko pisze o swoim zięciu Jorgosie, młodym i zdolnym polityku, gubernatorze wyspy Chios, o swoim wnuku Andreasie – że jako trzylatek zdecydowanie bardziej przypominał dziadka niż ojca, a przy tym już wtedy miał być o wiele mądrzejszy niż dzieci w jego wieku.

Pisze o greckich aktualnościach – wojnach, politycznych zawieruchach, o pierwszych nowożytnych igrzyskach (rok 1896), z których relacje słał do krakowskich gazet. O polskich podróżnikach, którzy chętnie odwiedzali go w Grecji – między innymi o Lucjanie Rydlu i Janie Parandowskim.

Wspomina swoje podróże do Polski, wizytę w Belwederze u marszałka Piłsudskiego w 1922 roku, w Wilnie i na tamtejszym Uniwersytecie Stefana Batorego, gdzie zamierzał zdeponować część starożytnych monet z własnej kolekcji oraz rękopis swojej kilkutomowej pracy poświęconej technikom numizmatycznym (uniwersytet, jak się okazało, nie był szczególnie zainteresowany, monety skradziono w hotelu, podręcznik zaginął).

W maju 1925 roku Mineyko planuje powrót na stałe do Polski – na jego pomysł chętnie przystaje Persefona. W pamiętniku zapisuje: „Mam odwagę obliczać na długotrwały jeszcze żywot".

25 grudnia przychodzi kolejny atak serca. Dwa dni później umiera w wieku osiemdziesięciu pięciu lat.

*

Andreas Papandreou i jego żona Margareth kończą oficjalną wizytę w Sztokholmie i samolotem greckich linii Olympic Airways lecą do Polski. Na Okęciu wita ich generał Jaruzelski z żoną Barbarą. Jest październik 1984 roku, ciepłe popołudnie, wokół pełno polskich i greckich flag. Dzieci wręczają gościom bukiety czerwonych goździków.

Grecki premier jest pierwszym przywódcą kraju członkowskiego NATO, który odwiedza Warszawę po izolacji związanej ze stanem wojennym. Waszyngton jest wściekły, podobnie jak większość europejskich stolic, gdy Papandreou nazywa polskiego przywódcę patriotą i krytykuje Solidarność, która jego zdaniem początkowo, owszem, była silnym ruchem wolnościowym, ale później przekształciła się w zjawisko „negatywne i niebezpieczne". Papandreou broni też decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego – gdyby nie Jaruzelski, tłumaczy, do Polski z pewnością wkroczyłyby wojska sowieckie.

Są oficjalne i nieoficjalne rozmowy, wspólne uroczyste kolacje, konferencje prasowe. Papandreou pyta o Bałwaniszki, skąd pochodził jego dziadek Zygmunt Mineyko. Czy to daleko od Warszawy? Bo jeśli nie, może pojechałby zwiedzić rodzinne strony. Ale Bałwaniszki to wtedy już, niestety, Białoruska

Socjalistyczna Republika Radziecka. Załatwienie formalności trwałoby zbyt długo. Z wycieczki nici, ale na pocieszenie grecki premier dostaje olbrzymi i elegancki album ze zdjęciami członków rodziny Mineyków. Autorem jest Jerzy Zdrada z Biblioteki Jagiellońskiej.

(Po niemal trzydziestu latach prezent nadal wygląda jak nowy. Znajduje się w zbiorach ateńskiej fundacji i nieczęsto ktoś do niego zagląda. Jego brązowa skórzana okładka zdążyła się nieco zakurzyć. Przeglądamy album razem z Nikosem Papandreou, który wymienia osoby na zdjęciach – rozpoznaje swoich dziadków i pradziadków, ale tych małych dziewczynek z warkoczami już nie kojarzy, to pewnie pozostałe wnuczki Mineyków, jego dalekie kuzynki. Oprócz zdjęć są tam również listy Zygmunta, które wysyłał z Aten do krewnych w Polsce, a także krótki tekst o historii rodziny oraz trochę prasowych wycinków).

Rok 1987, 20 listopada. Gdy generał Jaruzelski składa rewizytę, na lotnisku w Atenach pada deszcz. Po oficjalnym powitaniu przez premiera Papandreou przewodniczący Rady Państwa odjeżdża do hotelu w nadmorskiej dzielnicy Aten – po drodze zarządza jeszcze przystanek i odbywa krótki spacer po Akropolu. Następnego dnia jest słonecznie. Politycy spotykają się około południa. Jaruzelski oddaje hołd greckim bohaterom pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza, przy siedzibie parlamentu, na placu Syntagma. Chwilę później długa kolumna samochodów odjeżdża na cmentarz. Obaj politycy składają kwiaty na grobie Zygmunta Mineyki.

*

Odkąd został premierem, Andreas Papandreou we wszystkie zagraniczne podróże latał samolotami Olympic Airways. Zawsze pod opieką tej samej ekipy – ci sami piloci, te same stewardesy. Jedną z nich była Dimitra Liani. Wysoka, nieco pulchna blondynka – o połowę młodsza od honorowego pasażera.

Ludzie zaczęli gadać, gdy latem 1988 roku Papandreou pojawił się w towarzystwie Liani na jakimś służbowym spotkaniu na Rodos: kim ona jest i o co w ogóle chodzi?

Kilka miesięcy później wszystkie wątpliwości zostały rozwiane. Premier wracał z Londynu, gdzie przeszedł poważną operację serca. Zabieg zakończył się powodzeniem, ale z samolotu wysiadał człowiek widocznie osłabiony, wychudzony, postarzały. Telewizje na żywo relacjonowały przylot premiera. Przed ateńskim lotniskiem czekały tłumy. Papandreou wolno schodził po schodach, a po chwili dołączyła do niego tajemnicza blondynka. Trzymając się za ręce, wsiedli do rządowej limuzyny.

Greckie media znienawidziły kochankę premiera. „Osaczyła go, zniewoliła, ogłupiła". Gazety publikowały kompromitujące lub kontrowersyjne zdjęcia, a bywało, że same je fabrykowały – na przykład to, na którym naga Liani leży na plaży i daje się pieścić innej nagiej kobiecie. Skandale wybuchały jeden po drugim.

„Mimi szefową gabinetu premiera! Co ona wie o polityce?"

„Papandreou rozwiedziony".

„Ślub!"

„Liani-Papandreou chce startować w wyborach".

„Wstyd na szczycie w Brukseli – Dimitra Papandreou siedzi obok premiera, szef MSZ odesłany do ambasady".

Kiedy Nikos któregoś razu zapytał starego i schorowanego ojca, co on najlepszego wyprawia, czy nie widzi, jak się kompromituje, ten w odpowiedzi zapytał syna, czy kiedykolwiek był zakochany.

# 19

Studencka stołówka była olbrzymia. Na jeden raz mogła pomieścić około tysiąca osób. Gdy powstała w połowie lat dziewięćdziesiątych, lokalne gazety w Joaninie rozpisywały się o tym, jak bardzo jest nowoczesna – po skończonym jedzeniu talerz odkładało się na taśmę, która zakręcała kilkakrotnie, wspinała się pod sufit i tamtędy dostarczała naczynia wprost do zmywalni, nad głowami kolejnych studentów, którzy ustawiali się z tacami przed wielkim, metalowym, kręcącym się w koło stołem pełnym gotowych porcji. W 2010 roku taśma psuła się niemal codziennie, a obrotowy stół w ruch często wprawiali sami kucharze – silnym odepchnięciem ręką. Od dawna nie działały też bramki, przez które przechodziło się w drodze po plastikowe tace, a których zadaniem było liczenie wszystkich stołujących się. Ich funkcję pełniła teraz zatrudniona na etacie kobieta, która siadała na wysokim barowym stołku i stawiała pionowe kreski w zeszycie w szeroką linię. Każda kreska to jedna osoba. Dziesięć kresek zakreślała w niechlujne kółko. Jej obliczenia rzadko kiedy były poprawne – często schodziła ze stołka, szła do kuchni, rozmawiała przez telefon i nikt nie czekał, aż pojawi się z powrotem. Wchodził, kto chciał, kto był akurat w pobliżu i zgłodniał, komu skończyły się pieniądze albo żywieniowe zapasy przesłane przez troskliwą mamę. Nie tylko studenci – którzy w liczbie kilkunastu tysięcy wraz z legitymacją otrzymywali prawo do trzech darmowych posiłków dziennie – ale także ich niestudiujący znajomi lub klienci sklepu

papierniczego, który znajdował się tuż obok stołówki. Wystarczyło zachowywać się naturalnie, a w razie czego wybąkać kilka słów po angielsku – co miałoby oznaczać, że jest się studentem na wymianie zagranicznej.

Stoły, przy których jadaliśmy, były jednakowe, z blatem z białej dykty, połączone z czterema czerwonymi krzesłami. Na każdym stole stały pojemnik z solą i dwie butelki – z kwaskiem cytrynowym i octem winnym. Pomiędzy stołami rozmieszczono stanowiska z oliwą z oliwek, dolewaną przed każdym obiadem przez pracowników kuchni do metalowych dzbanków z długą trąbą. Jarzeniowe światło drażniło oczy.

Niezależnie od pogody na zewnątrz w środku zawsze było koszmarnie gorąco. Czasami musieliśmy stać w kolejce przez kilka, kilkanaście minut, czekając, aż zwolnią się jakieś miejsca. Wtedy, choć mógł to być środek zimy, pociliśmy się, ściągaliśmy kurtki, szaliki, swetry. Co odważniejsi, ci, którzy nie bali się psów, wybierali czekanie na dworze, wypalali papierosa albo dwa i wracali, gdy kolejka się zmniejszała. Myśmy zawsze czekali w budynku. Wachlowaliśmy się nawzajem, denerwowali, że tak długo to trwa i że gorąco. Nie paliliśmy, nie chcieliśmy marznąć i baliśmy się psów, które koczowały przy wejściu. Były ich dziesiątki. Same duże, ani jednego krótkonogiego kundla. Jedne wylegiwały się na ziemi tuż przed stołówką, spały na plecach, z łapami wyciągniętymi ku górze, jakby nie żyły, inne ganiały w kółko, zagradzały drogę, wyrastały nagle przed człowiekiem i wpatrywały się w jego twarz. W porze obiadu zbiegały się tu wszystkie psy z kampusu. Całymi hordami. Jedne wypasione, niektóre ciężarne, inne z wystającymi żebrami. Rzadko szczekały lub warczały, ale potrafiły być bardzo nachalne. Przyklejały się do

nóg niektórych studentów i nie pozwalały zrobić kroku. Wszystkie czekały na profesorkę.

Gdy tylko się dało, siadaliśmy przy wielkim oknie, z którego rozciągał się widok na dalekie góry Epiru i ich szczyty – czasami ośnieżone, czasami tonące w gęstych chmurach. Jedynie w weekend panował w stołówce względny spokój i można było swobodnie rozmawiać, w pozostałe dni tygodnia muzyka zagłuszała nawet dźwięk sztućców uderzających o talerz. Z głośników co chwila rozlegały się też ogłoszenia o najbliższych imprezach: największych w mieście, z najlepszym didżejem z Aten, z darmowym wstępem dla studentów i pierwszym drinkiem gratis dla wszystkich dziewczyn.

Profesorka siadała pięć stolików od nas. Zawsze na tym samym miejscu. Zawsze sama. Miała krótkie siwe włosy. Nosiła niemodne okulary, brązowe sztruksy i jedną z trzech polarowych bluz na zamek – czerwoną, czarną albo szarą. Była stara, drobna i zgarbiona. Nikt się z nią nie witał, nie pytał, jak się ma. Siedziała ze spuszczoną głową i jadła. Przy sobie zawsze miała przezroczystą reklamówkę, a w niej kilka plastikowych pojemników.

Zaczynała od siebie. Połowę swojej porcji, niezależnie od tego, co akurat serwowano, zawsze odsuwała na bok talerza, a po jedzeniu wkładała ją do jednego z pojemników. Później podchodziła do popsutej taśmy i zbierała resztki z talerzy studentów. Czasami zajmowało to nawet kilkadziesiąt minut. W oczekiwaniu na kolejne talerze siadała przy swoim stoliku, wyciągała książkę i czytała. Tak kilka razy, aż wszystkie pojemniki były pełne. Wkładała je na powrót do reklamówki. Z naprężonymi mięśniami opuszczała stołówkę. Na jej widok wszystkie psy się podrywały i biegły do niej, merdając

ogonami. Profesorka nie zatrzymywała się ani na chwilę. Szła lekko zgarbiona na pobliski trawnik. Psy za nią – spokojnie i powoli. Opróżniwszy pojemniki, profesorka stawała z boku i liczyła ucztujące psy. Wynik zapisywała w małym, czarnym kajecie. Chciała wiedzieć, ile pojemników powinna przynieść następnym razem. Zapis z jednego dnia miał się jednak nijak w stosunku do dnia poprzedniego i kolejnych dni. Raz było psów więcej, raz mniej.

Studenci mówili na nią „stara".

– To wszystko wina tej starej. Niech u siebie w domu je karmi. Stara je nauczyła i stąd ich tyle przed stołówką.

# 20

Autobus z Joaniny do Larisy miał jechać trzy godziny. Była sobota, późny, deszczowy ranek, a niebo – zdawało się – nie udźwignęłoby ani jednej chmury więcej.

Po drodze chciałem poukładać sobie w głowie to, czego dowiedziałem się do tej pory, głównie jednak to, czego nie wiedziałem. W notatniku miałem zapisać najważniejsze pytania.

Dobre pół godziny wyjeżdżaliśmy z miasta, bo autobus zatrzymywał się co kilka kilometrów, zabierał kolejnych podróżnych i ich mokre parasolki.

Chwilę później pokonywaliśmy już wysokie i leniwe góry Pindos, które dopiero niedawno zostały częściowo ujarzmione. Buldożery rozpruły ich nietykalne wcześniej podbrzusza i wyszarpały z nich wszystkie wnętrzności, a człowiek cementem i smołą wygładził te długie, kilkukilometrowe, głębokie bruzdy, te dokostne rany. Tak powstały siedemdziesiąt trzy górskie tunele wzdłuż epirskiego odcinka Egnatii Odos.

Z gór Epiru na tesalskie niziny zjeżdżaliśmy serpentynami wąskich, starych dróg. Gęsta mgła, która nie zdążyła się jeszcze podnieść, szczelnie zasłaniała mokre pola, łąki i lasy. Drogi okazały się śliskie, więc wlekliśmy się powoli, a mżawka, delikatnie uderzając o szyby, skutecznie usypiała. W autobusie było cicho i duszno.

Półgodzinna przerwa przy wjeździe do Kalampaki, u podnóża słynnych Meteorów. Wokoło pełno kolorowych tablic: „Frei

Zimmer" i „Rooms to rent". Na poboczach plastikowe butelki po wodzie mineralnej, papierowe kubki po kawie i tysiące petów zaplątanych w niemrawej trawie. Marzłem, patrząc na skały powleczone gęstą mgłą, która zasłaniała klasztory.

Zastanawiałem się, jak to z nimi będzie. Wujka Apostolisa miałem zobaczyć po raz pierwszy w życiu – znałem go jedynie z opowieści mojej mamy: mądry, cichy, miły, dobry człowiek. Jego żonę, ciotkę Kulę – siostrę mojego ojca – po raz trzeci. Spotkaliśmy się kiedyś w Salonikach, u ciotki Sultany. Już wtedy wyglądem przypominała swoją mamę – moją babcię Marię – i gdy siadały razem przy stole, przy poobiedniej greckiej kawie, którą pije się z małych śmiesznych filiżaneczek – dwie siwe staruszki, ubrane w czarne spódnice i czarne bluzki – trudno było odróżnić jedną od drugiej. To twoja babcia, to twoja ciotka – powiedziano mi wcześniej. Ale nie mogłem przecież tak od razu w to uwierzyć.

Parę lat później w Salonikach odbywało się wesele mojego dalekiego kuzyna, na które zostałem zaproszony. Babcia już wtedy nie żyła (umarła, przekroczywszy dziewięćdziesiątkę, choć nikt dokładnie nie wie, ile miała lat). Razem z ciotką Kulą jechaliśmy z kościoła do sali, w której zorganizowano przyjęcie. Ciotka zapytała, czy zjadłem wcześniej obiad.

– Nie? To niedobrze. W Grecji bardziej najesz się na pogrzebie niż na weselu.

Miała rację. Było wino, *ouzo*, piwo, szampan; były owoce i tace pełne różanych płatków, którymi obsypuje się tańczących, ale najeść się nie szło. Jedyny posiłek stanowiła wczesna kolacja – ryż z wołowiną. Ciotka Kula poszła do kuchni i jakimś cudem skombinowała mi podwójną porcję.

Teraz jadę do nich na sobotę i niedzielę. Mamy rozmawiać, razem jeść, mam spać w ich domu i jeszcze wypytać ich o te

wszystkie historie sprzed ponad sześćdziesięciu lat. A co, jeśli nie będą chcieli rozmawiać? Albo jeśli zapomnieli? A co, jeśli już im się wszystko pomieszało: daty, miejsca, osoby, uczucia, których doświadczali? A może nie mówią już po polsku?

Kierowca obudził mnie, potrząsając moim prawym ramieniem. Byłem ostatni, wszyscy pasażerowie już wysiedli. W Larisie nie było ani śladu mgły. Słońce przebijało zza chmur. Podałem taksówkarzowi kartkę z adresem.

– Chodź, chodź, witaj, dzień dobry – prawie szeptem przywitała mnie ciotka. – Wujek właśnie zasnął. Czekał na ciebie, ale kiepsko się dziś czuje. Zapowiadają deszcz.

# 21

Kiedy przyszło im uciekać z Grecji (wrzesień 1946 roku), ciotka Kula (oficjalnie Kiriaki – jak niedziela) miała dziewięć lat. Dzisiaj ma siedemdziesiąt pięć i ciągle sporo z tego wszystkiego pamięta. Daty, miejsca, kierunki, kolejność zdarzeń, kto, dlaczego. I trudne polskie słowa, które budują jej opowieść: rozstrzelać, faszyści, komuniści, żółtaczka, wszy, lepianki, prewentorium. Jakby nie wyjechała z Polski trzydzieści pięć lat temu, jakby ich codziennie używała.

Zaczynamy rozmawiać przy obiedzie. Zielona fasola duszona z pomidorami, czosnkiem, cebulą i sztuką wieprzowiny z kością. Jedzenie stygnie – ciotki, bo ciągle mówi, moje, bo słucham. Jedynie wujek Apostolis sobie nie przeszkadza.

Jej najstarsze wspomnienia są jeszcze sprzed wojny domowej – kiedy Mussolini napadł na Grecję w 1940 roku i włoscy żołnierze pojawili się w wiosce.

Lagkadia leży na północnym skrawku Grecji, tuż przy granicy z dzisiejszą Macedonią, w wysokich górach Pindos. Kilkadziesiąt domów na krzyż. Trochę pontyjskich Greków przesiedlonych z wybrzeży Morza Czarnego w latach dwudziestych, ale głównie – tak jak moja rodzina – greccy Wołosi (Meglenorumuni) wywodzący się od dawnych pasterzy i rolników, mający własny język – wołoski (według ciotki Kuli ni to rumuński, ni hiszpański, ni włoski; kiedyś znała go dobrze, bo z babcią i dziadkiem rozmawiali niemal wyłącznie we „wlachika") i wyznający prawosławie (modlitwy odmawiają po grecku). Na pytanie, kim są lub skąd są, jeszcze do

niedawna potrafili odpowiedzieć: „miejscowi” albo „chrześcijanie”. Dziś jednak Wołosi są już niemal całkowicie zhellenizowani.

– Włosi nie byli najgorsi. Trochę krzyczeli, wymachiwali karabinami. Co najwyżej zabierali ludziom kurczaki i świnie. Za to gdy Bułgarzy weszli do wioski, ludzie zaczęli się modlić.

Na dźwięk kościelnych dzwonów wszyscy mieszkańcy zeszli się na centralną *platiję* (plac). Bułgarscy żołnierze przywiązali do wielkiego platana wujka mojej babci – bo znaleźli u niego strzelbę. Na próżno tłumaczył, że jest myśliwym, że strzela z niej do dzików i lisów. A wcześniej jeszcze ugościł ich w swoim sklepie – dał im wina i trochę jedzenia.

– Tak długo do niego strzelali, że drzewo stanęło w płomieniach. Tliło się jeszcze wiele godzin po tym, jak wujka odwiązano, aż w końcu został po nim tylko zwęglony kikut.

Była jeszcze ta dwutygodniowa dziewczynka bez imienia, którą Bułgar w napadzie szału wrzucił do ognia. Nie wiadomo dlaczego. To była ciotki Kuli daleka kuzynka.

I jeszcze wujkowie, bracia mojej babci, Michalis i Petros, którzy walczyli w organizowanym przez komunistów ruchu oporu, Andartes (partyzanci).

*

Z pomocą Brytyjczyków Grecy szybko i sprawnie odpierają atak Mussoliniego, ale kilka miesięcy później nie udaje im się zatrzymać marszu nazistów.

27 kwietnia 1941 roku Niemcy są już w Atenach i zamierzają zawiesić na Akropolu wielką swastykę. Na miejscu spotykają żołnierza z gwardii honorowej, któremu każą zdjąć z masztu wiszącą tam biało-niebieską flagę Grecji. Konstandinos

Kukidis waha się przez chwilę, ale na wykonanie rozkazu nie ma zbyt wiele czasu. Zdejmuje flagę i owinięty w nią rzuca się ze skały. Ginie na miejscu. Rozpoczyna się okupacja.

Premier z ministrami i rodzina królewska uciekają do Egiptu, w Atenach powstaje rząd kolaborantów.

*Wielu Greków stawiało opór [...]. Mój ojciec został mianowany kapitanem kawalerii i walczył dzielnie. Mój nastoletni brat Spiros zapisał się do młodzieżowej organizacji partyzanckiej. Wierzyli, że wygramy. [...] To, co wtedy widziałam, często do mnie powraca: opuszczone i zniszczone Ateny. Na ulicach ani jednej żywej duszy, za to dziesiątki nazistowskich czołgów, które gruchotały chodniki. Swastyka powiewająca na Akropolu. [...] Ludzie wydawali podziemne gazety, dołączali do partyzantów w górach. Ale zdarzali się i tacy, którzy pracowali dla Niemców. Jednym z nich był mój wujek Jorgos. Rojalista i germanofil. Współpracował z premierem Ioannisem Rallisem – twórcą Batalionów Bezpieczeństwa, bojówek wyposażanych przez Niemców, które brutalnie rozprawiały się z partyzantami. Rallis mianował wujka Jorgosa prezesem Greckiego Banku Narodowego. Mój ojciec i brat nigdy więcej się do niego nie odezwali. Kiedy umarł na atak serca, nie poszli na pogrzeb. [...] Wojna była prawdziwą zmorą. Okupanci konfiskowali plony i bydło. Brakowało wody. Ludzie umierali z głodu na ulicach. Wielkie ciężarówki zbierały ciała i wrzucały je do masowych grobów. Deportacje i egzekucje dotknęły dziesiątki, może setki tysięcy osób. Mimo tych wszystkich okropieństw od samego początku zdarzały się spontaniczne akty odwagi, które dowodziły, że Grecy łatwo się nie poddadzą*[5].

Ogólnogrecki ruch oporu tworzą komuniści. Jako jedyni mają spore doświadczenie w działalności podziemnej – zdobyli je podczas surowej dyktatury Ioannisa Metaxasa (1936–1941), gdy ich partia została zdelegalizowana, a oni sami oraz ich sympatycy byli prześladowani.

Najpierw powstaje Front Wyzwolenia Narodowego (EAM), a później zbrojne skrzydło tej organizacji – Ludowa Armia Wyzwolenia Narodowego (ELAS). Oprócz komunistów do podziemia schodzą także socjaliści, liberałowie i partia chłopska. Główne cele to: walka z faszyzmem, odzyskanie wolności i przeprowadzenie referendum w sprawie ustroju państwa. Komuniści są za republiką i władzą wybieraną w demokratycznym głosowaniu, a przeciwko monarchii.

EAM szybko zyskuje masowe poparcie – szczególnie na północy kraju, gdzie okupanci są znacznie słabsi. W skład partyzanckiej armii wchodzą dziesiątki tysięcy ochotników, w tym wiele kobiet. Powstaje „rząd z gór", czyli Tymczasowy Komitet Wyzwolenia Narodowego (PEEA), który powołuje partyzancką republikę na odbitych terenach – osobne państwo w okupowanym państwie.

W kraju EAM-ELAS, nazywanym także Wolną Grecją, obowiązuje konstytucja, która jest kamieniem milowym dla greckich ruchów emancypacyjnych: zapewnia równość kobiet i mężczyzn oraz pozwala na udział kobiet w wyborach. Wprowadza też niezależną od płci płacę minimalną.

Greczynki po raz pierwszy masowo i świadomie angażują się w działalność polityczną: zakładają kuchnie polowe, transportują rannych, zaopatrują partyzantów w jedzenie, ubrania i broń. Tysiące z nich opuszczają miasta i uciekają w góry, żeby wstąpić w szeregi ELAS. Pod koniec okupacji powstają specjalne kobiece plutony, a partyzantki (*andartises*)

przechodzą odpowiednie szkolenia. Wojskowi dowódcy często jednak ograniczają udział kobiet w walkach – wbrew ich woli. Niech lepiej zajmują się rannymi, niech gotują, transportują, szmuglują. Niech lepiej same nie giną.

W ramach nowej konstytucji spora część władzy w Wolnej Grecji przypada lokalnym samorządom, a wymiar sprawiedliwości nadzorują lokalne sądy ludowe – w każdym orzeka pięciu sędziów wybieranych przez mieszkańców danej społeczności. Partyzanci tworzą powszechny system przedszkolny, reformują oświatę i system zdrowia. Budują szkoły, otwierają teatry, szpitale i fabryki. Nic dziwnego, że ich popularność w społeczeństwie rośnie, a szeregi ciągle pęcznieją.

Przeciwnicy partyzantów – z rodziną królewską i rządem na uchodźstwie na czele – nazywają nową republikę komunistyczną dyktaturą – choć historycy wolą dziś pojęcia *laokratia* (władza ludu) lub *laiki demokratia* (ludowa demokracja).

Niezadowoleni są także Brytyjczycy – Winston Churchill za chwilę przecież pojedzie do Moskwy i dogada się ze Stalinem co do podziału łupów na Bałkanach. Rumunię wystrzeli w orbitę radziecką, a Grecję uczyni brytyjską strefą wpływów. Rosnący w siłę greccy komuniści to coś, czego jego plan nie zakładał.

Październik 1944 roku. Koniec wojny jest bliski. Niemcy się wycofują, Grecja jest wolna. Bilans trzyletniej okupacji tragiczny: ginie siedem procent populacji, ponad trzysta tysięcy osób umiera z głodu. Sześćdziesiąt tysięcy greckich Żydów nie wraca z Auschwitz. Porty, mosty, wsie i miasta w ruinie. Szaleje inflacja i bieda. Trwają brutalne odwety na hitlerowskich kolaborantach.

*To była eksplozja radości. Po ponad czterdziestu miesiącach hańby, opresji i żalu Ateny oszalały. Ludzie wybiegli na ulice. Płakali, śmiali się, śpiewali i tańczyli. Dzwony wszystkich kościołów rozbrzmiewały jak jeden cudowny chór. […] Partyzanci schodzili z gór. Witano ich uroczyście. Otwarto więzienia. […] Grecka flaga znów powiewała nad Akropolem. Ale bardzo szybko, zbyt szybko, pojawił się dziwny niepokój, początkowo bardzo niewyraźny. Bojownicy elas chcieli uroczyście wejść do stolicy, ale zatrzymali się na obrzeżach. Dlaczego? Ludzie zaczęli patrzeć na siebie coraz bardziej podejrzliwie. Zadawano straszne pytania: jak to możliwe, że w czasie wojny nigdy nie byłeś głodny? Widziano cię w towarzystwie policji, jak to wyjaśnisz? Skąd brałeś w tych czasach pieniądze? Czy to nie ciebie widziałem w kabarecie, siedzącą obok niemieckiego żołnierza?*[6]

W Atenach powstaje rząd jedności narodowej z premierem Jorgosem Papandreou (zięciem Zygmunta Mineyki) na czele. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami kilka ministerstw obejmują w nim ludzie PEEA. Szybko jednak składają dymisję, po tym jak Papandreou żąda rozbrojenia ELAS. Komuniści boją się, że premier chce zmarginalizować ich udział we władzy.

W grudniu 1944 roku EAM organizuje w Atenach masową demonstrację. W trakcie zamieszek wierna rządowi policja zabija na placu Syntagma ponad dwadzieścia osób, rani grubo ponad setkę. Wybuchają wielodniowe, brutalne walki i ataki na policyjne komisariaty, które przejdą do historii jako Dekemwriana (od nazwy miesiąca).

*Po krótkim czasie spokoju Grecja znów stała się polem bitwy – krajem nienawiści i horroru. Obie strony dokonywały nieopisanych zbrodni. Na naszych oczach Eleni Papadaki, jedna z najsłynniejszych aktorek, została wyciągnięta z domu i zamordowana przez komunistów, którym nie podobało się, że w czasie wojny przyjaźniła się z Ioannisem Rallisem, szefem kolaboranckiego rządu. Ten akt potwornej zemsty, tak jak wiele innych, spowodował, że wielu ludzi zaczęło odwracać się od partii komunistycznej. Ale krzywdy wyrządzone komunistom były takie same albo nawet większe. Miałam wrażenie, że wszyscy Grecy przemienili się w barbarzyńców*[7].

Władze aresztują zwolenników lewicy i nie zważają na brutalne działania antykomunistycznych bojówek. Rozpoczyna się „biały terror" wymierzony w byłych partyzantów.

W załagodzenie konfliktu angażują się sam Winston Churchill i stacjonujące w Grecji oddziały brytyjskiej armii. Komuniści żądają, by Brytyjczycy opuścili kraj. Bojkotują wybory parlamentarne, które wygrywają zwolennicy monarchii. Wkrótce potem rząd organizuje referendum w sprawie ustroju – górą są zwolennicy króla, choć według dzisiejszej wiedzy historyków plebiscyt najpewniej sfałszowano.

Jego Wysokość Jerzy II wraca do kraju, ale niedługo później umiera na atak serca. Tron obejmuje jego brat Paweł I. Na scenę wkracza też królowa Fryderyka…

W tym samym czasie prawicowe bandy, nad którymi rząd nie umie zapanować, kontynuują represje wobec partyzantów. Ci znów wycofują się w góry i myślą o siłowym przejęciu władzy. Wojna domowa jest już nieunikniona. Grecy stają przeciwko Grekom.

*

Żołnierze wierni królowi i rządowi w Atenach (ciotka Kula nazywa ich faszystami) przychodzili i nękali moją babcię, żeby gadała, natychmiast: gdzie się ukrywają jej bracia? Partyzanci Michalis Zdrozis i Petros Zdrozis. Gdzie są? Ona odpowiadała, że nie wie i niech jej dadzą spokój, niech jej nie pytają, niech zapytają ich żony. Ci jednak nie rezygnują. W poszukiwaniu nielegalnej broni przeorali pola, wybebeszyli dom i stodołę.

Jednego razu zabrali babcię Marię i dziadka Dionisiosa za wioskę i skatowali końskimi batami. Lali po głowie, po twarzy, po brzuchu, po nogach. Raz za razem.

– A przecież ona była wtedy w ciąży z twoim ojcem – mówi ciotka Kula. – Dlatego ją męczyli. Myśleli: ciężarna, to wygada.

Zaciągnęli ich oboje nad jakąś przełęcz i kazali spojrzeć w dół. Niech się jeszcze przed śmiercią pomodlą. I w kółko: gdzie twoi bracia? Gdzie partyzanci?

– Mama na to: „Zabijcie mnie, ale ja nie wiem". Rodzice naprawdę nie mieli pojęcia. Później mówili, że gdyby wiedzieli, pewnie by ich ze strachu wydali.

Babcia po tym pobiciu przez dwa tygodnie dochodziła do siebie. Dziadek owijał ją baranimi skórami, żeby rany szybciej się goiły. Żyli w ciągłym strachu.

Był wrzesień 1946 roku. Deszcz padał całą noc. Partyzanci wpadali do domów i krzyczeli: „Uciekajcie, będą bombardować!" Wcześniej zabili jeszcze trzy rodziny, które jako jedyne we wsi popierały wojska rządowe.

Szli całą noc. Bez przerwy. Zmarznięci, głodni, przestraszeni. Na tyle szybko, na ile pozwalały mrok, deszcz i spływające wodą górskie ścieżki. Dobre trzysta osób, cała wieś. Na

miejscu zostało jedynie kilku mężczyzn, którzy pilnowali gospodarstw, w tym mój dziadek. Ciotkę Kulę za rękę trzymała ciotka Janula, starsza o kilka lat. Wujek Ioannis niósł na rękach mojego kilkumiesięcznego ojca owiniętego w pieluchy. Babcia szła na samym końcu, tuż za swoimi starymi rodzicami. Pilnowała, by nikt nie odstawał od grupy, w której niemal każdy był ze sobą bliżej lub dalej spokrewniony. Zostawili wszystko, co mieli. Ubrania, jedzenie. Liczyli, że wrócą – za kilka dni, za tydzień, za dwa. Za babcią wlókł się cielak, czarna jałówka z białą plamką między oczami.

Po trzech dniach w lesie, pod eskortą partyzantów, dotarli do granicy z bratnią Jugosławią.

– Byliśmy mokrzy, głodni, spragnieni, zmęczeni. Najmniejsze dzieci bez przerwy płakały.

Kilka godzin czekali przy szlabanie, aż pozwolono im przejść na drugą stronę. Zaprowadzono ich do opuszczonego drewnianego kościoła, w którym zostali przez równe czterdzieści dni. W rejonie miasteczka Gewgelija (w dzisiejszej Macedonii).

Zdaniem ciotki Kuli najgorsze były brud i skaczące po człowieku wszy. Nie mieli pieniędzy ani jedzenia. Jeszcze ciężej się zrobiło, gdy grupa została rozdzielona i poszczególne rodziny trafiły do kilku okolicznych wiosek. Moja rodzina zamieszkała w starej lepiance. Wszyscy spali na podłodze. Za kołdrę służyły im ciężkie, czerwone zasłony, które ukradli z kościoła. Dziury w oknach pozatykali workami. Nie mieli co jeść, więc ciotka Kula chodziła z babcią na żebry.

– Człowiek był głodny, to się nie wstydził. Od domu do domu chodziłam z wyciągniętą ręką. Jedna gospodyni dała kawałek chleba, to dobrze, inna nie dała, to trzeba było iść dalej.

Pewnego dnia ciotka – miała wtedy jedenaście lat – zobaczyła grupę Macedonek, które niosły na cmentarz wielkie tace i kosze z jedzeniem: z baklawą, z chlebem, z różnymi pitami. Dla powracających na ziemię dusz zmarłych. Ciotka zaczekała, aż kobiety odejdą, i nakradła tyle, ile zdołała unieść. Pierwszy raz od dawna cała rodzina najadła się do syta.

*

Robimy godzinną przerwę, bo przyszła pora na *Granice miłości* – turecki hit serialowy. Jeden z wielu. Ciocia z wujkiem oglądają wszystkie odcinki. Nie przeszkadzają im napisy – choć żeby je przeczytać, muszą się nieco wychylać ze swoich foteli.

– Ona jest Turczynką. Ojciec chce ją wydać za swojego kolegę. Ona nie chce. Ucieka z domu i znajduje pracę w hotelu jako pokojówka. Tam poznaje młodego cudzoziemca, który okazuje się synem bogatego greckiego armatora. Zakochują się. Ale on ma już narzeczoną, taką wredną Greczynkę w Atenach.

W trakcie reklam ciocia podaje kruche maślane ciastka (*koulurakia*) i grecką kawę (*elliniko*) w małych filiżankach, na półsłodko (*metrio*).

*

Podczas gdy Europa powoli podnosi się z gruzów, w Grecji wojna domowa trwa w najlepsze. Władze w Atenach uzyskują wsparcie od Brytyjczyków, a później jeszcze większe od Amerykanów (między innymi w postaci dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów w ramach antyradzieckiego programu, tak

zwanej doktryny prezydenta Trumana). Komunistom pomagają głównie Jugosławia i ZSRR, choć raczej ideologicznie niż materialnie.

Demokratyczna Armia Grecji (DSE), która powstała po rozwiązaniu EAM-ELAS, opanowuje kolejne tereny na północy kraju, Peloponezie i niektórych wyspach, między innymi na Ikarii. Armia prorządowa, znacznie liczniejsza, choć gorzej wyszkolona, nie umie odeprzeć partyzanckich ataków.

W grudniu 1947 roku komuniści znów ogłaszają utworzenie tymczasowego rządu, który będzie sprawował władzę na kontrolowanych obszarach. Nową stolicą ma być niewielka Konitsa, kilka kilometrów od granicy z Albanią. Problem w tym, że nowych władz nie uznają nawet kraje komunistyczne.

Kolejne sukcesy partyzantów niepokoją Waszyngton. Amerykanie zaopatrują wojska rządowe w brakujący sprzęt i wysyłają do Aten doradców, którzy wchodzą w skład wspólnego sztabu. Dzięki temu rojaliści przejmują inicjatywę i pokonują wroga w bitwie o Konitsę. Rozpoczynają też wyniszczające dla komunistów naloty z użyciem napalmu.

W miejscowości Bulkes, na północny zachód od Belgradu, powstaje ośrodek szkoleniowy dla przyszłych partyzantów. Do tamtejszego szpitala polowego trafiają również ranni bojownicy.

*

– Bez nóg, bez rąk, bez oczu, co ja się wtedy napatrzyłam!

Ciotka Kula twierdzi, że babcia nie chciała jechać jeszcze dalej na północ, na teren dzisiejszej Serbii, ale nie było wyjścia. W Bulkes potrzebowali rąk do pracy, a jak się później

okazało, także nowych rekrutów. Po paru tygodniach powołanie dostały ciotki Tryfonia i Antonia, żony wujków Michalisa i Petrosa. Oraz moja babcia.

– Mama się wściekła. Wzięła mundur, który jej wcześniej przynieśli, i z awanturą poszła do biur: macie już moich dwóch braci i dwie szwagierki. Co będzie z ich dziećmi? I co z moją czwórką? Pójdę, jak i wy pójdziecie.

Kazali jej wracać do domu i czekać. Powtórne wezwanie jednak nie przyszło. Parę tygodni później mogła odetchnąć swobodniej – była w ciąży z ciotką Sultaną, a ciężarnych nie brali. Inne matki przebywające w Bulkes, które nie zamierzały walczyć na froncie, często wymuszały wymioty albo celowo nie jadły przez kilka dni, żeby wyglądać na osłabione.

Ciotka Kula ma jedenaście lat i po raz pierwszy idzie do szkoły. Uczy się czytać i pisać, ale musi przerwać. Chore migdałki. Wiozą ją na operację do Nowego Sadu. Pamięta jak dziś tryskającą krew i dwie samotne noce w szpitalu. Jak ją odwozili do Bulkes, kazali pić dużo mleka i jeść ziemniaczane purée.

– Kto by mi miał na wojnie tłuc ziemniaki? Zapomnij. Jadłam, co było, czyli głównie fasolę.

Wdała się żółtaczka i ciotka Kula zaniemówiła. Przez pół roku nie wypowiedziała ani słówka.

*

Królowa Fryderyka miała kręcone blond włosy i niebieskie oczy. Była piękna i odważna. Kiedy króla Pawła dopadł dur brzuszny, poprosił żonę, by w jego imieniu pojechała do Konitsy i wsparła żołnierzy walczących z partyzantami. Podróż okazała się długa i niebezpieczna – jej ostatni odcinek,

z Joaniny, królowa pokonywała wojskowym dżipem. Był grudzień 1947 roku.

Fryderyka pocieszała rannych żołnierzy i miejscową ludność. Odwiedziła też prowizoryczny sierociniec i ponad dwieście niedożywionych dzieci, które podczas walk ukrywały się w piwnicy. Królowa natychmiast zarządziła, żeby dzieci przewieziono do Joaniny i stworzono im lepsze warunki.

Pół roku wcześniej Fryderyka zaprosiła do pałacu grupę zamożnych kobiet z Aten – żony bankierów i polityków sprzyjających monarchii. Razem uradziły, że zaangażują się w utworzenie społecznego funduszu na rzecz tych Greków z północy, którzy na skutek wojny domowej musieli opuścić swoje domy i uciekać w bezpieczniejsze miejsca. Przede wszystkim chodziło o dzieci, żyjące w biedzie i ciągłym stresie, często osierocone lub porzucone.

W tym czasie było to około czterystu tysięcy osób (do końca wojny przybędzie kolejnych trzysta tysięcy „wysiedlonych" uciekinierów), wśród nich także moja rodzina i wszyscy mieszkańcy Lagkadii, którzy od paru dobrych miesięcy przebywali już jednak w Jugosławii. Pomoc w ramach funduszu miała ich ominąć, bo przysługiwała jedynie tym, którzy nie wyjechali z kraju.

Oficjalna propaganda głosiła, że to partyzanci zmuszali ludzi do porzucania wiosek, uciekania do pobliskich miast i w konsekwencji wegetowania w improwizowanych obozach. W rzeczywistości jednak za większość „wysiedleń" i spalenie setek wiosek odpowiadali żołnierze armii rządowej, którzy w ten sposób chcieli pozbawić partyzantów podstawowego źródła wsparcia i zaopatrzenia.

[5] M. Mercouri, tamże, s. 35–39.

[6] M. Mercouri, tamże, s. 47.

[7] M. Mercouri, tamże, s. 51.

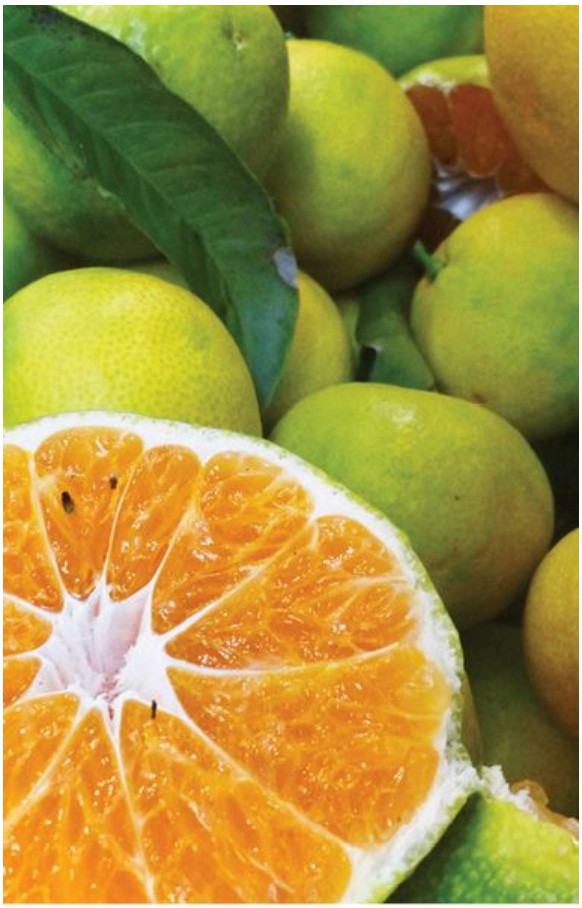

*Fot. 17. Pomarańcze i mandarynki zawsze są pomarańczowe w środku – ale czasami bywają gorzkie.*

*Fot. 18. Pomarańcze i mandarynki zawsze są pomarańczowe w środku – ale czasami bywają gorzkie.*

*Fot. 19. Pomarańcze i mandarynki zawsze są pomarańczowe w środku – ale czasami bywają gorzkie.*

*Fot. 20. Pomarańcze i mandarynki zawsze są pomarańczowe w środku – ale czasami bywają gorzkie.*

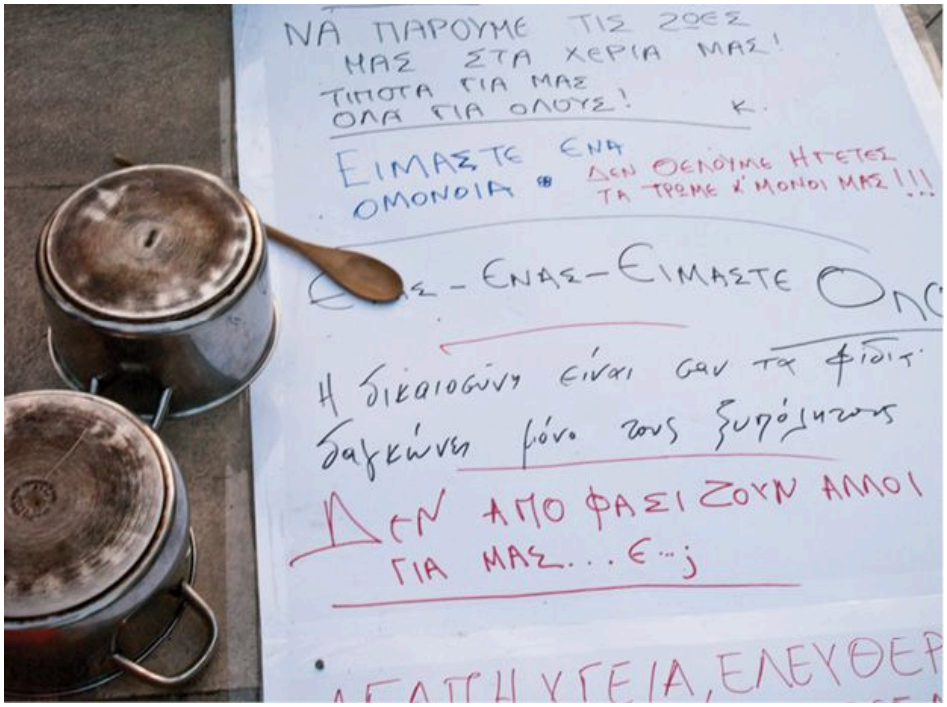


*Fot. 21. Hasła greckich Oburzonych (Aganiaktismenoi): „Sprawiedliwość jest jak wąż, kąsa tylko tych bez butów”.*

*Fot. 22. Mehmet Serif Damadoglou, mufti regionu Ewros.*

*Fot. 23. Ikaria.*

*Fot. 24. Joanina i góry Pindos.*

*Fot. 25. Ioannis Mougiannis.*

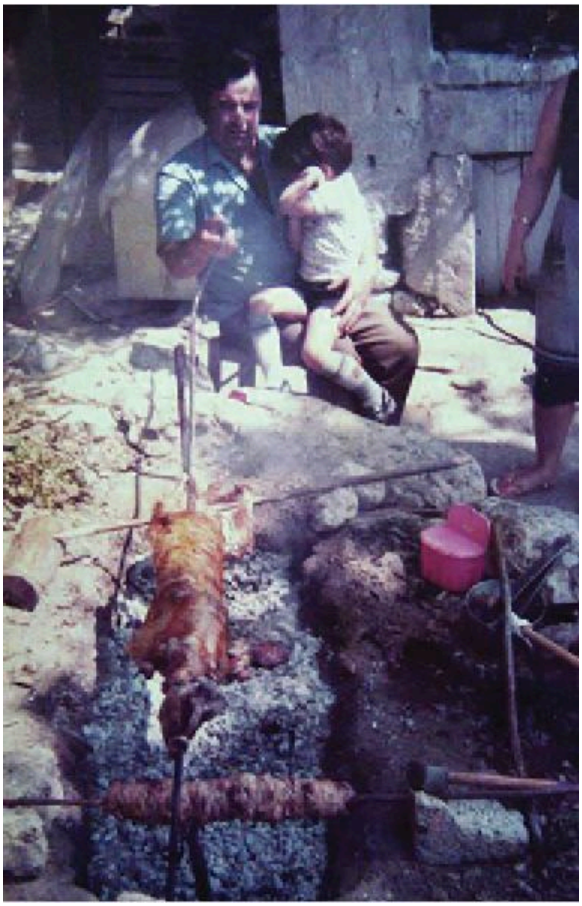

*Fot. 26. Stelios Petrakis z rodzicami Vaggelisem i Jeorgią.*

*Fot. 27. Od lewej: Jorgos Papandreou, Kazimierz Mineyko, Prozerpina Manaris-Mineyko, Stanisław Mineyko, Zygmunt Mineyko, Zofia Mineyko-Papandreou.*

*Fot. 28. Imigrant z krajów Afryki lub Azji – w oczekiwaniu na dalszą podróż na północ Europy.*

*Fot. 29. Imigranci często zarabiają na życie, sprzedając, co mogą.*

*Fot. 30. „Imigranci żyli w wyniszczającym impasie. Grecja była dla nich jednocześnie bramą do lepszego, spokojniejszego życia i pułapką, z której nijak nie szło się wydostać”.*

*Fot. 31. Ławka z widokiem na Akropol. Ateny.*

*Fot. 32. Uliczny kucharz i jego dania. Chania, Kreta.*

*Fot. 33. Melina Mercouri.*

*Fot. 34. W gazetach tylko kryzys i futbol. Ateny.*

*Fot. 35. Czy przyszłość musi być niebezpieczna?*

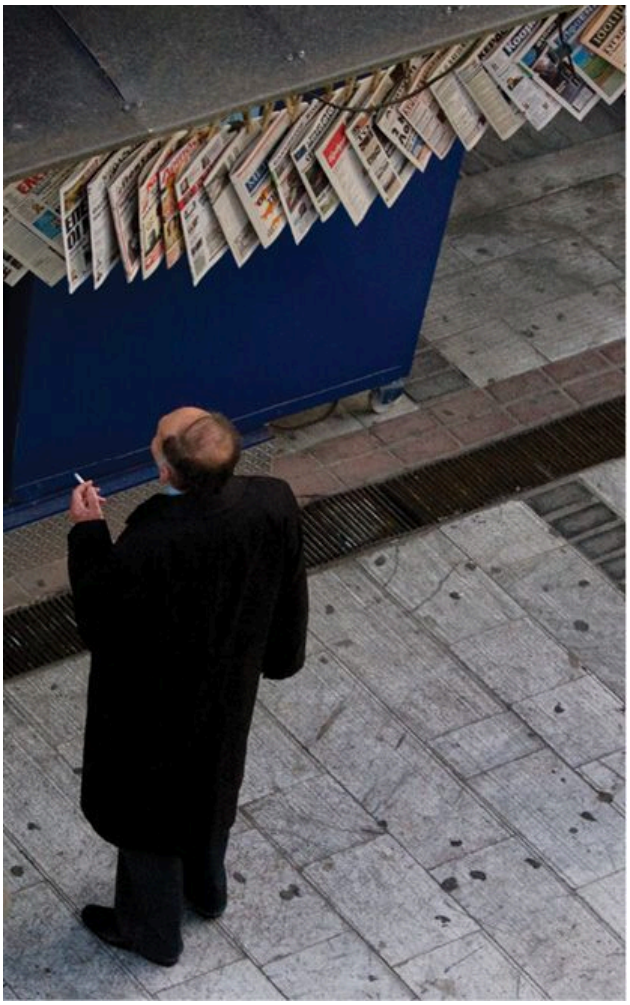

*Fot. 36. Poranna prasówka pod kioskiem w Atenach.*

W radzie funduszu królowej zasiadało wielu prominentnych Greków, ale najważniejszą rolę odgrywały Damy Królowej – czyli dwadzieścia ateńskich arystokratek, które nadzorowały realizację jej pomysłów.

Królowa za pomocą radia i prorządowej prasy wzywała Greków do ofiarności. Pieniądze znalazły się bardzo szybko. Minister finansów nałożył pięcioprocentowy podatek na bilety do kin i teatrów, na papierosy, alkohol i dobra luksusowe, a także na jedzenie w restauracjach i tawernach, a każdy pracujący Grek, chcąc nie chcąc, był zmuszony przeznaczyć na fundusz jedną dniówkę rocznie. Finansowego wsparcia udzielały także między innymi Międzynarodowy Czerwony Krzyż, UNICEF, UNRRA czy UNESCO. Roczny budżet, którym dysponowała królowa, wynosił osiem milionów dolarów.

Za te pieniądze Damy Królowej jeździły po Macedonii, Epirze i Tracji i zakładały domy dziecka (*paidopoleis* – miasta dzieci). W sumie powstało ich pięćdziesiąt trzy. Początkowo trafiały do nich dzieci w wieku od czterech do szesnastu lat, pochodzące z biednych, „wysiedlonych" rodzin i z wiosek, które – jeśli wierzyć ówczesnej oficjalnej prasie – za chwilę mogły paść ofiarą brutalnych partyzanckich napaści. Dla wielu z nich sierocińce królowej okazywały się wybawieniem, a rodzice robili, co mogli, by umieścić swoje dziecko na odpowiedniej liście. Choć udział w programie teoretycznie wiązał się z dobrowolnością, zdarzało się, że armia ewakuowała całe grupy dzieci bez wiedzy lub zgody ich opiekunów – dziadków czy wujostwa, bo rodzice często byli nieobecni. Całej inicjatywie szczególnie przeciwni byli zwolennicy komunistów. Zdarzało się, że wywozili swoje dzieci na tereny kontrolowane przez partyzantów, by uniknąć umieszczenia ich w sierocińcu królowej.

Królowa Fryderyka wygłasza uroczyste mowy, otwierając kolejne *paidopoleis*. Dzięki rządowej propagandzie staje się Pierwszą Matką Grecji, Matką Wszystkich Greków i Matką Wszystkich Sierot. Oboje z królem zostają Pierwszymi Rodzicami. Dzieci piszą do Fryderyki dziękczynne listy i całują po rękach, gdziekolwiek się pojawi, a mieszkańcy Konitsy stawiają jej pomnik.

Tymczasem partyzanci przegrywają kolejne bitwy w górzystym Epirze, w masywach Grammos i Vitsi. Na skutek „wysiedleń" mają coraz większe problemy z rekrutowaniem nowych bojowników. W 1948 roku stosują pobór obowiązkowy na kontrolowanych terenach (oraz między innymi w ośrodku dla rannych partyzantów w Bulkes). W Demokratycznej Armii Grecji jest bardzo wiele kobiet (około ośmiu tysięcy, czyli dwadzieścia–trzydzieści procent wszystkich walczących) oraz kilkunastoletnia młodzież. Nie działają szkoły, panuje głód, wielu ludzi ukrywa się w lasach i górskich jaskiniach. Koniec wojny i porażka partyzantów są coraz bliżej.

Sytuację dodatkowo komplikuje ochłodzenie stosunków na linii Tito–Stalin. Jugosławia zostaje wyrzucona z Kominformu, a ponieważ greccy komuniści popierają Moskwę, jugosłowiański przywódca odpowiada ograniczeniem wsparcia. W warunkach kryzysu humanitarnego Grecka Partia Komunistyczna podejmuje decyzję o ewakuowaniu dzieci z zagrożonych terenów do „bratnich" krajów socjalistycznych w Europie Wschodniej (PRL, NRD, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia) oraz do ZSRR. Rodzice w większości dobrowolnie godzą się oddać dzieci, ale prawdopodobnie zdarzają się też przypadki zabierania ich siłą.

Doniesienia o przymusowym poborze nieletnich szybko wykorzystuje oficjalna grecka propaganda. Rząd informuje, że

zamierza ewakuować około czternastu tysięcy dzieci z obszarów „kontrolowanych przez bandytów", by zapobiec ich uprowadzeniu (nie wspominając jednak o tym, że zanim komuniści wpadli na pomysł ewakuacji, armia umieściła w *paidopoleis* około dziesięciu tysięcy dzieci). W świat idą komunikaty o niebezpieczeństwie, które grozi małym Grekom – i o konieczności ich obrony. Ratowane dzieci będą umieszczane w *paidopoleis* królowej Fryderyki, które – jak twierdzą propagandyści z Aten – wyłącznie po to się tworzy. Dzięki temu – mają nadzieję – raz na zawsze uda się uciąć wszelkie kontrowersje wokół programu królowej. A krytyków nie brakowało. Monarchini zarzucano, że wychowanków sierocińców poddaje się nacjonalistycznej i antykomunistycznej indoktrynacji, że niektóre dzieci umieszcza się tam siłą, a cała akcję stworzono po to, żeby odbudować popularność rodziny królewskiej w greckim społeczeństwie.

Kontrowersje bynajmniej nie cichną. Wręcz przeciwnie – jest ich coraz więcej i dotyczą obu przedsięwzięć.

Karierę medialną robi termin *paidomazoma*. W dosłownym tłumaczeniu oznacza on po prostu „gromadzenie dzieci" (*mazewo* – gromadzę, zbieram), ale w walce propagandowej słowo zbrzydło i spotworniało. Już samo jego wymówienie powodowało ciarki na plecach. To nie gromadzenie, a zabór, kradzież, porwanie, to niemal gwałt. *Paidomazoma* – tłumaczy oficjalna prasa – to nic innego jak nowoczesna forma diabolicznego osmańskiego *devsirme*, które polegało na zabieraniu chrześcijańskich chłopców w turecki jasyr. Na dworze sułtana chłopcy przyjmowali islam i byli szkoleni na urzędników lub żołnierzy. Teraz ciemiężycielami są okrutni komuniści, którzy porywają dzieci, by je wynarodowić

i odpowiednio zindoktrynować. Bo po cóż innego miałoby się je wywozić do takich państw jak Polska, Czechosłowacja, ZSRR czy NRD?

29 grudnia 1949 roku, w dniu, w którym grecki Kościół wspomina rzeź niewiniątek dokonaną przez króla Heroda, rząd w Atenach ogłasza żałobę narodową po wywiezieniu do krajów za żelazną kurtyną dwudziestu ośmiu tysięcy małych Greków. W całym kraju odbywają się specjalne msze, demonstracje i żałobne marsze. Kina i teatry są zamknięte, a kościelne dzwony milkną jedynie w czasie oficjalnie zarządzonej półgodzinnej ciszy.

Królowa Fryderyka w czarnej, żałobnej garsonce zwołuje konferencję prasową, transmitowaną na cały kraj oraz do Wielkiej Brytanii i USA. Apeluje do świata o pomoc w odzyskaniu uprowadzonych dzieci. W swojej przemowie cytuje słowa Jezusa: „Dopuśćcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie; do takich bowiem należy królestwo niebieskie”[8].

Fryderyka twierdzi, że *paidomazoma* to synonim największej zbrodni dokonywanej bezpośrednio na niewinnych dzieciach, a pośrednio na całym greckim narodzie, i przeciwstawia jej własną dobroczynną działalność, którą określa mianem *paidososimo* (*sozo* – ratuję) albo *paidofilagma* (*filago* – strzegę).

Komunistyczna Partia Grecji odpowiada, stosując podobną, lecz odwróconą retorykę. Komunizm kontra monarchofaszyzm. *Paidomazoma* – mówią komuniści – to domena byłej niemieckiej księżniczki, kiedyś należącej do Związku Dziewcząt Niemieckich (żeńskiego odpowiednika Hitlerjugend) oraz jej wiernych dworek. To one jeżdżą po Grecji i zabierają rodzicom ich dzieci. Umieszczają je w obozach indoktrynacyjnych i robią pranie mózgu. Szczególnie okrutnie

traktują dzieci „ukradzione" ludziom lewicy, komunistom i partyzantom, bo uczą je, by nienawidziły swoich rodziców.

Oni sami zaś przeciwnie: wysyłają dzieci do Europy Wschodniej, bo proszą ich o to ludzie, którzy chcą ustrzec dzieci przed biedą i chorobami oraz zapewnić im szanse na edukację i lepsze życie.

Na propagandę gazetową i radiową komuniści odpowiadają filmem *Prawda* o *greckich dzieciach*. Reżyser Manos Zacharias po latach przyjmuje zarzuty o stronniczości swojego dokumentu, ale nadal twierdzi, że pokazywał prawdę. Przemocy ani przymusu ze strony partyzantów przy „gromadzeniu dzieci" osobiście nie widział. Nie przysięgnie jednak, że ich nie było. *Den vazo to hieri mou sti fotia* (ręki w ogień za to nie włożę) – mówi.

A co widział? Widział, jak na dźwięk kościelnych dzwonów mieszkańcy zbierają się na głównym placu wioski. Partyzanci przekonują ich, by powierzali im swoje dzieci i tłumaczą, że zadbają o ich przyszłość, że uwolnią je od wojennej codzienności. Już dogadali się z władzami w krajach komunistycznych, które zgodziły się otoczyć dzieci opieką. W obieg idzie lista. Rodzice, dziadkowie, wujostwo, albo starsze rodzeństwo wpisują na nią kolejne nazwiska. Ci, którzy nie chcą, nie wpisują.

Wieczorem zbiórka i wymarsz. Trzeba było pokonać kilkadziesiąt, a czasami kilkaset kilometrów, żeby dotrzeć do wyznaczonego miejsca w Jugosławii, Albanii albo Bułgarii, gdzie dzieci przesiadały się do pociągów.

Na filmie nie ma płaczących matek ani tkliwych pożegnań. Choć płaczu było pewnie wtedy dużo. Są za to kilometrowe kolumny dzieci – na każdą dwudziestkę przypada jedna opiekunka. Karawana ciągnie się przez górskie przełęcze,

przez ośnieżone lasy, przez rzeki – najczęściej nocą, bo w ciągu dnia trzeba się ukrywać przed nalotami. Bomby spadają nadal, choć wojsko wie, że trwa ewakuacja dzieci. Panuje głód.

*

W Bulkes wybucha panika. Nie dość, że partyzanci przegrywają kolejne starcia, a rząd w Atenach, licząc na szybkie zakończenie wojny, wprowadza w całym kraju stan wojenny, to jeszcze Tito grozi, że zamknie granicę.

Ciotka Kula jak dziś pamięta radiowy komunikat, że Grecy mają dwie opcje: albo przyjmują jugosłowiańskie obywatelstwo – wtedy mogą zostać – albo mają się wynosić, i to w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Moja mama i inne kobiety uradziły, że dalej na północ nie jadą. Chciały być bliżej Grecji, bliżej Lagkadii. Nawet jeśli z jugosłowiańskim paszportem. Ale tato się nie zgodził. Uważał Titę za zdrajcę, który zadał Grekom cios w plecy. Decyzja zapadła. Wyjeżdżamy. Nawet jeśli nie było wiadomo dokąd. Polska, dla przykładu, zgodziła się przyjąć dzieci w wieku szkolnym, Czechosłowacja rodziców z młodszymi. Trzeba się będzie rozdzielić. Trudno.

Sporo rodzin zostało, zmieniło nazwiska na macedońskie i do dziś żyje blisko granicy z Grecją.

Ci, którzy postanowili wyjechać, mieli się stawić na dworcu. Spisywano: imię i nazwisko dziecka, imię ojca, matki, wiek i miejsce pochodzenia. Na liście znalazło się dwa tysiące dziewięćdziesięcioro dwoje dzieci, w tym tysiąc dziesięciu chłopców (wśród nich wujek Ioannis) i tysiąc osiemdziesiąt dwie dziewczynki (między innymi ciotka Kula).

– Twój ojciec miał wtedy odrę, cały czas płakał i babcia kazała Januli z nim zostać. Była w ciąży z Sultaną, już miała duży brzuch, ale złapała nas za ręce i kazała biec. Na dworcu podała nasze dane i powiedziała, że za chwilę przyjdzie jeszcze jedna córka. Odpowiedzieli, że ma nie przychodzić, nie ma miejsca, pojedzie w następnej turze. Ale następnej tury nigdy nie było.

*

Mniej więcej w tym samym czasie resztki Demokratycznej Armii Grecji wycofują się do Albanii i do tego samego zmuszają mieszkańców około dwustu przygranicznych wiosek, które wcześniej stanowiły ich punkty zaopatrzenia – dziesięć tysięcy osób opuszcza swoje domy, pośród nich kilka tysięcy dzieci – kilka dni później one także wsiądą do pociągów jadących na północ Europy.

W październiku 1949 roku komuniści ogłaszają zakończenie walk.

*

Z samej podróży pociągiem ciotka Kula pamięta niewiele. Płacz przed odjazdem, gdy się wszyscy zaczęli żegnać; że pociąg był towarowy, wagony bez okien, a na podłodze słoma. Stawali co jakiś czas, wieczorami, żeby napić się wody i coś zjeść. Nie pamięta, co jedli, ale głodni raczej nie byli. Opiekowały się nimi w większości te same kobiety, które wcześniej przeprowadzały karawany maluchów przez górskie granice.

– Wołaliśmy na nie *majki*. Z setka ich była.

*Majki* starały się izolować chore dzieci, rozdzielały między nie nieliczne lekarstwa, biły po łapach te, które nie mogły przestać się drapać. Obwiązywały im dłonie szmatami.

Podróż musiała trwać kilka dni. Nie było jak się umyć ani przebrać. Na koniec prawie wszyscy się pochorowali: biegunki, wymioty, omdlenia, wysoka gorączka, świerzb.

Wylądowali w Solicach – dzisiejszym Szczawnie-Zdroju. W największej tajemnicy.

– Na początek wysmarowali nas jakąś mazią i kazali spać na słomie. Przez piętnaście dni. Kwarantanna. Wytępili wszy i wszystkie inne świństwa, które zalęgły się na naszej skórze i we włosach w czasie podróży. Później nas wyszorowali i rozdali nam nowiutkie mundurki. Chłopcy dostali granatowe garnitury, dziewczynki – śliczne plisowane niebiesko-białe spódniczki i bluzki. Starsze dzieci umieścili w Lądku-Zdroju, a młodsze w Solicach, to znaczy w Szczawnie. Mieszkaliśmy w pięknych uzdrowiskach. Były wanny, wygodne łóżka i mnóstwo jedzenia. Czekolada, owoce, ciasta, rano obowiązkowo tran.

Prześwietlają dzieciom płuca. Okazuje się, że płuca ciotki Kuli są jakieś niewyraźne i słabe, więc na kilka tygodni ląduje w prewentorium.

Zaczynają się lekcje polskiego. Na początek: „towarzyszu, towarzyszko", że tak się mają dzieci zwracać do polskich wychowawców. Na spacerach towarzysze wskazują palcami i mówią: samochód, rzeka, dom, płot, to, co leci tam na niebie, to samolot. Nie bójcie się samolotu. Nie ma bomb.

– Piękny to był rok. Najspokojniejsze czasy, jakie pamiętałam. Dobre jedzenie, lekarstwa, czyste i ładne ubrania, wygodne łóżka. Niczego nam nie brakowało. Chyba po raz pierwszy w życiu. Nie musieliśmy pracować, martwić

się o cokolwiek. Nawet nie zdążyłam za nikim zatęsknić. Luksus.

Tymczasem moi pradziadkowie, dziadkowie, ciotka Janula i mój ojciec trafili do Czechosłowacji. Komunistyczne władze w Pradze zgodziły się przyjąć rodziny z dziećmi poza wiekiem szkolnym.

– Na drogę mieli kilka pomidorów i worek soczewicy. W jednej walizce patelnię, garnek z przykrywką, cztery kubki i nóż, w drugiej po dwie zmiany bielizny, po parze spodni i wełnianym swetrze. To był ich cały dobytek. Mama ponoć robiła, co mogła, żeby nie urodzić Sultany w drodze. W końcu nie urodziła. Wody odeszły jej, gdy tylko wysiadła z pociągu – wspomina ciotka Kula.

W Czechosłowacji zmarła moja prababcia. Ciotka Kula nie pamięta, by na coś chorowała. Podejrzewa, że ze starości i tego całego wędrowania, z tych wszystkich wojen. Ponoć siedziała przy stole i umarła, nie dokończywszy herbaty.

– Nie bardzo wiem, jak im tam było. Mało się o tym później opowiadało. Ale chyba nie najgorzej. Babcia i dziadek szybko nauczyli się mówić po czesku, dostali pracę w kołchozie. Janula opiekowała się twoim ojcem i małą Sultaną, a później nawet poszła do zawodówki, uczyła się robić buty. Szkoły jednak nie skończyła, bo przyjechali do Polski.

Wujek Apostolis ciągle pochrapywał w fotelu, gdy wychodziliśmy z ciotką Kulą na spacer. Chmury się przerzedziły, niebo pojaśniało, ale na wszelki wypadek wzięliśmy ze sobą parasolki. Larisa wydała mi się leniwa i powolna, trochę ociężała. Liczne kawiarnie zapełniały się wystrojoną weekendowo młodzieżą oraz papierosowym dymem. Ulice pustoszały. Tu mamy to, tam mamy tamto, tu mieszka ten, a tu ten – wskazywała ciotka Kula. Kościół, nowy

amfiteatr, dawna dzielnica żydowska. Usiedliśmy na ławce na głównej platii miasta.

– Mówię ci, nie chcieliśmy z tego Szczawna wyjeżdżać. Dawali nam tyle słodyczy, że zaczęły mi się psuć zęby. Ale nie było wyjścia. Minął rok i zawieźli nas na północ, w pobliże Szczecina, do Polic.

Ciotka Kula i wujek Ioannis zamieszkali w Państwowym Ośrodku Wychowawczym i zaczęli chodzić do szkoły. Ciotka od razu trafiła do siódmej klasy, choć ledwie umiała czytać. Zaprzyjaźniła się z Halinką z Wrocławia, z którą dzieliła pokój. Halinka częstowała ją smalcem ze skwarkami, który dostawała w paczkach od mamy. Razem odrabiały lekcje. Codziennie rano gimnastyka, słanie łóżek, przed wyjściem do szkoły łyżka tranu.

– Podobało mi się. Był czas na wszystko, na naukę, na zabawę. Oprócz Halinki miałam mnóstwo polskich koleżanek i kolegów. Mówili na mnie Kulka. Po polsku rozmawiałam już wtedy bez problemu, za to zaczęłam zapominać grecki. Mieliśmy lekcje greckiego, raz w tygodniu, ale nie chciało mi się na nie chodzić. Grecja wydawała się bardzo daleka.

Trzy klasy podstawówki ciotka Kula zrobiła w trzy semestry, później poszła do zawodówki.

– Chciałam zostać pielęgniarką, ale nasz nauczyciel greckiego, stary partyzant, mówił, że Grecji potrzeba inżynierów, elektryków, budowniczych, żeby odbudować kraj. „Wrócisz do Grecji i co, będziesz robić zastrzyki?" – pytał. No więc poszłam na tramwaje.

Kiedy ciotka Kula nareszcie nauczyła się je prowadzić, przyszedł telegram z Chojnowa, że razem z Ioannisem mają przyjeżdżać STOP. Że oni wszyscy już tam są STOP. Przyjechali z Czechosłowacji STOP. W ramach akcji łączenia

rodzin, którą współorganizuje Polski Czerwony Krzyż STOP. Że już się w miarę urządzili STOP.

W Chojnowie od jakiegoś czasu przebywało wtedy sporo Greków. Załatwili dziadkowi i babci pracę w szkole rolniczej niedaleko cmentarza. Małżeństwu z dziećmi należała się też służbówka – pokój z kuchnią w piwnicy, z dwoma małymi okienkami i łazienką na korytarzu. Z ciasnoty mój ojciec i dziadek chodzili spać do kotłowni. Był listopad 1953 roku. Kolejna zima stulecia. Dziadek palił w piecu, a babcia wieczorami sprzątała klasy.

– Żal było wyjeżdżać ze Szczecina. Tym bardziej że w Chojnowie nie było tramwajów.

Nie było też morza, nad które ciotka Kula często jeździła, i chłopca, z którym się wtedy spotykała. Bała się, nie wiedziała, jak to będzie.

– Przecież oboje z Ioannisem nie widzieliśmy rodziców od czterech lat. Petrosa pamiętaliśmy jako małego brzdąca, a Sultany nie widzieliśmy ani razu. Czuliśmy się, jakbyśmy jechali do obcych ludzi. Był strach, że ich nie poznamy albo że oni nie poznają nas.

Samego spotkania ciotka Kula nie pamięta. Wie tylko, że cała rodzina wyszła po nich na chojnowski dworzec i że ona od razu zajęła się małą Sultaną, śliczną jak laleczka.

Po dwóch dniach zaczęło być normalnie.

Pamięta też, że któregoś wieczora, gdy dziadek poszedł już spać, babcia zaprowadziła ją do sali geograficznej, postawiła przed mapą i kazała pokazywać Grecję, Czechosłowację, Chojnów, Szczecin.

– Po cichu powtarzała za mną nazwy miejsc, o które pytała wskazaniem palca: Hiszpania, Włochy, Niemcy, Związek Radziecki, Jugosławia, Albania.

[8] Mt 19, 14 (cyt. za Biblią Tysiąclecia).

# 22

Trzydzieści tysięcy euro. Prezent na dwudzieste szóste urodziny. Prezent od rodziców, choć bardziej od państwa.

– Przecież to jest chore! – oburza się Ioannis. – W Polsce dają wam takie prezenty?

– Mogłeś nie przyjąć – odpowiadam.

– Ty byś nie przyjął?

– Co zrobiłeś z tymi pieniędzmi?

– Za sześć tysięcy kupiłem motocykl, dwa przepuściłem na podróże po Europie, resztę trzymam na koncie.

Ioannis pochodzi z niewielkiego miasta Arta na Peloponezie. Ma dwadzieścia osiem lat, studiuje biologię na uniwersytecie w Joaninie. Studiuje już ósmy rok – po części z lenistwa, co otwarcie przyznaje, ale głównie, jak twierdzi, przez te wszystkie cholerne strajki, okupacje i protesty. Anarchizujący i komunizujący studenci paraliżowali prace całego uniwersytetu na długie tygodnie, z czego w sumie miały się uzbierać dwa lata. Gdyby nie to, dyplom miałby już dawno w kieszeni. Przez dwie kadencje był przewodniczącym samorządu studentów na swoim wydziale. Przekonywał, że rządowa reforma szkolnictwa wyższego jest potrzebna i będzie korzystna (miała, między innymi, zwalczyć korupcję wśród profesorów i zdemokratyzować zasady wyboru rektora, ograniczyć okres darmowego studiowania na jednym kierunku do siedmiu lat). Mało kto jednak chciał go słuchać. Zadymiarze – prowokowani przez liderów partyjnych młodzieżówek i samych profesorów broniących *status quo* –

woleli zbojkotować proponowane zmiany. Urządzali wielomiesięczne okupacje i strajki.

– Dzieciaki z bogatych domów, którym nagle zachciało się rewolucji – mówi Ioannis. – Nazywali siebie anarchistami, choć nie wiedzieli, na czym polega anarchizm, myśleli, że na niszczeniu sal wykładowych, wybijaniu szyb, bazgraniu po ścianach. Na bezkarności. Nie umieli docenić tego, że studiują za darmo, że mają darmowe podręczniki i darmowe jedzenie w studenckiej stołówce.

Ioannis zajmuje niewielki pokój w akademiku Alfa na olbrzymim kampusie. Z balkonu, na którym siedzimy, widać miasto i wysokie szczyty Pindosu. Jest ciepły kwietniowy wieczór 2010 roku. Moje stypendium skończy się za kilka tygodni. W oddali jeżdżą samochody, bliżej ujadają bezdomne psy. Tydzień wcześniej w trakcie zamieszek w Atenach zginęło troje pracowników banku. Jedna z kobiet była w czwartym miesiącu ciąży. Na ulice wyszły wtedy dziesiątki tysięcy osób. Największe demonstracje od lat. Przeciwko rządowym planom walki z kryzysem, z deficytem, z dziurą budżetową. W telewizji w kółko o tym, ile straci statystyczna grecka rodzina, że paliwo podrożeje o tyle, papierosy o tyle, pietruszka o tyle, że trzeba zbierać wszystkie paragony, zrobić zapasy oleju, że podniosą wiek emerytalny, obetną zasiłki, zamrożą emerytury, że szykuje się podwyżka VAT-u. To dopiero preludium do kryzysu, ale ludzie powoli zaczynają się martwić, atmosfera robi się coraz bardziej napięta, czuć, że nadciąga jakieś niezidentyfikowane licho (ciotka Sultana, z którą rozmawiam przez telefon, mówi, że w supermarkecie była wyprzedaż, no to kupiła parę dodatkowych puszek fety, dwadzieścia litrów oliwy, dwa sześciopaki coca-coli, trochę chałwy i tuzin puszek konserwowej szynki; ciotka Kula przekupiła lekarza, żeby jej

wystawił receptę na rok do przodu – gdyby krople do oczu miały podrożeć). Za chwilę (maj 2010 roku) gruchnie wiadomość o pierwszym tak zwanym pakiecie ratunkowym i pierwszej fali cięć, które będą mu towarzyszyć. Ja piję piwo, Ioannis whisky.

– Grecja jest źle urządzona – mówi. – Społeczne plagi, z którymi gdzie indziej się walczy, u nas nikogo nie dziwią i nie oburzają. System jest chory i od lat dogorywa, ale my wolimy udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Może kryzys pozwoli nam zrozumieć, że sami jesteśmy sobie winni. Może uda nam się nareszcie zacząć wielką zmianę.

Spośród kolegów z liceum Ioannis nie jest jedynym, który jeszcze nie pracuje. To raczej ci, którzy już zarabiają, są w mniejszości. Z dwudziestu kilku – może dwóch, może trzech. Od dawna nie jest łatwo o dobrą pracę, więc rodzice radzą przeczekać. Nie po to dzieci tyle lat studiowały, uczyły się komputerów i obcych języków, by teraz kelnerować, zmywać gary, robić kawę. W domu miejsca jest dość, a jedzenia nie brakuje. Gdzie im będzie lepiej? Kto im lepiej niż mama ugotuje? Niech szuka sobie żony, niech znajdzie sobie męża. Rodzice wyprawią wesele na pięćset osób, wybudują nowożeńcom dom albo oddadzą piętro swojego, urządzą kuchnię, łazienkę, salon, a swatowie zadbają o samochód, telewizor, laptopa i podróż poślubną. Tradycyjna grecka rodzina. Przez chwilę będzie spokój, ale później zaczną się pytania o wnuki. Że już pora, już czas. Stać was, nie martwcie się, pomożemy. Zresztą jeszcze rok i zwolni się to zaklepane miejsce w urzędzie miasta. Będzie dobra praca i pewne pieniądze. Wujek przecież obiecał.

Wujek albo ojciec, ciotka, kuzyn, przyjaciel rodziny, dobry kolega, dyrektor, kierownik, naczelnik, profesor, biznesmen,

lekarz, oddziałowa, piosenkarz, aktor, poseł, minister. Wizma. Wizma to ktoś, kto ma kontakty i możliwości, dojścia i układy. W pierwszej kolejności dba o swoich najbliższych, o to, by jego własne dzieci nie zostały na lodzie, dopiero później zajmuje się obietnicami sprzed lat. Im ważniejszy wizma, tym więcej może obiecać.

Osiem lat temu, przy trzeciej albo czwartej szklance *ouzo*, dyrektor miejscowej szkoły poradził ojcu Ioannisa: „Niech twój młody idzie na biologię".

– Głupi byłem, nie mogłem się na nic zdecydować, nie wiedziałem, co chcę studiować, i posłuchałem ojca. Teraz żałuję – mówi Ioannis.

Chodziło o szykujący się wakat w lokalnym gimnazjum – dla nauczyciela przyrody. Dobra praca, łatwa, blisko domu, zawsze pewne pieniądze, długie wakacje, szybka emerytura. To główne składowe dzisiejszego greckiego marzenia. Dyrektor i ojciec Ioannisa stuknęli się szklaneczkami z mętną zawiesiną – załatwione, umowa stoi. Ioannis nie wie, co ojciec zaoferował w zamian – pewnie łapówkę. Szkoda, że wyrzucił pieniądze w błoto, bo Ioannis nie zamierza wracać do Arty i zatrudniać się w szkole. Oznajmił to rodzicom podczas niedawnej wizyty w domu – uprzejmie, ale kategorycznie. Wybuchła kłótnia. Ojciec się wściekł i spurpurowiał, bo wyszedł na głupka. Wizma się obraził i odmówił wspólnego pieczenia barana na Wielkanoc. Niewdzięcznik Ioannis nie ma teraz lekkiego życia. Matka wymownie milczy, trąc ogórki na tzatziki, a ojciec ledwo odburknie „dzień dobry". Co z tego, że Ioannis nie lubiłby pracować jako nauczyciel? Że nie ma powołania? Że ma inne ambicje i plany? A czy ktokolwiek lubi swoją pracę? Praca nie musi się podobać. Praca to nie życie. Życie zaczyna się po piętnastej.

A może sobie wyobraża, że ojciec z matką mieli łatwo i przyjemnie? Może nie mieli, mówi Ioannis, ale oboje bardzo wcześnie przeszli na emeryturę – zaledwie po dwudziestu kilku latach pracy, niedługo po jego urodzeniu. Ojcu szybko znudziło się naprawianie samolotów wojskowych, więc zamiast tego uprawia we własnym ogrodzie pomarańcze i codziennie spotyka się z kolegami emerytami na szklaneczkę *ouzo* i polityczne dyskusje w pobliskim *kafenijo*. Prawie trzydzieści lat na emeryturze. Matka, rozliczająca faktury w telekomunikacji, zdążyła zadbać o bardzo wysoką odprawę oraz fundusz dla syna, na którym przez lata zgromadzi się trzydzieści tysięcy euro, po czym bez żalu zakończyła swoją urzędniczą karierę. Ioannis nie pamięta swoich rodziców pracujących.

Ojciec jest zły, tym bardziej że niepokorny syn zamierza wyjechać do Holandii, na kolejne studia, dwa lata – biotechnologia z biznesem. Przecież oboje z matką są coraz starsi i chcieliby przed śmiercią zobaczyć wnuki. Nie mogą go jednak powstrzymać, bo Ioannis za studia zapłaci sam – z reszty po tych trzydziestu tysiącach. To już postanowione. Został przyjęty, zaczyna we wrześniu.

*

Dokładnie dwa lata później, w kwietniu 2012 roku, przed majowymi wyborami, spotykamy się z Ioannisem w Atenach. Udziela mi pierwszego w swoim politycznym życiu radiowego wywiadu – jako kandydat na posła z ramienia niewielkiej liberalnej partii Drasi. Na kampanię w rodzinnej Arcie zebrał kilkaset euro. Wydrukował tysiąc ulotek, wykupił kilka reklam w lokalnej gazecie, rozmawia z ludźmi w kawiarniach, puka do

drzwi sąsiadów. Nie obiecuje przysług, nie zamierza być wizmą. Zamierza walczyć z patologiami – z korupcją, nepotyzmem, z biurokracją, z niekompetencją innych polityków. Zdobył osiemset dziewięćdziesiąt pięć głosów w rejonie Argolidya. Żeby uzyskać mandat, potrzebował tysiąca pięciuset.

# 23

Majowe wybory były jak lustro – pokazały Grecję w procesie dziejowej zmiany.

Oto pomiędzy dwie największe partie, od lat wymieniające się władzą, klin wbija inna, do niedawna traktowana niepoważnie – jako banda antysystemowców, marzycieli, socjalistów-utopistów, w najlepszym wypadku populistów. Syriza uzyskuje świetny drugi wynik – po Nowej Demokracji, a przed PASOK-iem.

Oto koniec duopolu, koniec okresu zwanego *metapolitewsi*, okresu historycznej zmiany reżimu, który zaczął się po upadku junty w 1974 roku. Kruszeje beton na politycznej scenie!

Zagraniczni dziennikarze pytają: kto zacz – ten cały Aleksis Tsipras, lider Syrizy, który jeździ na motorze i nie nosi krawata, młodszy o pokolenie od dotychczasowych premierów czy ministrów, zapowiadający, że rozliczy korupcyjne skandale poprzedników? Można mu wierzyć? Przecież głosi herezje: koniec z oszczędzaniem, z zaciskaniem pasa, trzeba inaczej wychodzić z kryzysu – niech Europa zrozumie, że musi Grecję oddłużyć, bo inaczej się nie da.

W Atenach upał, a ja ganiam po mieście i na potrzeby radia pytam ludzi o zdanie. Ich głos towarzyszy później polskim słuchaczom stojącym w korkach. Przechodnie, dziennikarze, politolodzy – wszyscy mówią to samo, choć innymi słowami: że to wielkie zaskoczenie, że koniec epoki i początek czegoś nowego, że boją się o przyszłość kraju.

Co się wyłoni z powyborczego chaosu?

– Zapytaj mnie za miesiąc albo za dwa – odpowiada z niepewnym uśmiechem dr Thanos Dokos, przenikliwy komentator życia politycznego, z którym zawsze chętnie rozmawiam. Think thank, którym kieruje, Eliamep, mieści się kilkaset metrów od parlamentu – z balkonu widać okna neoklasycznego gmachu i paradnie maszerujących ewzonów, strzegących Grobu Nieznanego Żołnierza. Przystojni, pięknie zbudowani, ubrani w plisowaną fustanellę, obcisłe getry i trzewiki z pomponami, z karabinem na ramieniu – ich codzienny marsz i zmiana warty to może jedyne, co się w Grecji nie zmienia. Kryzys, nie kryzys.

Do stworzenia rządu konieczna jest koalicja, ale dogadać się nie sposób. Politycy próbują i próbują, i nic. Hamletyzują przez ponad tydzień, by wreszcie ogłosić: nie da się. Ich niemoc to symbol zapaści, to odpowiedź polityki na stan gospodarki i kryzysowe nastroje społeczne.

Oto więc w czerwcu trzeba będzie powtórzyć wybory – mówi prezydent. Innego wyjścia nie ma.

Wracam do doktora Dokosa i pytam o jego przewidywania. Jest uczciwy, a przez to bezradny – znów prosi, bym wrócił za miesiąc albo dwa.

Kampania wyborcza jeszcze się na dobre nie skończyła, a już rusza na nowo. Z partyjnych wieców na cały kraj wylewa się fala obietnic i oskarżeń. Ekrany włączonych telewizorów znów są podzielone na dziewięć, a czasami na dwanaście małych kwadracików – w każdym z nich gadające głowy. Politycy i polityczki rezygnują nawet z „ja panu nie przerywałam” – przekrzykują się na jednym, długim bezdechu.

Pięć tygodni kakofonii i politycznego matrixu, aż wreszcie głosowanie. Stary porządek broni się ostatkiem sił – Nowa

Demokracja ponownie wygrywa i przekonuje do współpracy pokiereszowany PASOK oraz jeszcze jedną małą partię. Na czele rządu staje Antonis Samaras – wykształcony na Harvardzie, niegdyś minister spraw zagranicznych, minister kultury, europoseł. Syriza tymczasem umacnia się w charakterze liderki opozycji i z tego miejsca ruszy po wyborczy triumf niespełna trzy lata później.

Na chwilę wraca jako taka stabilność.

Ale konieczne jest jeszcze jedno „oto", symbolizujące zmianę w greckiej rzeczywistości społeczno-politycznej.

Oto do parlamentu po raz pierwszy w historii dostaje się partia otwarcie neofaszystowska. W kraju, który przetrwał brutalną hitlerowską okupację, wojenny głód, gdzie wciąż żyją byli więźniowie Gestapo.

Czterysta dwadzieścia sześć tysięcy osób zagłosowało na Złoty Świt – to blisko siedem procent wyborców. Partia zdobyła osiemnaście mandatów na trzysta możliwych.

*

Nie żeby nic nie zapowiadało jej sukcesu.

Złoty Świt poczuł wiatr w żaglach już dwa lata wcześniej. Partia zrozumiała, że kryzys to dla niej idealne paliwo. Więc zaczęła go wykorzystywać – przenikając kolejne sfery życia publicznego, z których chwilę wcześniej abdykowało bezradne państwo ze swoimi ministerstwami i urzędami.

– Ludzie, nie macie na chleb? My wam damy chleb! I oliwę, i ser, ryż, i pomidory, a nawet trochę mięsa. Wy, których jeszcze stać, przekażcie nam w darach wasze zakupy, a my rozdamy najbiedniejszym. Jutro będziemy na Kipseli, pojutrze na Metaxurgeio przy stacji metra, w piątek w robotniczej

Petralonie, w sobotę na Pedion Areos – a przy okazji, po zmroku, wygonimy stamtąd imigrantów. Mamy na nich bejsbole, mamy noże i kastety. Nie będą wam więcej przeszkadzać.

– Ludzie, zbieramy krew! Tylko dla prawdziwych Greków.

Autobus krwiodawczy stoi zaparkowany w centrum Aten. Obok partyjny namiot. Na plakatach i banerach wezwania i obietnice: rodacy, nie bójcie się – na waszą krew nie załapie się żaden imigrant!

Oburzeni lekarze oświadczają, że nie będą segregować krwi i że trafi ona do każdego, kto znajdzie się w potrzebie, niezależnie, czy Grek, czy przybysz.

Ale ich oburzenie nie ma znaczenia. Liczy się przekaz w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Szokujący, wywołujący niepokój, ale i dysonans. Widać, że członkowie partii to łobuzy – krótko ostrzyżeni, w glanach, na czarnych koszulkach mają biały meander, który przypomina swastykę. Ale jednocześnie myśl: dobrze, że ktoś jeszcze o nas dba w tych trudnych czasach!

– Grecja dla Greków! – skanduje tłum na przedwyborczym spotkaniu Złotego Świtu w dzielnicy Faliro. – *Katharsis!* Oczyścimy naszą ojczyznę!

Albo taki obrazek: trzej partyjni działacze (późniejsi posłowie!) za pomocą maczet i kijów bejsbolowych demolują stragany w portowej Rafinie, niedaleko Aten. Wyganiają z targu handlarzy z Pakistanu, Somalii czy Chin. Policjanci nie reagują.

Albo Ilias Kasidiaris – rzecznik partii. Młody, napakowany, pyskaty. W asyście kamer i mikrofonów oddawał krew dla prawdziwych Greków i nazywał imigrantów „podludźmi", ale zasłynął czym innym. Tuż przed wyborami podczas debaty

w telewizji chlusnął wodą w twarz posłance PASOK-u, a gdy w jej obronie stanęła inna posłanka, Kasidiaris trzykrotnie ją spoliczkował. Producenci wyprowadzili go ze studia i zamknęli na klucz w pokoju dla gości. Zanim na miejscu zjawiła się policja, polityk wyważył drzwi i uciekł. Wcześniej miał już zarzuty o kradzież i pobicia. Przed sądem jednak nie stanie – broni go immunitet. W wolnych chwilach Kasidiaris organizuje tajne obozy treningowe dla partyjnych bojówkarzy – razem z żołnierzami i policjantami, którzy sympatyzują z ruchem – prowadzi zajęcia z obsługi broni i decyduje o nowych przyjęciach w szeregi ugrupowania. Warunek – dwadzieścia euro wpisowego i sprawdzenie się w boju, na przykład w antyimigranckim rajdzie.

Rzecznik Kasiriadis to partyjna persona numer trzy. Przed nim są jedynie Eleni Zaroulia, posłanka i żona lidera ugrupowania, oraz sam lider, pięćdziesięciopięcioletni Nikos Michaloliakos.

Niski, z nadwagą, w wielkich okularach, z nieprzyjemnym, skrzeczącym głosem. Zanim wybuchł kryzys, mało kto o nim słyszał. Dziś pozuje na wielkiego stratega. Partyjnym kolegom rozkazuje: mówcie mi *archigos* – wodzu.

Ateńczyk z rodziny wojskowych. Po studiach matematycznych wstąpił do armii, ale szybko z niej wyleciał – miał wykradać broń i amunicję na potrzeby bojówkarzy walczących z działaczami lewicy.

W 1976 roku ląduje w więzieniu – za udział w pobiciu dziennikarzy.

Kolejna odsiadka przychodzi dwa lata później. Atenami chwilę wcześniej wstrząsa seria zamachów bombowych. Ładunki eksplodują między innymi w dwóch popularnych kinach, gdzie wyświetlane są radzieckie filmy. Nikt nie ginie,

ale rannych jest kilkadziesiąt osób. Młody „rewolucjonista" dostaje łagodny wyrok – trzynaście miesięcy więzienia, podczas gdy kara dla pozostałych zatrzymanych jest dużo surowsza – od pięciu do dwunastu lat. Mówi się, że Michaloliakos wsypał kolegów i dał się zwerbować tajnym służbom (EYP). On sam do dziś zaprzecza, że był agentem, i gdy idzie do telewizji, zawsze ma przy sobie papier z sądowymi pieczęciami, który ma potwierdzać, że nie współpracował (w audycjach na żywo łatwo traci rezon, wtedy krzyczy i wymachuje zwitkiem dokumentów).

Po wyjściu z więzienia przyszły *archigos* zaczyna wydawać narodowo-socjalistyczny magazyn „Złoty Świt". Na okładce jednego numeru umieszcza zdjęcie Hitlera, a w środku teksty sławiące przywódcę III Rzeszy – „bohaterskiego wizjonera Europy". Żydzi – czytamy – byli przekleństwem Europy, a komory gazowe w Auschwitz, jeśli w ogóle istniały, nie pracowały pełną parą.

W 1993 roku Michaloliakos zakłada partię. W statucie podkreśla: „w naszym ruchu nie ma miejsca dla demokratycznych form sprawowania władzy". Ruchowi brakuje nie tylko demokracji, ale też energii – Złoty Świt pozostaje w zasadzie nieaktywny. Startuje co prawda w kolejnych wyborach, jednak poparcie dla partii nie przekracza ćwierć procenta głosów.

W międzyczasie lider partii żeni się z Eleni Zaruolią – obecnie posłanką i członkinią parlamentarnego zespołu reprezentującego Grecję w Radzie Europy. Żona jest prawą ręką wodza i słynie z kontrowersyjnych komentarzy – jej zdaniem imigranci w Grecji roznoszą brud i choroby, a aborcja powinna być całkowicie zakazana z powodu problemów demograficznych kraju.

Początkowo partia odwoływała się do tradycji starożytnej i pogańskiej, czciła bogów olimpijskich, a także dzielnych Spartan i ich przywódcę Leonidasa. Organizowała marsze z pochodniami na pamiątkę zwycięstw Aleksandra Wielkiego. Później zrobiła zwrot i zrehabilitowała Cerkiew, jako tę, która przez setki lat tureckiej okupacji strzegła greckich tradycji i języka. Dziś współpraca z Kościołem przebiega wzorowo – kapłani święcą nowo otwierane biura poselskie.

Złoty Świt domaga się przyłączenia do Grecji południowej części Albanii (północny Epir) oraz Cypru. Głosi konieczność opuszczenia Unii Europejskiej oraz NATO i zapowiada, że znacjonalizuje banki i zatrzyma prywatyzację. Opowiada się za gospodarczą autarkią. Partia jest skrajnie konserwatywna, homofobiczna, a poza tym antyamerykańska i antyturecka.

Wszystko to jednak sztafaż – hasła, które mało kogo mogłyby porwać. Zadziałała dopiero „antyimigranckość", którą Michaloliakos dodał do partyjnego programu w 2010 roku, gdy w kraju rozhulał się już kryzys i wszyscy szukali winnych. *Archigos* postawił na przybyszów z Azji i Afryki, których mieszka w Grecji około miliona. Wielu nie może znaleźć pracy, dlatego zasilają imigranckie getta w większych miastach – głównie w Atenach, Salonikach czy Patras. I właśnie tam – jak kłamliwie ogłasza Złoty Świt – napadają, kradną, gwałcą i mordują.

– Będziemy walczyć o Grecję bez imigrantów, żeby przestała przypominać dżunglę! – krzyczał Michaloliakos i tym charczącym krzykiem przekonał do siebie pięć procent wyborców, którzy oddali na niego swój głos w wyborach samorządowych, zapewniając mu fotel w radzie miejskiej w Atenach.

To był początek fali wznoszącej.

*

Fatimę spotykam w siedzibie międzynarodowej organizacji Lekarze bez Granic. Po pomoc przychodzą tu najbiedniejsi ateńczycy, których nie stać na wizytę w prywatnym gabinecie i wykupienie leków, oraz imigranci bez ubezpieczenia, a więc także dostępu do służby zdrowia.

– Pochodzę z Tunezji i chcę jechać do Francji, bo tam mam rodzinę – mówi mi Fatima. – Ale utknęłam w Grecji i nie mogę się wydostać. Nie ma dla mnie życia. Nie mam gdzie mieszkać, nie mam pracy – utrzymuję się ze sprzedaży ciuchów, które wygrzebię ze śmietników. Kupują je inne imigrantki. Pięćdziesiąt centów za kilogram.

Do Lekarzy bez Granic Fatima przyszła z pobitą koleżanką, której lekarz wolontariusz zagipsowuje właśnie ramię. Znała adres, bo sama szukała tu pomocy kilka miesięcy wcześniej. Jednego wieczora wychodziła z chłopakiem ze sklepu, gdy napadło ich czterech facetów – mieli zamaskowane twarze i kaptury zaciągnięte na głowy, a na czarnych bluzach biały meander, tę ich niedorobioną swastykę.

– Kiedy mój partner leżał na ziemi, wzięli się za mnie. Ciągnęli mnie za włosy i kopali. Bili w głowę, w twarz, w brzuch, w plecy. Ludzie przechodzili obok nas obojętnie. Nikt nam nie pomógł.

*

Po wyborach samorządowych w 2010 roku Złoty Świt znów stawia na imigrantów – czyni ich kozłem ofiarnym

i zbiorowym, niemym bohaterem przedłużającej się kampanii wyborczej.

Partia zapowiada, że po dojściu do władzy oczyści z imigrantów ulice. Wszystkich ich aresztuje i deportuje, a później obsieje minami przeciwpiechotnymi wszystkie granice – żeby nie mogli zbyt łatwo powrócić. Na razie zaś o porządek będą dbać członkowie i sympatycy partii – prawdziwi greccy patrioci.

Oto oni – patrolują na motorach najniebezpieczniejsze dzielnice i eskortują bezbronnych Greków do bankomatów, by ci bez strachu mogli wybierać pieniądze. Od czasu do czasu komuś przyłożą albo wrzucą granat gazowy do improwizowanego meczetu.

A policja? Wolne żarty! Policjanci nie tylko nie łapią zamaskowanych zbirów na motorach, ale często zniechęcają ofiary napadów – imigrantów – do składania skarg i grożą aresztowaniem.

Co więcej – policjantom Złoty Świt się podoba. W niektórych dzielnicach Aten na neonazistów głosował co drugi funkcjonariusz.

Dlatego niektórzy imigranci wolą za święty spokój zapłacić swoim oprawcom albo wejść z nimi w interesy. Najczęstsza forma współpracy to uliczny handel papierosami i ubraniami, które pochodzą ze zbiórek dla potrzebujących organizowanych przez Złoty Świt. Zysk do podziału.

Jest jeszcze jeden sposób, by na imigrantach zarobić. Wystarczy w imigranckiej okolicy kupić dużą nieruchomość – dom wielorodzinny albo stary hotel (ich ceny ostatnio bardzo spadły). W każdym pokoju zmieści się kilkanaście osób, z których każda oddzielnie płaci niewysoki czynsz. Michaloliakos zaprzecza, jakoby był właścicielem

imigranckiego motelu Nowe Marzenie w ateńskiej dzielnicy Agios Pantelejmonas. W końcu budynek należy do firmy, którą kierują jego żona i szwagier – on sam zaś jest jedynie członkiem zarządu.

*

„Zamknijcie swoje burdele w Grecji i idźcie do diabła. W przeciwnym razie zostaniecie zarżnięci jak kurczaki".

Mazen Shafik pokazuje mi list, jaki otrzymał kilka dni wcześniej (kopię, bo oryginał przekazał policji). Przyszedł w trzech wersjach językowych – po grecku, angielsku i arabsku. Bez odręcznego podpisu, ale z logo Złotego Świtu. Tu, na adres sklepu spożywczego, w którym się znajdujemy, w ateńskiej dzielnicy Neos Kosmos.

Mazen pochodzi z Egiptu. W Grecji mieszka już ponad dwadzieścia lat. Jego żona jest Greczynką, a dzieci chodzą do miejscowych szkół. W domu rozmawiają po grecku. Sklep to rodzinny interes, który nawet w kryzysie przędzie nie najgorzej. Klienci to głównie muzułmanie – zawsze coś kupią w drodze do podziemnego meczetu, który znajduje się w sklepowych piwnicach. To legalne miejsce modłów – Mazen ma wszystkie konieczne pozwolenia. Oczywiście, że wolałby prawdziwy meczet z minaretami i wielkimi oknami zamiast dusznej klitki ze sztucznym światłem, ale co zrobić? Kolejne rządy torpedują pomysł budowy meczetu z prawdziwego zdarzenia, mimo że tylko w Atenach i okolicach żyje kilkaset tysięcy muzułmanów.

– Do niedawna – mówi Mazen – prowadziliśmy zwyczajne życie. Praca, dom, modlitwa. Nikt nas nie zaczepiał. Ludzi zupełnie nie interesowała nasza wiara. Sąsiedzi wpadali na

kawę. Przestali przed poprzednimi wyborami, bo uwierzyli tym ze Złotego Świtu, którzy zaczęli nas o wszystko obwiniać. Nas! Przykładnych obywateli, którzy płacimy podatki i przestrzegamy prawa.

– A ten list, który wam przysłali, przestraszył was? – dopytuję.

– Mnie nie! – włącza się do rozmowy Anna, żona Mazena. – Wiem, co to za jedni, i wstyd mi, że jak ja są Grekami, ale bać się ich nie zamierzam. Jestem u siebie.

– Żona ma więcej odwagi. Ja za to pomyślałem, przyznaję, że może nie warto ryzykować. Mamy rodzinę w Egipcie. Możemy tam wrócić w każdej chwili. W Kairze nie bałbym się o dzieci w drodze do szkoły.

– Wykluczone – rzuca Anna. – Nie damy im tej satysfakcji.

– Na razie montujemy kamery do monitoringu. Widziałeś chłopaków przed sklepem na drabinach? Trzy będą wisiały nad wejściem i trzy na tyłach. Poza tym mamy alarm. Zostaje nam też modlitwa.

*

Z Neos Kosmos jadę do dzielnicy Kolonos, niedaleko ateńskiego dworca głównego. Złoty Świt ma tam jedno ze swych biur. Po południu odbędzie się spotkanie dla nowych członków. Wśród gości ma być kilkoro posłów. Chcę ich zapytać o list wysłany do Mazena.

Przed budynkiem kręcą się młodzi mężczyźni w czarnych T-shirtach. Palą papierosy, dyskutują, rozglądają się. Mają zakaz wpuszczania zagranicznych dziennikarzy. Widzę, jak odprawiają z kwitkiem ekipę którejś z azjatyckich telewizji. Nie cenią nas – twierdzą, że rozpowiadamy na ich temat

kłamstwa, które jak bumerang wracają później do greckich odbiorców. Działamy więc jakoby na ich szkodę.

Zagajam po grecku. Tłumaczę, że dzwoniłem wcześniej do biura rzecznika i obiecano mi, że będę wpuszczony. Stawros woła Pawlosa, Pawlos Kiriakosa. Wreszcie przychodzi do mnie Andreas, świeżo upieczony absolwent politologii. Uśmiechnięty, kulturalny. Twierdzi, że zaszła nagła zmiana planów i spotkanie jest dla mediów zamknięte. Nic się nie da zrobić. No, bardzo mnie przeprasza.

*

Michaloliakos, Zaroulia, Kasidiaris i piętnaścioro pozostałych posłów Złotego Świtu zajmują w parlamencie trzy ławy – w kącie pod marmurową ścianą, z dala od innych polityków.

Większość to debiutanci, wypadają nieporadnie. Uwierają ich garnitury i krawaty oraz rządzące izbą reguły. Swoje wystąpienia czytają z kartek i głośno przekrzykują marszałka, gdy ten prosi o przestrzeganie dostępnego czasu lub o używanie bardziej cywilizowanego języka. Twierdzą, że woleliby, jak w kampanii, działać na ulicach. Obruszają się, gdy media nazywają ich faszystami lub neonazistami – sami wolą określenia nacjonaliści lub po prostu patrioci.

# 24

W chojnowskiej szkole rolniczej, blisko cmentarza, tam, gdzie dziś znajduje się internat, w gabinecie geograficznym wisiały obok siebie trzy nowe, płócienne mapy: fizyczna mapa świata, polityczna Europy i administracyjna Polski. Zajmowały pół wielkiej ściany. Stare, nieco tylko zniszczone, ale od jakiegoś czasu nieaktualne, zwinięto w rulony, związano krótkimi sznureczkami, przeniesiono do gabinetu historycznego i wciśnięto do kąta.

Moja babcia Maria Sturis po skończonej robocie, to jest po tym, jak wytarła kurze na półkach, opróżniła śmietnik z ogryzków jabłek i papieru śniadaniowego, po tym jak uzupełniła kredę, wypłukała gąbki, zamiotła i umyła podłogę, gasiła drażniące ją, syczące światło jarzeniówki, podchodziła do ściany z mapami, wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym zamykała oczy. „Może tym razem się uda" – myślała. Przykładała do map obie ręce i wolno przesuwała je to w górę, to w dół, w prawo, w lewo, na północ, na południe. „Tym razem musi się udać!" Nie otwierając oczu, sunęła dłońmi po morzach i górach, z kontynentu na kontynent, z miasta do miasta, z powiatu do powiatu. W kółko, delikatnie, powoli.

Był listopad – klasę miejscami rozjaśniał ogień tlących się na cmentarzu zniczy.

Moja babcia wiedziała, że gdzieś na tej wielkiej mapie jest też ona sama. Czuła to. Kiedyś jeden partyzant – jeszcze w Bulkes – powiedział jej, że patrząc na każdą mapę, człowiek może odnaleźć siebie. Można być co prawda trochę na prawo albo

na lewo, poza jej krawędziami, ale można. Można być nawet metr od mapy. Ale ważne, żeby wiedzieć, gdzie się jest, żeby umieć się odnaleźć, niezależnie od tego, jaką mapę trzymamy przed oczami.

Jedna malutka kropka, może nawet niewidzialna, ale wyczuwalna – szkoła, w której pracuje, ten gabinet, jej ojciec, mąż, dzieci, ich mała służbówka w piwnicy. Nareszcie w jednym miejscu, a nie w ciągłym ruchu, nareszcie śpiący spokojniej i w komplecie, jak dawniej.

Moja babcia pragnęła spokoju. Po tych wszystkich ucieczkach nocą i długich marszach przez góry. Po tych pociągach, które całymi dniami wiozły ją nie wiadomo dokąd; na które nie kupowało się biletu; do których zaganiano całe rodziny; do których wsiadało się w tajemnicy; w których spało się na słomie; które nie miały okien; z których świat można było oglądać jedynie przez wąskie szpary między deskami; które nie kursowały według ustalonego rozkładu; które nie dowoziły tam, gdzie się chciało; które dezorientowały, otumaniały, gubiły swoich pasażerów; z których po cichu, w tajemnicy, kazano wysiadać – nie na dworcach, ale w środku pola.

Była przekonana, że jej wędrujące po mapach ręce nie zawiodą jej, że prędzej czy później ją odnajdą, zaprowadzą do chojnowskiego „tu i teraz" oraz pokażą greckie „tam i wtedy". Nie chciała przegapić tej jednej krótkiej chwili, tego pojedynczego znaku, wyraźniejszego impulsu, o którym wiedziała, że na pewno nastąpi – że przejdzie przez jej palce jak delikatne porażenie prądem; od mapy, od tego, co na niej, do głowy, do świadomości. Nie chciała przegapić Grecji i Chojnowa. Tam byłaś, a teraz jesteś tu – tyle by to znaczyło. Samonamierzenie. Tam byłaś, tam się urodziłaś, tam

mieszkałaś przez prawie czterdzieści lat, stamtąd przez prawie czterdzieści lat się nie ruszałaś, tyle co do sąsiedniej wioski. Tam urodziło się czworo z pięciorga twoich dzieci. Tam w czasie wojny pochowałaś pierwszego męża. Tam ukrywałaś się przed Włochami, Bułgarami i Niemcami, a później przed wojskiem greckim. Tam pobili cię żołnierze, bo nie chciałaś powiedzieć, gdzie są twoi bracia partyzanci. Tam, pobita, prawie straciłaś dziecko, które w sobie nosiłaś. Stamtąd musiałaś uciekać.

A teraz jesteś tu. Od kilku tygodni. W Chojnowie. Nie znasz tutejszego języka, tutejszego jedzenia, ludzi, którzy tu mieszkają. Nie wiesz, co sadzą na polach, czy mają pomarańcze i granaty, czy hodują owce. Nie wiesz, z czego zrobisz świąteczną pitę. Czujesz, że „tu" jest dużo zimniej niż „tam" – choć tam przecież mieszkałaś w górach. Jesteś „tu" i wygląda na to, że jeszcze długo tu zostaniesz. W zasadzie nie masz nic przeciwko temu. Nawet ci się tu podoba. Praca jest dużo lżejsza niż tam – co to dla ciebie posprzątać kilka klas i zmyć podłogę na korytarzach? Twój mąż pracuje w tej samej szkole co ty, jest palaczem, macie służbowe mieszkanie. Pieniędzy wystarcza na jedzenie. Twoje dzieci – Sultana i Petros – są zdrowe, chodzą na sanki z tutejszymi dziećmi. Janula, już dorosła, ma greckiego narzeczonego. Jak jeszcze tamta dwójka tutaj dojedzie, to nareszcie odetchniesz i może wszystko się dla ciebie ułoży.

Tyle by znaczył ten impuls. Gdyby się pojawił.

Czasami dłoń mojej babci zatrzymywała się nagle gdzieś w środkowej Hiszpanii, bardzo często na Związku Radzieckim, czasami na Jugosławii albo na zachodniej Afryce, bywało, że i bliżej, bardzo blisko – na Wrocławiu, Legnicy, Złotoryi, możliwe, że i na podchojnowskiej Osetnicy – albo na Turcji czy

Albanii. Wtedy otwierała oczy i zastanawiała się, czy to możliwe, aby właśnie w tych punktach było „tam" albo „tu". Czy impuls był prawdziwy, czy jej nie okłamał.

Za każdym razem miała nadzieję, że trafiła, że nareszcie się jej udało, że może przestać się martwić i przestać o tym myśleć – bo myślała nieprzerwanie, ciągle: podczas smażenia kotletów, podczas prania, podczas zamiatania korytarzy, gdy kładła się do łóżka. Mój dziadek mówił do niej: „Zacznij w końcu oddychać! Zacznij żyć. Co w tobie siedzi?". Chciała żyć, chciała oddychać mroźnym, chojnowskim powietrzem, ale w jej płucach zalegało inne, niedobre, zatruwające ją od wnętrza – opary, których nie mogła z siebie wykrztusić, zbyt gęste, by przeniknąć na zewnątrz przez skórę.

Otwierała oczy i spoglądała na miejsce, na którym przed chwilą zatrzymała się jej dłoń – chciała wierzyć, że tym razem impuls nie był przypadkowy. „Tak, tak, to na pewno tutaj!" – przekonywała samą siebie.

Zapalała światło, zabierała miotłę, szmatę i wiadro z wodą i schodziła do piwnicy, do mieszkania. Kładła się spać ucieszona, ale wszystkie wątpliwości i niepewności wracały do niej, zanim jeszcze zasnęła. A co, jeśli się pomyliła? Może to wcale nie tam? Odwracała się na drugi bok, ciężko dysząc. Następnego dnia wszystko się powtarzało.

Moja babcia nie umiała przeczytać nazw na mapach – w ogóle nie umiała czytać ani pisać – nie rozumiała, co to skala. Równoleżniki i południki znaczyły dla niej tyle, co linie rzek albo granice. Nie wiedziała, gdzie kończy się jedno państwo, a zaczyna inne. Jedyne, co wydawało jej się na mapach znajome, to kolory. Potrafiła je rozróżnić, ale nie wiedziała, że niebieski to morze, że góry są na brązowo, że zielony to nizina, a żółty – pustynia. Biały kolor na krańcach

map, na biegunach – czy to może być śnieg? Jeśli tak, to możliwe, że to Chojnów, a tym samym ona. Bo tamtego roku, 1954, zima była bardzo mroźna i napadało mnóstwo śniegu – miasto pozostało białe przez trzy miesiące. W Grecji też czasami prószyło, ale nigdy wcześniej nie widziała takich zasp, nigdy wcześniej nie zamarzały jej brwi i rzęsy, gdy wychodziła po zakupy. Na szczęście w mieszkaniu zawsze było ciepło.

Chwilami palce mojej babci wyjeżdżały poza mapę – poza Polskę, poza Europę, poza świat. Zahaczały o zaświat funkcjonujący na zimnej, chropowatej ścianie z pomarańczową lamperią. Zaświat bez nazw, bez żadnych kresek, konturów, bez całej tej gamy kolorów. Zaświat niezmierzony, niezeskalowany, niezmapowany, niepodzielony, niezorganizowany, niepoznany, obcy, przerażający. Dłonie mojej babci na skutek zimna, które biło od ściany, natychmiast się cofały, jak przy poparzeniu, i wracały na mapy. „Nie, to nie tam. Szukaj dalej". Wydawało się jej, że nie na taki impuls czekała.

Moja babcia, spoglądając na mapę, próbowała szacować. Pamiętała, że do Jugosławii przez góry szli kilkadziesiąt godzin, że przeprawa do Czechosłowacji trwała cztery dni, a z Czechosłowacji do Chojnowa dodatkowe pół dnia. Stąd tam – dałoby się przez ten czas czy za daleko? Ile kilometrów można zrobić w trochę ponad pięć dni? A stąd tam? A stamtąd tu?

Zastanawiał ją też Szczecin. – Twoje dzieci są w ośrodku pod Szczecinem. – Usłyszała na dwa tygodnie przed przyjazdem do Chojnowa. – Na północy Polski, prawie nad morzem. Od czterech lat. Chodzą do szkoły i są zdrowe. Ioannis Sturis i Kiriaki Sturis. Lat dziewiętnaście i siedemnaście. Ale nie możemy ich sprowadzić do nas, Polska jest większa niż

Czechosłowacja. Jak chcesz być z dziećmi, musisz jechać do Polski. Są tam już i inni Grecy. Dużo Greków, całe rodziny, nie będzie wam źle.

Co to znaczy „na północy Polski", nad morzem, nad którym morzem? I na dodatek ta szeleszcząca nazwa, którą ledwie umiała wypowiedzieć. Szczecin. Pod Szczecinem. Ile by się jechało z Chojnowa do Szczecina? A z Grecji? Na której mapie powinna szukać? Jaki to może być kolor?

# 25

Dzisiejszy temat: u lekarza. Czytamy tekst o dwóch szpitalach w Joaninie, tłumaczymy słówka: ból głowy, katar, przeziębienie, leki przeciwbólowe, pielęgniarka, karetka, operacja, chirurg, wózek inwalidzki, koperta. Koperta? Raczej kopertka. *Fakelaki*. Łapówka. Którą wręcza się lekarzom na każdej zmianie i wszystkim pielęgniarkom na oddziale.

Margarita, szykując się do porodu, pakując piżamy, kosmetyki, ciepłe kapcie, nie mogła zapomnieć o kopertach. Przyszykowali je z mężem dużo wcześniej. Leżała trzy dni. Poród przebiegł szybko i prawie bez bólu. Chłopczyk ma już prawie rok. Przez te trzy dni Margarita sześć razy sięgała do torby po *fakelaki*. Dwóm lekarzom (po sto pięćdziesiąt euro) i czterem pielęgniarkom (po sto). W sumie siedemset euro, czyli więcej, niż zarabia miesięcznie, ucząc nas greckiego. Bez tego nikt by na nią nawet nie spojrzał.

Mówi o tym bez najmniejszego skrępowania, nie ścisza głosu, nie jest jej wstyd. „Zrozumcie – mówi – tak już po prostu jest. Odkąd pamiętam. Inaczej się nie da”.

# 26

Meble przyjechały do Grecji w wynajętym wagonie pociągu, który z Wrocławia do Larisy jechał sześć dni i sześć nocy. Przez Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię i Bułgarię. Na jesieni 1975 roku ciotka Kula z wujkiem Apostolisem i dziećmi (jedenastoletnią Marysią i piętnastoletnim Andrzejem) w podobną podróż samochodem wyruszyli trzy dni później – na miejsce dotarli niemal równo z pociągiem.

Dwie brązowe meblościanki na wysoki połysk, rozkładany stół na dwanaście osób, dziesięć krzeseł, dwie wersalki. Wszystko kupione w Jeleniej Górze sześć lat wcześniej. Dzisiaj mają ponad czterdzieści lat.

– Z Jeleniej przywieźliśmy je wynajętym żukiem do Chojnowa. Mało kto wtedy takie miał. Sąsiadki zbiegły się oglądać. „No, no – mówiły – ci się, Kula, poszczęściło". Pożyczały krzesła na chrzty, komunie, wesela. W barku trzymaliśmy wódkę i nasze greckie papiery. Za szybą stały kryształy i książki. Kiedy w 1974 roku upadła junta, okazało się, że dają paszporty. Po dwudziestu pięciu latach mogliśmy wrócić do Grecji. Wcześniej był zakaz. W Atenach rządziła prawica, a my przecież komuniści. Niektórzy próbowali, wysyłali papiery, kombinowali, ale prawie nikomu się nie udało. Jakie nastało szczęście w naszej świetlicy, jaka radość – nareszcie, nareszcie. Prawie wszyscy chcieli wracać. A ja nie chciałam. Za nic nie chciałam. W Chojnowie było mi bardzo dobrze, wcale za Grecją nie tęskniłam. Tylko Apostolis się uparł. Jedziemy i koniec. Tam są jego rodzice, bracia, siostry.

Wracamy! Marysia trzy dni płakała, że ona nie jedzie, ona ma szkołę, koleżanki – nie chce, nie chce, nie chce. Znów zaczynać od zera, nie wiadomo, czy będzie praca, czy człowiek dostanie mieszkanie, jak nas przyjmą. Ech…

Trzeba też było kogoś znaleźć do opieki nad grobem mojego dziadka, który zmarł kilka lat wcześniej. Janina Porębska, zwana Cukierniczką, od razu się zgodziła.

Moja babcia, mój ojciec i jego pierwsza żona też wrócili, jako jedni z pierwszych. Podobnie ciocia Sultana i ciocia Janula z rodzinami. Niemal wszyscy chojnowscy Grecy wyjechali – została garstka.

– Wszystkie te meble znowu trzeba było starannie zapakować i wieźć do Wrocławia. Tam kontrola – rozpakowują i dokładnie sprawdzają. Nie pozwolili zabrać drugiego telewizora, dwóch kryształowych wazonów i świecznika, który twój wujek Apostoł zrobił na zakładzie – na dwanaście świeczek był, piękny, czarny, ciężki jak cholera. Limity – można tylko tyle i ani grama więcej. Pociąg odjeżdżał z dworca głównego. Trochę się baliśmy, czy wszystko dojedzie, czy nie pokradną po drodze, nie potłuką, nie pomylą. W Larisie na dworcu zapłaciliśmy biedakowi, który pomógł nam się rozładować. Jedna z wersalek wyśliznęła mu się z rąk, huknęła o ziemię i w skrzyni zrobiła się dziura. Później znaleźliśmy ciężarówkę, którą zawieźliśmy meble do wioski. Zamieszkaliśmy wtedy z braćmi Apostoła. W domu nie było miejsca na nowe meble – ledwie myśmy się mieścili, więc zostawiliśmy je przykryte szmatami w starej stajni. Po roku przenieśliśmy się do Larisy na stałe i znów trzeba było płacić kierowcy i tragarzom. Skurczybyki – wzięli od nas wtedy wujka miesięczną pensję.

Oprócz mebli podobną drogę przebyły kuchenka gazowa, pralka, dywan, firanki, zasłony, pościel, garnki, patelnie,

talerze, widelce, noże i łyżki. Szklanki potłukły się jeszcze przed Wrocławiem.

– Do dzisiaj to wszystko mamy. Nogi się nie rozłażą, uchwyty nie poodpadały, wersalki się nie wyrobiły. Sam zresztą powiedz – przecież wygodnie ci się spało. Gdzie teraz znajdziesz takie meble?

# 27

– Niech nam Niemcy oddadzą, co nasze – bilion trzysta miliardów euro! Pan jest dziennikarzem, niech pan to przeczyta. – Mężczyzna zostawia ulotkę na naszym stoliku i wychodzi. Przez okno musiał zobaczyć mikrofon, wpadł, przeprosił, że przeszkadza. Teraz my przez to okno patrzymy, jak rozmawia z ludźmi wychodzącymi z ateńskiego metra.

– *Et voila!* – zaśmiewa się Gazmend Kapllani, bo właśnie przed chwilą mówiliśmy o różnych narracjach, które towarzyszą greckiemu kryzysowi. Obwinianie Niemca jest w tych dniach popularne, łatwe i wygodne, a twarda retoryka Angeli Merkel to woda na młyn sporej grupy Greków, którzy szukają prostego wytłumaczenia dla sytuacji, w jakiej się znaleźli. – Wybielanie siebie i oczernianie innych to częsta cecha małych, ale dumnych narodów. A greckie ego jest olbrzymie, rosło przez lata, karmione spuścizną starożytności, Bizancjum, ale także europejskim filhellenizmem – pierwszy grecki król, Otton I, był Niemcem. Chciał wybudować sobie pałac na Akropolu. Teraz duma została ugodzona, więc trzeba bronić siebie i narodowej suwerenności.

Poprosiłem Kapllaniego o spotkanie, bo choć jest Albańczykiem, świetnie rozumie Grecję. Mieszka w Atenach ponad dwadzieścia lat, zrobił doktorat z filozofii, a wcześniej doświadczył bolesnej imigranckiej biedy. Pisze po grecku – o współczesnych Grekach i greckich emigrantach. Jego książki ukazały się w wielu krajach, więc dziennikarze, którzy opisują kryzys, często proszą go o komentarz. Umawia się

z nimi zawsze w tej samej kawiarni na placu Syntagma, tuż pod parlamentem – chyba że akurat odbywają się tam strajk albo demonstracja. Jest chłodny listopadowy wieczór, pijemy zieloną herbatę.

– Kryzysowych narracji jest wiele. Dominuje kilka, wzajemnie się wykluczających. Jedni wypierają rzeczywistość i mają cichą nadzieję, że za chwilę sytuacja wróci do normy. Inni wolą amerykańsko-europejski spisek. Jeszcze inni rozumieją grecką winę i wiedzą, że do znanej im przeszłości nie ma powrotu. Niektórzy z kolei odpowiedzialność rozkładają pół na pół: Grecja–Unia Europejska. Greckie społeczeństwo pędzi ku przepaści, jest zawieszone w pół kroku, trwa na rozdrożu, przeprawia się przez długi most, nie może znaleźć wyjścia awaryjnego, jest jak sypiąca się kamienica, której dach i fundamenty pękają jednocześnie. – Podczas naszej rozmowy pada jeszcze kilka innych metafor, mających obrazować rzeczywistość. Budulcem każdej z nich jest strach.

– Grecy przez setki lat żyli w zagrożeniu, strachu i w cieniu wielkich podziałów społecznych – mówi Kapllani. – Krwawa wojna domowa w latach czterdziestych i dyktatura czarnych pułkowników (1967–1974) dodatkowo pogłębiały tę fragmentaryzację i dopiero w ostatnich dekadach panował jako taki spokój. Po obaleniu junty Grecy stali się dużo spójniejszym społeczeństwem. Kraj stopniowo się demokratyzował, ludziom żyło się łatwiej. Zapanowały dobrobyt i konsumeryzm. Wtedy właśnie przyszedł krach – niespodziewanie, w najlepszym od wielu lat momencie – i spowodował potężny szok. Teraz diametralnie zmieniają się reguły gry, które obowiązywały dotychczas i porządkowały Grekom świat.

– Czyli co konkretnie? – dopytuję.

– Na przykład to, że merytokracja musi zastąpić klientelizm, który przez lata regulował stosunki społeczno-polityczne. Na porządku dziennym było, że ludzie pukali do drzwi biur swoich posłów, bo oczekiwali, że w ramach rewanżu za oddany głos politycy znajdą im dobrą pracę. W polityce dominowało kilka możnych rodzin, które wymieniały się władzą. Jeśli przyjrzymy się dzisiejszym posłom i posłankom, zobaczymy, że wielu z nich siedzi na miejscach, na których niedawno siedzieli ich przodkowie. Oni swoich wyborców dostali w spadku. W ten sposób kraj przestał się modernizować, a Grecy z bardzo młodych i niedoświadczonych obywateli stali się klientami. Stracili zaufanie, wiarę i szacunek do partii politycznych i demokratycznych instytucji. System jednak obowiązywał i – chcąc nie chcąc – trzeba było respektować jego zasady. Albo emigrować – co wielu Greków zrobiło. Gdy przyszedł kryzys, zabrakło pieniędzy, by dalej grać w tę grę. Stare okazało się złe i nieskuteczne, a nowe dopiero zaczęło się wykluwać. Powstała więc próżnia. Grecja znajduje się w fazie politycznej, społecznej i gospodarczej tranzycji.

– Jest jednak ryzyko, że kiedy dobiegnie ona końca, może się okazać, że dalej nie ma na kogo głosować, że nie pojawiły się żadne nowe siły polityczne, że wszystko zostaje po staremu.

– Grecja musi się zmienić – uważa Kapllani. – Nawet gdyby w tej chwili wymazać cały jej dług i zostawić stary system polityczno-ekonomiczny bez zmian, za dziesięć lat bylibyśmy w tym samym miejscu. Przecież Grecja bankrutowała już cztery razy w ciągu ostatnich dwustu lat. Ale wydaje się, że jest spora grupa osób – między innymi dobrze wykształcona młodzież, Grecy wracający z wieloletniej emigracji – które wbrew greckiej tradycji są gotowe odciąć się od przeszłości, nawet kosztem wyrzeczeń, jeśli dać im gwarancję, że nowe

społeczeństwo będzie zdrowsze, że z czasem znikną korupcja i klientelizm. Na to jednak potrzeba czasu, odważnych polityków, jednej, może dwóch parlamentarnych kadencji.

– Ale działać trzeba już teraz.

– Ta olbrzymia presja, której doświadczamy, nie pomaga i nie wróży dobrze rodzącym się zmianom. Wszyscy patrzą na tak zwane rynki i próbują przewidzieć ich zachowania w zależności od tego, jak rozwinie się sytuacja polityczna. Greckim politykom mówi się: natychmiast znajdźcie rozwiązanie, jeszcze dziś, zanim otworzy się NIKKEI. Musicie przyjąć pierwszy pakiet ratunkowy, musicie przyjąć drugi, musicie ciąć i oszczędzać, gdzie się da, nie czas na referendum, nie możecie ogłosić wyborów, bo rynki nie lubią niepewności, bo indeksy pójdą w dół. Jakie indeksy? Kim są ci faceci w Tokio? – wkurza się Kapllani. – Kto kim rządzi na tym świecie? Przecież nie wybieramy „rynków", nie one mają decydować o naszym losie, nie znamy zasad, które je regulują. Nawet w najbrudniejszej polityce jest więcej przejrzystości. Przynajmniej wiemy, kogo wybieramy. Kryzysowy dyskurs powinien być bardziej polityczny, a tymczasem dominuje opowieść o liczbach. O niczym innym nie słyszymy, tylko miliardy, tryliardy, procenty. W demokracji zmiany dokonują się stopniowo, wymagają czasu. Z dnia na dzień można co najwyżej przeprowadzić zamach stanu.

– Europa naciska, bo boi się także o siebie. Nie chce dopuścić, by kryzys się rozprzestrzeniał.

– Ale ten kryzys nie jest wyłącznie greckim doświadczeniem, co widać dziś coraz wyraźniej. Trzeba umieć oddzielić problem samej Grecji od szerszego kontekstu. Lehman Brothers nie był greckim bankiem. Problemy mają Włochy, Portugalia, Hiszpania, Irlandia, cała strefa euro, a także cała Unia. Wirus

najpierw dopadł najsłabszy organizm, czyli Grecję – bo system polityczny był nieskuteczny, gospodarka zacofana, produkcja prawie zerowa, bo nie można wiecznie żyć na kredyt i konsumować na potęgę. Zgoda, zasłużyliśmy. Ale Grecja wydaje się lustrem, w którym odbija się większość współczesnych europejskich strachów i koszmarów. Wirus nie zatrzyma się na Atenach, będzie się mutował i atakował dalej. Unia Europejska jest naszym wspólnym interesem. Grecy nie wyobrażają sobie, by mogli się znaleźć poza strefą euro czy poza Unią, by mogli znów stać się pionkiem wielkich mocarstw, semikolonią. Przynależność do klubu możnych, do nowoczesnej Europy, to dla Greków druga, tym razem pokojowa *megali idea*. Pierwsza „wielka idea" powstała ponad sto lat temu i była ekspansjonistyczna. Opierała się na pomyśle zjednoczenia wszystkich greckich ziem, z Kretą, Cyprem i Konstantynopolem włącznie. Zakończyła się porażką. Grecy traktują Unię Europejską jak schronienie, dlatego tak alergicznie reagują na wszelkie głosy nawołujące do wyrzucenia ich ze strefy euro. To hipokryzja uważać, że jedynie Grecja ma problem, a gdzie indziej wszystko jest w porządku.

– Grecja stała się kozłem ofiarnym?

– Jest pariasem Europy. Jako imigrant często doświadczałem przejawów ksenofobii. Zdaniem Greków wszystkiemu, co najgorsze, winni byli Albańczycy, którzy w latach dziewięćdziesiątych, po otwarciu granicy, masowo przyjeżdżali do Grecji. Ten pogląd był bardzo bolesny i krzywdzący. Teraz podobnie traktuje się tu nielegalnych przybyszów z Afryki i Azji. Ale kiedy jeżdżę dziś po Europie i mówię ludziom, że przyjechałem z Grecji, słyszę na temat Greków te same nieracjonalne argumenty i stereotypy,

którymi Grecy posługują się wobec imigrantów. Traktuje się Grecję jako historyczną pomyłkę, jak bękarta w łonie zacnej europejskiej rodziny: „Nie pasujesz do nas, mamy przez ciebie same problemy". Przecież Grecy nie są ani złodziejami, ani jakimiś szczególnymi leniami. Ciężko pracują, tak jak inni Europejczycy. Jeśli mają jeszcze gdzie pracować.

– Za to częściej niż inni protestują, strajkują, urządzają wielkie demonstracje, które powodują paraliż miasta i utrudniają życie zarówno samym Grekom, jak i zagranicznym turystom.

– Trudno dziwić się ludziom, że wychodzą na ulice. Człowiek, który dotąd zarabiał tysiąc pięćset euro, nagle dostaje dziewięćset. Znasz kogoś, kto by w takiej sytuacji nie protestował? Kto by powiedział: w porządku – rozumiem, żyłem na kredyt, możecie zabrać moje pieniądze?

– Przyjeżdżają reporterzy i pytają: gdzie ten kryzys? Restauracje pełne, w kawiarniach tłok.

– W Niemczech w latach dwudziestych w restauracjach także brakowało wolnych miejsc. Wokoło chaos, szalejący kryzys, a Niemcy pili piwo. To w piwiarniach rozpoczęła się kariera Hitlera. Dziennikarze lubią upraszczać rzeczywistość. Czego oczekiwali, przyjeżdżając do Aten? Są rozczarowani, bo mamy tu kryzys ekonomiczny, a nie klęskę głodu? Czy nie widzą żebraków i bezdomnych? Czy nie spotkali ludzi, którzy muszą wyżyć za czterysta euro miesięcznie? Dlaczego nie przeszli się do miejsc, w których biedacy stoją w długich kolejkach po darmową żywność, albo do szpitali, w których zaczyna brakować lekarstw? Jeśli zaglądają wyłącznie do kawiarni i bogatych sklepów, nierzetelnie wykonują swoją robotę. Oznaki pogorszenia widać na każdym kroku. Gołym okiem. Na szczęście grecka rodzina trzyma się jeszcze dość mocno,

a w jej model wpisana jest wzajemna pomoc w trudnych momentach.

Kapllani kończy naszą rozmowę, rozbudowując wcześniej użytą metaforę. Tę z lustrem, w którym przeglądają się Europejczycy i w którym widzą własne bolączki. Mówi, że Grecy też muszą się sobie przyjrzeć – z odwagą, bez przymykania oczu.

Nadzieja na wyjście z kryzysu nie zniknie, jeśli zarówno pierwsi, jak i drudzy wytrzymają widok, który im się ukaże. Gorzej będzie, jeśli nie wytrzymają i stłuką lustro.

# 28

Wiosną, latem i wczesną jesienią, w każdy wtorek, czwartek i niedzielę, po poobiedniej drzemce, około siedemnastej spotykają się w supermarkecie, kupują gorzką czekoladę i cztery soczki z rurką. Schodzą nad rzekę i siadają na dwóch ławkach ustawionych naprzeciw siebie. Tak od ponad trzydziestu lat. Zimą spotykają się w swoich mieszkaniach. Najlepsze przyjaciółki. Mają po siedemdziesiąt kilka lat.

Anthoula, na którą w Polsce wołali Róża, przyjechała do Larisy ze Świdnicy, Kariofila – z Jeleniej Góry, Theodora – z Wrocławia, moja ciotka Kula – z Chojnowa. Wszystkie szczupłe, siwe, lekko przygarbione.

Najpierw mówi Kariofila – o swoim mężu, który w zeszłym miesiącu miał zawał, a wczoraj był w szpitalu na kontroli. Dostał nowe tabletki. Będzie mu je dawać trzy razy dziennie. I ścisłą dietę – tłustego nie, smażonego nie, alkoholu nie, słodkie tylko od czasu do czasu. – Od dzisiaj – żartuje – na schabowe będę przychodzić do was.

– Wykończą nas ci nasi starzy – śmieje się Theodora. – Robią się teraz jak dzieci. Wszystko trzeba im na tacy. A kto będzie pamiętał o moich tabletkach na nadciśnienie, o maści na żylaki?

– O kroplach do oczu? – dodaje ciotka Kula.

– O mojej cukrzycy? – kończy Anthoula i wszystkie wybuchają śmiechem.

Później trochę plotkują: ta i ta, to i to, z tym i z tym, za tyle a tyle. A to, a tamto. Nie do wiary, a jednak! „Eee, za naszych

czasów…” Czekolada znika w mig. Teraz mocują się z zafoliowanymi słomkami, prostują bolące nogi, wiercą się, masują zesztywniałe ramiona.

Tamtego dnia moja ciotka była bardziej niż zwykle milcząca. Myślami nieobecna. Zaraz się zorientują, że coś z nią nie tak, że coś ukrywa. Za dobrze się znają. Powiedzieć, nie powiedzieć? – zastanawia się. Powiedzieć, nie powiedzieć? Powiedzieć!

– Lecę do Polski.

Nie usłyszały. Płynąca rzeka, ćwierkające ptaki, przełykany sok, samochody na moście.

– Słyszycie, co mówię? Do Polski lecę! Do Chojnowa! – powtórzyła głośniej, odważniej. Po polsku. Od teraz rozmowa toczy się po polsku. Wszystkie trzy znieruchomiały. – No co? Lecę. Na tydzień.

Odkąd wróciły do Grecji w połowie lat siedemdziesiątych, żadna z nich nie wybrała się do Polski. Dzwoniły do swoich koleżanek ze szkoły i z pracy, do dawnych sąsiadek, wysyłały kartki na święta i listy, robiły zakupy w polskim sklepie: masło, biały ser, mak na ciasto drożdżowe, ale żadnej się nie złożyło, by odwiedzić swoje dawne miasto. Choć zawsze mówiły: „Pojedziemy, pojedziemy. Za rok. Latem, bo nie jest aż tak gorąco, jak tutaj. Zimą, bo tęskno za polską zimą, za śniegiem, za mrozem. Na wiosnę. Za rok. Jak wyzdrowieję, jak wyremontuję łazienkę. Za rok. Na pewno”. A po latach: „Drogo, daleko, a gdzie przenocujemy, a nikt nas nie pozna, a my nie poznamy starych kątów. Za stare, zdrowie już nie to. Trzeba nam było jechać wcześniej, rok temu, dwa, trzy”.

– Do Polski? Lecisz? Kula, przecież ty nigdy nie leciałaś samolotem. Żadna z nas nie leciała.

– No, to teraz polecę. Z moją siostrą Sultaną i bratankiem. Zajmą się mną, z nimi nie zginę.

– Kula, po trzydziestu pięciu latach?

– Kiedy mam pojechać, za następnych trzydzieści? Jak nie pojadę teraz, to już nigdy się nie wybiorę.

– A co z Apostołem?

– A co ma być? Przecież jadę na tydzień, nie na rok. Da sobie radę. Wyniki ma nie najgorsze. Ugotuję mu trochę jedzenia na zapas. Zresztą on sam mówi, że mam jechać. Chce, żebym mu przywiozła polskiej wódki. Żytniej. Marysia się trochę o mnie boi, choć wiem, że jest ze mnie dumna. Sama by też chciała polecieć, ale nie dostanie urlopu.

– Gdzie się zatrzymasz?

– U Jasi, przyjaciółki Sultany.

– A paszport masz?

– Nie trzeba. Mówią, że wystarczy dowód.

– Nie boisz się?

– Róża, czego mam się bać? Nie mogę się doczekać! Czuję się, jakbym wracała do domu. Nie rozumiecie? Mówicie jak Greczynki!

Zawsze śmiały się z Greczynek. Tych, które w przeciwieństwie do nich nigdy nie musiały uciekać z Grecji, które nie musiały żyć w obcym państwie przez ponad dwadzieścia lat, którym przez ten czas nie odmawiano prawa powrotu. Mówiły o nich „stare Greczynki", choć były w tym samym wieku. Że gadają wyłącznie o haftowaniu, robieniu na drutach, o tym, ile zarabia ich zięć, i o tym, ile w posagu wniosła nowa synowa, ile mają pokoi w nowym mieszkaniu, jaki samochód.

– Niewykształcone dzikuski! Ledwo skończyły sześć klas, rzadko kiedy gimnazjum. Ani słowa w obcym języku. Posag?

W tych czasach? Kto to widział?! Nigdy nie pracowały, jednej złotówki same nie zarobiły, jednej drachmy. A pamiętacie, jak się mądrzyły, gdy wróciliśmy z Polski? Myślały, że myśmy tam ze świniami z jednego koryta jedli, że głodowaliśmy, żeśmy dziadowali. Użalały się nad nami. Taka była wtedy propaganda przeciw komunistom. Nie widziały, co myśmy ze sobą przywiozły: kryształy, kolorowe telewizory, pralki, meble, srebrne sztućce. Tu wtedy nie mieli nic. Bieda i zacofanie. A my w Polsce miałyśmy pracę, chodziłyśmy na dansingi, do kina. Z Polakami na urodziny, imieniny, na sylwestra. Jak równych nas traktowali, jak swoich. Interesowali się: każdy każdemu „dzień dobry", po ramieniu poklepał, „jak tam, pani Kulu, dzieciaki zdrowe, wszystko dobrze?" A te w domu, przy garach, zahukane. Na kawę nie mogły same wyjść, na spacer bez mężczyzny. Gotowały tylko i sprzątały, dziergały i słuchały swoich głupich mężów. Co one mogą wiedzieć? Niby z jednego kraju, ale całkiem jesteśmy inne, z innej gliny.

Jedna stara Greczynka chciała się nawet kiedyś z nimi zakolegować.

„Może ta jest jakaś normalna" – myślały. Kupiły dodatkowy soczek, ścisnęły się na ławce. Przez kwadrans słuchały o hafcie krzyżykowym, później o synu, który ma w Ameryce dom z siedmioma pokojami i basenem i co miesiąc przysyła matce sto euro. Starej Greczynce podobało się nowe, przytakujące audytorium – do momentu, kiedy Anthoula zapytała pozostałe koleżanki, na kogo będą głosować w jutrzejszych wyborach.

– Jak to na kogo? – odparła Kariofila. – Na tych, co zawsze.

– Na naszych – dodała Theodora.

– Na KKE, Komunistyczną Partię Grecji. My poglądów nie zmieniamy – zakończyła ciotka Kula.

Stara Greczynka była zszokowana. Że kobieta może mieć poglądy i w dodatku takie skrajne. Jej samej to mąż zawsze mówił, na kogo ma głosować. Na konserwatystów, na Nową Demokrację. I tak było dobrze. Wytrzymała do końca spotkania, ale na kolejnym już się nie zjawiła. Spotkana na ulicy, z łaską odpowiadała *kalimera*.

*

– Zapłacisz z pół tysiąca. Samoloty są drogie. – Róża kiwała głową.

– Właśnie, że tanie. Sześćdziesiąt euro w dwie strony! Znaleźli w komputerze. To tyle, co wyjść dwa razy na zakupy. Tyle, co kupić trochę mięsa, sera, warzyw, butelkę wina. I już. Mówię wam, to jest okazja.

Wszystkie cztery od lat są na mieszanej, polsko-greckiej emeryturze. Tam pielęgniarki (Kariofila i Anthoula) i pracownice fabryk (ciotka Kula i Theodora) – magazynierki, przy taśmie, przy zwrotach, na zaopatrzeniu. W Grecji sprzątaczki, albo u prywaciarzy – w cukierni, w kwiaciarni. A później, po sześćdziesiątce, ta sama historia: „Z przykrością informujemy, że w naszym archiwum brak dokumentów potwierdzających Pani zatrudnienie w chojnowskim Zakładzie Produkcji i Przetwórstwa Papieru w okresie od lipca do grudnia 1969 roku. Z wyrazami szacunku". Albo: „W naszych zasobach nie znaleźliśmy danych na temat wysokości Pani wynagrodzenia za okres styczeń 1959 roku–marzec 1963 roku". W taki sposób każdej z nich wypadło średnio po trzy lata pracy w Polsce. Dlatego dostają niewiele, minimalną emeryturę, ale nie narzekają – mówią, że oszczędność już dawno weszła im w krew, jeszcze w Polsce.

Torami, które ciągnęły się wzdłuż rzeki, przejechał pociąg. Słońce zaszło. Pora kolacji. Kariofila wyciągnęła z torebki apaszkę i zawiązała ją wokół szyi. Przyjaciółki pożegnały się i rozeszły do domów. Tej nocy wszystkie będą miały problemy z zaśnięciem.

# 29

Dora ma piękny, niski, niemal męski głos, nie do pomylenia z żadnym innym. Atłasowy – niezależnie, czy słucha się go na żywo, czy w radiu. A konkretnie w Radiu Bubble – to tam usłyszałem Dorę po raz pierwszy. Czytała informacje w serwisie zagranicznym – po angielsku i francusku, a godzinę później brała udział w dyskusji o greckich Oburzonych, jako jedna z uczestniczek i współorganizatorka ruchu. Mówiła, że nie ma innej drogi – tylko protest może przynieść nowe otwarcie.

Dora jest dzielna i wojownicza. Nie poddaje się, choć – jak mówi – jest potwornie zmęczona. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, bardziej niż gdy pracowała w Somalii czy na Bliskim Wschodzie, gdzie kryzysy są jeszcze dotkliwsze, gdzie greckie warunki to niemal sielanka.

Internetowe Radio Bubble włączałem od czasu do czasu. Stacja – opisywana jako niezależna i obywatelska – powstała na chwilę przed kryzysem. Zakładali ją dziennikarze i aktywiści pomstujący na tradycyjne media – publiczne, bo prezentują jedynie rządową propagandę, prywatne, bo ich właściciele to biznesowi magnaci, wykorzystujący swoje nierentowne kanały telewizyjne, gazety i portale do zdobywania rządowych kontraktów (najbardziej znani to miliarderzy Bobolas, Psicharis, Vardinogiannis i Marinakis, do których przylgnęła łatka *davatzides* – „alfonsi" lub *diaplekomenoi* – „uwikłani"). Radio ma na etacie tylko dwoje dziennikarzy, reszta, około siedemdziesięciu osób, w tym

Dora, to wolontariusze. Przygotowują newsy, piszą blogi, tweetują, kręcą filmy dokumentalne i reportaże. Mówią o tym, o czym media tradycyjne zaledwie napomykają lub milczą zupełnie. Od niedawna prowadzą też warsztaty dla przyszłych dziennikarzy obywatelskich. Utrzymują się z darowizn od kilku tysięcy słuchaczy.

Umawiamy się na Exarchii, w siedzibie radia – studio jest na piętrze, a na parterze znajduje się kawiarnia. Zanim usiądziemy, Dora zabiera mnie na pitę ze szpinakiem, porem i fetą – jej zdaniem najlepszą w całych Atenach. Na każde kolejne spotkanie będziemy się umawiać przed tą małą piekarnią. Z jej właścicielką Dora jest na „ty". Wymieniają się uprzejmościami i uśmiechami. Dla mnie trójkątny kawałek pity to drugie śniadanie – dla Dory to wczorajszy obiad i wczorajsza kolacja.

*

Jest lipiec 2013 roku, w Grecji trwa kolejne przesilenie po tym, jak premier Antonis Samaras w nocy 11 czerwca postanowił zamknąć nadawcę publicznego radia i telewizji ERT. Ot tak, po prostu – bez konsultacji, zapowiedzi, bez wyjaśnień. Bo ponoć źle służy Grekom, bo jest za drogi i skrajnie upolityczniony: likwidujemy chore, gnijące ERT, ale cierpliwości, za kilka miesięcy otworzymy nowe, lepsze media. Będzie super, zobaczycie.

Ekrany telewizorów poczerniały, radioodbiorniki zamilkły. Ludzie zdębieli. Dora się wściekła. Znów, bo wściekłość to emocja, która towarzyszy jej od początku kryzysu.

– Moje życie to chaos, jedna wielka, nieprzerwana, antyrządowa demonstracja. Od jedenastego czerwca sypiam

po cztery godziny na dobę. Snem niespokojnym, urywanym. Jadę na kawie i papierosach – wypalam dwie paczki dziennie. Potrafię jednocześnie brać prysznic i tweetować. Z braku czasu na czesanie na włosach noszę bandankę. Budzik w telefonie dzwoni automatycznie co dwie godziny – na wypadek gdybym ze zmęczenia zapadła w nieplanowaną drzemkę. Facet, z którym chodziłam na randki, pewnie myśli, że umarłam, bo nie mam kiedy oddzwonić lub odpisać na jego SMS-y.

Wcześniej Dora i reszta ekipy Radia Bubble pogardzali ERT. Nie sądzili, że przyjdzie im walczyć o publiczne media, wychodzić w ich obronie na ulicę. Walczyć to można (trzeba!) z faszystami ze Złotego Świtu, z brutalnością policji, z kłamliwymi politykami: o demokrację, o respektowanie prawa, owszem. Ale o ERT?! Dora od dawna uważała, że ta telewizja i sieć lokalnych radiostacji są upolitycznione, podszyte korupcją, serwują infotainment zamiast rzetelnej informacji i psują publiczną debatę w Grecji na równi z mediami prywatnymi. Nic w tej kwestii się nie zmieniło. Ale chodzi o pryncypia – o wolność słowa i solidarność z pracownikami ERT, którzy nagle trafili na bruk (dwa tysiące siedemset osób!).

– Rząd Samarasa ma tendencje autorytarne, a sam premier chce uchodzić za przywódcę z prawdziwego zdarzenia, za wizjonera, który wie, jak wyciągnąć kraj z kryzysu. Myśli, że jednym dekretem może zlikwidować radio i telewizję, które działały nieprzerwanie nawet podczas hitlerowskiej okupacji i w czasie junty. Nie podobało mu się, że w ERT była grupa krytycznych wobec niego dziennikarzy, niebędących marionetkami dyrektora, którego kilka tygodni wcześniej

osobiście mianował. Wytoczył nam wszystkim bitwę, której nie ma prawa wygrać.

*

Do Grecji przyjechała jako dwunastolatka, z kanadyjskiego Quebecu (rodzice Dory uciekli tam z Krety za czasów junty czarnych pułkowników). To dlatego ciągle uważa, że po francusku mówi najlepiej – lepiej niż po grecku, angielsku i arabsku. Arabskiego nauczyła się już w Paryżu, dokąd wyjechała po maturze. Studiowała filozofię i pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej. Później zatrudniła się w Norweskiej Radzie ds. Uchodźców. Przez dwanaście lat wyjeżdżała na misje: do Libanu, Palestyny, Syrii, Sudanu, Czadu, Konga i Somalii. W same epicentra humanitarnych kryzysów, zawsze w chwilę po katastrofie, gdy trzeba było wszystko zaczynać od nowa, pomagać ludziom stawać na nogi. Przywiozła stamtąd zmęczenie i zawodowe wypalenie, trochę oszczędności, jedną książkę ukończoną (wspomnienia z II Intifady) i dwie kolejne zaczęte, które w szufladzie czekają na dogodniejszy czas, na wolną chwilę autorki, a więc w praktyce na koniec kryzysu.

– Przez wszystkie te lata wpadałam do domu na krótkie urlopy, w biegu z jednej misji na drugą, po odpoczynek, po regenerację. Grecja była dla mnie jak najlepsze SPA. Azyl, rodzina, własna kultura, poczucie bezpieczeństwa. W końcu zrobiłam się zbyt wygodna i chciałam mieć to na co dzień. Wróciłam na dobre. Musiałam też zagoić rany po nieudanym małżeństwie. Liczyłam na dobrą pracę i spokojne życie. Wiesz, kiedy to było? Nie uwierzysz. Na tydzień przed wyborami w dwa tysiące dziewiątym roku! Co za ironia!

Dora gasi kolejnego papierosa i wybucha śmiechem. Bo październikowe wybory w 2009 roku to pierwsza faza kryzysu. Nad Ateny nadciągają ciemne chmury. Wiadomo już, że będzie ciężko, ale nie wiadomo jeszcze, jak bardzo. Nowy premier, szef zwycięskiego PASOK-u Jorgos Papandreou, wygłasza w parlamencie słynną frazę: „pieniądze były… ale się skończyły".

Jako specjalistka od zadań niewykonalnych Dora dostaje pracę w resorcie edukacji. Ma wprowadzać w życie potężną reformę, która była jednym z głównych haseł wyborczych socjalistów z PASOK-u. „Uzdrowimy grecką szkołę" – obiecywali politycy. A było (nadal jest) co uzdrawiać – cały system od lat działa fatalnie. Poziom nauczania w szkołach jest tak niski, że zupełnie nie gwarantuje zdania matury i dostania się na studia. Dlatego uczniowie wracają po zajęciach do domu, jedzą obiad i wychodzą do drugiej szkoły, do tzw. *frondistirium*, gdzie najczęściej powtarzają materiał z poranka. Korepetycje w wersji powszechnej, odpłatnej, zinstytucjonalizowanej.

– Kiedy przyszłam do ministerstwa, okazało się, że reforma to wydmuszka, że istnieje jedynie na billboardach. Nie było na nią żadnego planu, żadnego pomysłu. To ja ją miałam stworzyć.

Przez pół roku Dora walczyła z administracyjnym chaosem, z biurokracją, z ministerialnymi koteriami i sabotażami.

– Nie szło załatwić czegokolwiek, pojedynczego podpisu. Wprowadzali działania na łapu-capu, zamykali nie te szkoły, które należało, chcąc udowodnić, że cokolwiek robią. Zrezygnowałam, bo nie chciałam firmować nazwiskiem Oikonomidis tak złego projektu. Kompletna strata czasu, a w dodatku powiedzieli, że mi nie zapłacą. Nie dostałam od

nich złamanego euro. Więc poszłam do sądu. Pierwszą rozprawę mamy na jesieni. Wygram na pewno. I jeszcze wywalczę należne mi odsetki!

*

Dora ma trzydzieści dziewięć lat. Jest niewysoka, ma krótkie, czarne jak smoła włosy i gęste brwi, piękny uśmiech. Ze znajomymi, którzy co chwila wchodzą do kawiarni, wita się całusem. Widziała się z nimi ledwie kilka godzin wcześniej – bo wszyscy do późnej nocy byli na proteście przed siedzibą ERT.

– Niedługo po tym, jak rozstałam się z ministerstwem, na placu Syntagma pojawili się greccy Oburzeni, *aganaktismenoi*. Maj dwa tysiące dziesiątego roku. Byłam z nimi i działałam w sekcji medialnej. Zagraniczni dziennikarze przychodzili do naszego namiotu, a my tłumaczyliśmy im całą sytuację. Z greckich mediów niczego by się nie dowiedzieli. Drukowaliśmy biuletyny i rozgłaszaliśmy w internecie informacje o weekendowych demonstracjach. Przez kilka kolejnych sobót przed parlamentem zbierało się co najmniej sto tysięcy osób. Ludzie byli wściekli, mieli dość nowych podatków i cięć, którymi rząd chciał załatać dziurę w budżecie, protestowali przeciwko gigantycznym oszczędnościom w służbie zdrowia, przeciwko bezrobociu, przeciwko politykom, którzy serwowali im klasyczną terapię szokową.

Dora też była – nadal jest – oburzona. Nie może się pogodzić z tym, że na jej oczach ginie cudowna Grecja, którą pamiętała z wczesnej młodości, że społeczeństwo się dezintegruje, a ludzie potwornie biednieją. Jako „Wkurzona Czarna Owca”

zaczyna pisać bloga – po angielsku, żeby mieli z niego pożytek korespondenci ze świata. Dużo i odważnie tweetuje. Celnie punktuje rządzących polityków – szydzi na przykład z ministra sprawiedliwości, który obrażony za niepochlebne komentarze w internecie, bredził o ustawie mającej zlikwidować anonimowość w sieci. Ludzie z Radia Bubble zapraszają ją do współpracy.

– Policja szybko rozgoniła Oburzonych, zlikwidowała nad ranem nasze obozowisko. Ale energia pozostała i zasila dzisiaj setki najróżniejszych inicjatyw. Ludzie organizują się, działają tam, gdzie nie działa niewydolne państwo. A my w Radiu Bubble dajemy im głos.

– Przykład?

– Za godzinę będą tu twórcy Tutorpool, mają godzinną audycję w każdy ostatni czwartek miesiąca.

Tutorpool to system darmowych korepetycji, będący jedyną alternatywą dla rodziców, których w kryzysie nie stać, by posyłać dzieci do płatnego *frondistirium*. Mogą wejść na stronę, zarejestrować się i zapytać czy jest ktoś, kto we wtorki, czwartki, lub piątki posiedzi z ich synem czy córką nad fizyką, matematyką, angielskim. Wolontariusze to emerytowani, lub bezrobotni nauczyciele, młodzi absolwenci, doktoranci, uniwersyteccy profesorowie – deklarują, że mogą uczyć tego a tego, wtedy a wtedy. Zapraszają do siebie albo mówią, do których dzielnic mogą dojechać. System mapuje jednych i drugich i ustala możliwe opcje spotkania. Tylko w Atenach z pomocy Tutorpool korzysta ponad osiemset rodzin.

Jeszcze rok temu Dora również była ich wolontariuszką – uczyła dzieci francuskiego. Zrezygnowała, by móc razem z ludźmi z Radia Bubble zaangażować się w dwa nowe projekty. Pierwszy to film dokumentalny o ateńskich

prostytutkach zakażonych wirusem HIV. Grecki rząd cynicznie wysłużył się nimi podczas kampanii wyborczej w 2012 roku, podsycając atmosferę strachu i niebezpieczeństwa. Kobiety aresztowano; media pokazały ich twarze i ujawniły nazwiska. Bez przerwy mówiono o tysiącach porządnych greckich mężczyzn, którzy mogli paść ofiarą wyrachowanych Rosjanek, o tysiącach zagrożonych rodzin. Przez kilka tygodni trwał publiczny sąd nad kobietami. A władza punktowała, przekonując ludzi, że tylko siłą, determinacją i zdecydowaniem można zaradzić podobnym problemom.

W filmie *Ruiny*, który właśnie ukończono, swoją wersję prezentują prostytutki – wcześniej bodaj nikt nie pomyślał, żeby dać im głos (kilka miesięcy później na prośbę Dory opowiem o filmie w polskich mediach, z polskimi napisami będzie go można zobaczyć w internecie).

Drugi projekt to analiza rządowego planu prywatyzacyjnego. Jego realizacja miała przynieść kilkadziesiąt miliardów euro do dziurawego greckiego budżetu. Chodzi między innymi o sprzedaż portów morskich, lotnisk, wodociągów, zakładów gazowniczych, poczty czy telekomunikacji. Dora razem z grupą dziennikarzy sporządzili raport, w którym przypominają najgłośniejsze prywatyzacyjno-korupcyjne skandale z przeszłości i poddają w wątpliwość mantrę kolejnych rządów o krociowych zyskach czy tysiącach nowych miejsc pracy, jakie powstaną dzięki mitycznym zagranicznym inwestorom. Poza raportem są też dziesiątki godzin audycji o przypadkach podejrzanej prywatyzacji – w różnych językach; można ich odsłuchać na stronie radia.

– Najciekawsze jest zachowanie większości greckich mediów. Dopóki o jakiejś kłopotliwej sprawie nie zacznie się pisać za granicą, w Grecji panuje niemal kompletna cisza.

Dziennikarze dostają czerwone światło i zakaz zajmowania się tematem. Odpuszczają, bo nie chcą nadepnąć na odcisk któremuś z *davatzides*. Słyszałeś o nich, prawda?

Tym tematem Radio Bubble również się zajmuje. Bada powiązania między władzą a koncernami medialnymi.

– *Davatzides* trzęsą greckimi mediami prywatnymi. Kontrolują dziewięćdziesiąt dziewięć procent rynku. Ale poza tym są przecież potentatami w branżach takich jak budownictwo, energetyka czy budowa okrętów i zgarniają większość państwowych zleceń. W Rosji lub na Ukrainie nazywa się ich oligarchami, u nas to po prostu przedsiębiorcy. Mamy przez to najsłabsze media w Europie.

Do tego likwidacja jedynego publicznego nadawcy i sytuacja ze złej zamienia się w tragiczną. Dlatego Dora i całe Radio Bubble rzucają się do obrony ERT. Nieprzerwanie relacjonują rozwój wypadków, są na każdej demonstracji, podczas każdej debaty. Radiowy hashtag #rbnews szybko staje się jednym z najpopularniejszych na greckim Twitterze.

*

Dora zapala kolejnego papierosa i sugeruje, bym dopił kawę. Przeprasza, ale za chwilę znów musi biec do siedziby ERT.

– Masz dzieci?

– Nie mam. Nie chciałam. Kocham cudze dzieci, ale dla swoich nie byłabym chyba najlepszą matką. A już na pewno nie w tych czasach. Od przeszło dwóch lat nie mam płatnej pracy ani najmniejszych szans na nią. Nie zarabiam, żyję z oszczędności, które przywiozłam z Afryki. Za co bym miała utrzymać rodzinę?

– Mieszkasz z matką?

– Ona, emerytowana profesorka historii na parterze, ja na piętrze. Dzielimy kuchnię. Spędzamy ze sobą może dwadzieścia minut dziennie – tyle mam wolnego czasu.

– Były mąż?

– Bolesne rozstanie.

– Jesteś rewolucjonistką?

– Aktywistką! Wierzę w demokrację parlamentarną i w rządy prawa, w wolne media, w policję, która nie puka o poranku do drzwi niewygodnych dziennikarzy, by zaprosić ich na przesłuchanie. Nie chcę obalać systemu, chcę go naprawiać, bo od jakiegoś czasu wali się na moich oczach.

– Twoja przyszłość?

Dora milczy przez chwilę, myśli. – Bardzo bym chciała, żeby w żaden sposób nie zmuszono mnie do wyjazdu z Grecji.

# 30

– Sporo zależy od tego, czy kanclerz Merkel pali papierosy. Załóżmy, że pali. Melina wsiada w samolot i leci do Berlina. Umawiają się na kolację. Jedzą, piją, palą jednego za drugim. Bo moja siostra przez całe życie paliła jak smok. Zaczęła jako dziecko. Przy deserze Melina przechodzi do rzeczy: Angela, mój aniele, co ty najlepszego wyprawiasz? Musisz nam trochę odpuścić, daj odetchnąć. Skończ z tymi cięciami. *Stop it at once!*

– Posłuchałaby?

– Wątpię. Ale dla Meliny najważniejsze było samo działanie. Nie umiała siedzieć z założonymi rękami. Nie tymi drzwiami, to innymi. Szlag by ją trafił, gdyby nagle ożyła i zobaczyła, że Europą rządzą technokraci bez szacunku dla kultury i sztuki, którzy nie dbają o zwykłego człowieka, za to czczą jakieś niewidzialne rynki i truchleją przed agencjami ratingowymi. Dostałaby szału. O, proszę spojrzeć.

Spiros Mercouris pokazuje mi tekst swojego przemówienia, które za kilka dni wygłosi w Londynie. Tytuł: *Melina Mercouri – Europa – potęga kultury*.

Jest upalne, majowe popołudnie. Brat najsłynniejszej greckiej aktorki i polityczki ma osiemdziesiąt sześć lat, siwiuteńkie włosy wyglądające jak nastroszony puch młodego gołębia, skórę lekko przeświturującą. Jest przygłuchy, za to wszystkie zęby ma nadal własne. Siedzimy w jego gabinecie – w pokoju, który kiedyś należał do Meliny, w domu, w którym się urodziła.

Spiros jest w tych dniach bardzo zajęty. Po pierwsze Londyn, po drugie Pekin – bo rok temu rzucił pomysł grecko-chińskiego forum kulturalnego. Chińczycy się zapalili i teraz trzeba wszystko przygotować (idea jest taka, żeby wielkie Chiny ze swoją olbrzymią cywilizacją spotkały się z kolosalną cywilizacją malutkiej Grecji). Po trzecie dostał zaproszenie na jakąś ważną konferencję kulturalną w USA. Kiedy zadzwoniłem z prośbą o spotkanie, zapytał, czy wiem, kim jest, co robi, że zorganizował w życiu ponad siedemdziesiąt wystaw, jak dużo osiągnął. Zrobiło mi się potwornie wstyd, bo nie miałem pojęcia, a przez ten jego słaby słuch musiałem się wydzierać do słuchawki i powtarzać, że bardzo mi przykro, że nie wiem, że chcę porozmawiać o jego siostrze.

– Tylko o Melinę będzie mnie pan pytał? No cóż, dobrze. Rozumiem. Proszę przyjść jutro o szesnastej. Ulica Tsakalof 16.

Kiedy spotkamy się po raz drugi, miesiąc później, pochwali mi się, że jego mowa w Londynie okazała się wielkim sukcesem, że dostał owację na stojąco. I powie mi wtedy, że nie jest zazdrosny o Melinę. Żebym go źle nie zrozumiał. Muszę wiedzieć, że owszem – byli rodzeństwem, ale też najlepszymi przyjaciółmi, i to przez całe życie. Melina miała mu kiedyś powiedzieć, że są razem nie tylko przez urodzenie, ale dlatego, że się nawzajem wybrali. Że są w zasadzie jedną duszą podzieloną na dwie.

Ale żebym koniecznie zaznaczył, że od pewnego momentu to on stał za wszystkim, co robiła Melina. To on logistycznie przygotowywał produkcję jej filmów, pomagał jej w walce z juntą czarnych pułkowników i często doradzał, gdy została ministrem kultury. A teraz zasiada w radzie fundacji jej imienia.

Mercouris kończy monolog o Merkel i pokazuje mi treść londyńskiego przemówienia. Strona siódma.

*Pierwszą rzeczą, którą zrobiła moja siostra po tym, jak została powołana na stanowisko ministra kultury w 1981 roku, była organizacja spotkania z ministrami odpowiedzialnymi za ten sam resort w innych państwach unijnych – co w tamtych czasach zdarzało się niezwykle rzadko, bo europejscy politycy, zajęci handlem i gospodarką, nie zaprzątali sobie głowy kulturą. Zebrała ich w jednym miejscu i zapytała: czy jest możliwe, żeby społeczeństwa się rozwijały, jeśli pozbawimy je ich kulturowych podstaw? Nasza rola i stopień odpowiedzialności jako ministrów kultury są jasne. Kultura jest sednem społeczeństw. Musimy dbać o jej europejską różnorodność i wzmacniać dialog między poszczególnymi kulturami, bo to właśnie decyduje o naszej tożsamości. Nadszedł czas, żeby nasz głos był tak samo donośny jak nawoływania technokratów. Kultura, sztuka i kreatywność są tak samo ważne jak rozwój technologii, jak handel i ekonomia.*

Co z tego wynikło? Europejskie Stolice Kultury – wybiera się miasto, które przez dwanaście miesięcy prezentuje tysiącom zagranicznych gości swoją kulturę i historię. Koncerty, festiwale, odczyty, konferencje. Dużo dobrej energii i olbrzymia promocja.

Melina obmyśliła koncept razem ze Spirosem i kilkoma najbliższymi współpracownikami. Kiedy przedstawiła ideę ministrom, zgodzili się bez mrugnięcia okiem. Był rok 1985, kiedy cała akcja ruszyła, a pierwszą Europejską Stolicą Kultury zostały Ateny.

– Bardzo jej zależało, żeby ludzie zjeżdżali się i rozmawiali, dzielili doświadczeniami i pomysłami: widzowie, profesorowie, intelektualiści, politycy – mówi Spiros. – To miało być narzędzie do wykuwania nowych idei w politycznie zjednoczonej Europie. Ale dzisiaj widzimy, że kultura przegrała z gospodarką, z tym żarłocznym kapitalizmem, z neoliberalizmem, z Miltonem Friedmanem i jego wyznawcami. Stąd wziął się kryzys i stąd te nieracjonalne sposoby na walkę z nim. Te wszystkie idiotyczne cięcia i oszczędności ponad miarę. Dlatego właśnie Melina by się wściekła. Nie zniosłaby widoku Grecji w tak potężnym kryzysie. Coś by wymyśliła. Na pewno nie siedziałaby cicho jak inni politycy i nie czekała na cud.

Melina zmarła w 1994 roku. W klinice w Nowym Jorku. Miała raka płuc, z którym długo i dzielnie walczyła. Jej ciało przewieziono do Aten. Grecja nie widziała wcześniej takiego pogrzebu. Setki tysięcy osób szły w żałobnej procesji i obrzucały trumnę płatkami róż. Zamknięto szkoły, sklepy i urzędy. Nagłówki gazet żegnały „ostatnią grecką boginię", „światło Grecji", „symbol wolności".

„Melina oblekała się w piękno, życie i wolność tak, jak inni ubierają się w zwykłą koszulę" – mówiła jej przyjaciółka i pisarka Lili Zografou.

Premier ogłosił czterodniową żałobę narodową.

*

Pierwszym właścicielem ateńskiego domu przy Tsakalof 16 w ekskluzywnej dzielnicy Kolonaki był Wielki Spiro – dziadek Meliny i jej brata. Dom nie miał ogrodu, wychodziło się wprost na ulicę. Tak samo jak dziś.

Wielki Spiro był pedantem, który nigdy nie spał dwa razy w tej samej pościeli i który szorował ręce co najmniej dwadzieścia razy na dobę. Był wysoki i przystojny, nosił cylinder i równo przystrzyżoną siwą brodę. Pachniał wodą różaną i bazylią. Piastował urząd mera Aten w sumie przez dwadzieścia cztery lata.

Był początek XX wieku. Grecka stolica liczyła wtedy jakieś sto trzydzieści tysięcy mieszkańców i bardzo szybko się rozwijała. Za rządów Wielkiego Spiro pociągnięto linię tramwajową do Pireusu, wybudowano dziesiątki kilometrów chodników, zainstalowano elektryczność i postawiono miejskie latarnie. Jego urzędnicy posadzili drzewa na malowniczych wzgórzach Likavitos i Filopappou – które dziś są piękne i ogromne, a latem zapewniają drogocenny cień.

Kiedy Mercouris odchodził z urzędu w 1932 roku, w Atenach mieszkało już prawie czterysta tysięcy osób (sto pięćdziesiąt tysięcy stanowili *prosfyges* z Azji Mniejszej). Miasto nie było na to gotowe. Rozpoczęła się chaotyczna rozbudowa przedmieść, domy powstawały w ciągu kilku dni – bez pozwoleń, planów i wizji. Centrum zostało otoczone przez nowe biedaprzedmieścia.

(Ateny przeżyją podobny szok po zakończeniu wojny domowej – w czasie rekordowych migracji ludzi ze zniszczonych wiosek. Znów nie będzie gdzie mieszkać i znów zakwitnie nielegalne budownictwo. Prawdziwą plagą stanie się dobudowywanie drugich i trzecich pięter do parterowych dotychczas budynków. Ludzie będą sprzedawać własne domy, a w ich miejsca deweloperzy zaczną stawiać bloki [*polikatoikije*]. Właściciele gruntu i zburzonej nieruchomości dostaną w zamian drobną sumkę i dwa albo trzy mieszkania na własność).

Ludzie znali i uwielbiali Wielkiego Spiro – drzwi do jego gabinetu zawsze stały otwarte, a w przedpokoju ustawiała się kolejka mieszkańców, którzy przychodzili załatwić swoje sprawy. Często chodziło o trzymanie dziecka do chrztu. Wielki Spiro nigdy nie odmawiał – był ojcem chrzestnym kilkuset małych ateńczyków.

Mer Mercouris każdego petenta witał tak samo, pięknym greckim pozdrowieniem, nieważne – szewc, biznesmen czy żebrak: *geia sou, matia mou* – witajcie, kochani. Choć był przecież poważnym politykiem, z którym wszyscy musieli się liczyć.

Wielki Spiro miał fioła na punkcie małej wnuczki, urodzonej w 1920 roku, a ona na punkcie swojego dziadka. Bronił jej nawet wtedy, gdy wyszło na jaw, że rozpieszczona pięciolatka regularnie co niedzielę pluła do wszystkich miseczek z cynamonowym budyniem, które stygły na kredensie w jadalni.

– Zobaczysz, wygadam dziadkowi – szantażowała matkę mała Melina, gdy ta traciła cierpliwość i prostowała rękę do wymierzenia psotnej córce klapsa. Najczęściej ponoć działało.

Wielki Spiro zabierał Melinę do swego powozu, którym w czasie karnawału przemierzał Ateny. Ludzie pozdrawiali go i ściskali jego dłonie, a przyszła aktorka rozdawała niewinne ukłony i szerokie, szczerbate uśmiechy.

Wielki Spiro miał jednak także inną słabość. Jego żona Amalia przywykła do częstych zdrad męża, ale nie wybaczyła mu, gdy na dobre stracił głowę dla filigranowej rumuńskiej aktorki – Nany. Okazjonalny seks to jedno, zakochanie się – to zupełnie inna historia. Melina czuła się równie zdradzona jak jej babcia.

*Zdrady małżeńskie nie były i nie są w Grecji powodem do wstydu. Wręcz przeciwnie. Moja mama i babcia czasami urządzały z tego powodu kłótnie, ale ich pretensje miały czysto symboliczny charakter. Tymczasem gdyby któraś z nich śmiała odważniej spojrzeć na innego mężczyznę, musiałaby się liczyć się z uduszeniem i/lub wypędzeniem z domu. […] Już jako dziecko nie mogłam się zgodzić na te podwójne standardy. W Atenach było zbyt dużo d'Artagnanów, a zbyt mało kobiet podobnych do Milady. Postanowiłam być carycą Katarzyną albo Lady Hamilton. Nie zamierzałam powtarzać losów mojej babci ani matki*[9].

Uradzono, że mała Melina przestanie się odzywać do dziadka. Może z nim jadać kolacje, tak jak dotychczas, ale nie zamieni z nim ani słowa. Milczenie i obojętność z jej strony miały przywrócić Wielkiego Spiro na łono rodziny i skłonić do porzucenia „rumuńskiej dziwki". Ale dziadek szybko przejrzał intrygę i również zastosował taktykę milczenia. Wytrzymali zaledwie kilka dni i odtrąbili zawieszenie broni. Spiro jednak jeszcze długo nie zrezygnował z Nany.

*

Melina ma dziesięć lat i spędza wakacje na rodzinnej wyspie Spetses. Pewnego wieczora przychodzi do kawiarni, w której gra orkiestra i śpiewa się popularne piosenki.

*Założyłam jedną z ładniejszych sukienek matki i zakradłam się do zakazanej knajpy. Tańczyłam. Tańczyłam dla ludzi. Ktoś się oburzył i po paru minutach wezwał synową Wielkiego*

*Spiro. Matka przybiegła na miejsce i wymierzyła mi siarczysty, iście królewski policzek. Nie przejęłam się tym za bardzo, klapsy i policzki były wtedy normą, kto by o nich pamiętał. Najważniejsze było to, co stało się ze mną, gdy ludzie mnie oklaskiwali, gdy zrozumiałam, że wywołuję u nich uśmiech zadowolenia i chwilową radość. W tej małej kawiarni na zawsze poślubiłam teatr. Nic innego nie miało znaczenia. Od tamtej chwili jedyne, czego pragnęłam, to zadowalać ludzi i delektować się ich aplauzem*[10].

Melina ledwo zdaje z klasy do klasy. Jest najgorszą uczennicą i ciągle zmienia szkoły. Jeden z ważniejszych egzaminów zdaje tylko dzięki ochroniarzom dziadka. Mimis i Kostas – dwa olbrzymy – pojawili się za przeszklonymi drzwiami sali egzaminacyjnej i sterroryzowali nauczyciela.

Notorycznie urywa się z lekcji i biega oglądać pięknego Jorgosa – sławnego aktora – w jednym z ateńskich teatrów. Już wtedy nosi krótkie spódnice, maluje usta i rzęsy, a młodszy brat Spiros toczy uliczne walki w obronie jej czci.

Ateny huczą od plotek o romansie nieletniej wnuczki Wielkiego Spiro z przystojnym aktorem o reputacji podłego łajdaka. Melina zarzeka się, że Jorgos nawet jej nie dotknął, że gdy się spotykają, recytuje jej wiersze francuskich poetów. Akurat – orzeka rodzina i zamierza wysłać małą latawicę do lekarza, który zbada jej cnotę. Czternastolatka rzuca się pod koła „pędzącego" automobilu. Na szczęście kierowca zdąży zahamować. Po próbie samobójczej zostają Melinie jedynie kolorowe siniaki i wysoka gorączka, która zatrzymuje ją w łóżku przez czterdzieści dni.

Na egzaminie wstępnym do szkoły teatralnej Melina recytuje fragment wiersza współczesnego greckiego poety Kostasa

Kariotakisa. Nieźle jej idzie, ale jest przekonana, że to przemarsz od biurka do drzwi sali egzaminacyjnej zapewni jej sukces. Jest wysoka, ma długie nogi, buty na obcasach i obcisłą sukienkę do kolan. Skończywszy recytację, kłania się profesorom, odwraca do nich tyłem i rusza – z podniesioną głową, wolno, elegancko, delikatnie kołysząc biodrami. Trzy dni później przychodzi telegram: „Gratulujemy, została Pani przyjęta".

Matka nie chce nawet słyszeć o aktorskich fanaberiach córki – jest przeciwna, podobnie jak reszta rodziny. Melina stawia jednak na swoim. Ma szesnaście lat i potajemnie wychodzi za mąż za jednego z najbogatszych ludzi w Grecji (wcześniej rozbija jego pierwsze małżeństwo). Może robić, co chce, a ochotę ma głównie na teatr. Ślub odbywa się w małym kościółku w Kalamacie na Peloponezie. Pan młody nie ma na sobie nawet marynarki, a Melina składa przysięgę w przyciasnym płaszczu przeciwdeszczowym. Oprócz popa obecne są jeszcze tylko jego dwie córki – świadkowe. Małżeństwo przetrwa kilkanaście lat, ale Panagis Characopos z męża szybko przemienia się w najlepszego przyjaciela i powiernika, bez problemu akceptującego kolejnych kochanków swojej żony, a jego luksusowy dom staje się „wesołym i głośnym kibucem", wiecznie pełnym studentów i młodych aktorów.

Melinie marzy się kariera w bulwarowych komedyjkach i rewiach, ale nauczyciele obsadzają ją w rolach tragicznych heroin: Elektry, Medei czy Antygony. Jest świetna zarówno jako bohaterka komiczna, jak i tragiczna.

Debiut na scenie. Listopad 1944 roku – miesiąc po zakończeniu okupacji. Bohaterka Meliny nazywa się Irini

(pokój). Jej ojciec okazał się zdrajcą w czasie wojny. Irini razem z partyzantami zgadza się zabić ojca dla dobra sprawy.

*Publiczność mnie zlinczowała. Znienawidzili mnie od samego początku, gdy tylko kurtyna poszła w górę. Czułam to wyraźnie i nie wiedziałam, co robić. Grałam słabo, choć rozumiałam, że im nie chodzi o moją grę, ale o mnie samą. Zbyt dobrze wyglądałam, nie wychudłam podczas okupacji, mój mąż był znanym bogaczem, a kochanek ważną figurą świata przestępczego. Anna [przyjaciółka aktorki], która siedziała na widowni, słyszała te i inne uwagi. Krytycy nie zostawili na mnie suchej nitki: za wysoka, za młoda, ma zbyt jasne włosy, gra pokracznie, nie ma talentu. Jest wiele lepszych młodych aktorek, które muszą zarabiać na swoje utrzymanie. Dlaczego miss Mercouri nie odstąpi im miejsca i nie zostanie w domu? Mimo to sala była pełna każdego wieczora. Ludzie przychodzili, żeby okazać swoją nienawiść. Nie przebaczyli mi, że nie zdechłam z głodu w czasie wojny. […] Nie udało im się mnie złamać. Po pierwsze dlatego, że wiedziałam, że jestem dobra i że scena należy do mnie. Po drugie dlatego, że moja nienawiść do widzów była tak samo wielka, jak ich wobec mnie. To nie byli partyzanci z gór, którzy mogliby mieć prawo do krytykowania lub osądzania mnie. Większość z nich to była ateńska burżuazja, która wojnę spędziła bez wychylania się. Tani moraliści*[11].

Melina nie poddaje się, gra w kolejnych spektaklach. Gra coraz lepiej. Dostaje angaż na cały sezon i główną rolę w przedstawieniu *Żałoba przystoi Elektrze*. Do współpracy zaprasza ją nowy dyrektor Teatru Narodowego – a to oznacza trzy rzeczy: uznanie, ciężką pracę i spełnienie marzeń.

Wkrótce potem widownia i krytycy oszaleją na punkcie Meliny, która po mistrzowsku zagra Blanche Dubois w *Tramwaju zwanym pożądaniem* Tennessee Williamsa. To były narodziny gwiazdy.

Blanche ścina swoje gęste blond włosy na krótko. Jest wysoką, szczupłą chłopczycą o kocich ruchach, wielkich zielonych zalotnych oczach, uwydatnionych przez nadzwyczaj długą linię bujnych brwi. Jej wielkie zęby sprawiają wrażenie, jakby nie mieściły się w buzi, jakby ich zakrycie wymagało od górnej wargi dodatkowego wysiłku. Szerokie usta. Uśmiech od ucha do ucha.

Szwajcarscy dentyści robią, co mogą, by wyprostować Melinie zęby i poprawić koński zgryz. Odnoszą połowiczny sukces – górna szczęka nadal pozostaje nieco wysunięta, ale zęby, choć ciągle sporych rozmiarów, są równe, proste i mocne.

Do tego ten śmiech – głośny, zaraźliwy, zachrypnięty, jakby z oddali, ze studni, demoniczny.

Taką Meliną w roku 1955 zachwyca się Europa. Specjalnie dla niej powstaje *Stella* – film o pięknej, uwodzicielskiej kobiecie, która gardzi małżeństwem. Stella śpiewa i tańczy w obskurnej ateńskiej tawernie. Nosi obcisłe sukienki z wielkim dekoltem i kolorowe klipsy. Wdaje się w namiętne romanse, rozkochuje w sobie mężczyzn, ale dla żadnego z nich nie zamierza zrezygnować ze swojej wolności. Obrazoburczyni, skandalistka i feministka, której nienawidzą inne kobiety.

Michalis Cacoyannis (ten sam, który dziesięć lat później nakręci słynnego *Greka Zorbę* z Anthonym Quinnem) nikogo innego nie wyobrażał sobie w tej roli, choć dla trzydziestopięcioletniej Meliny to filmowy debiut. Były

wątpliwości co do tego, jak zachowa się przed kamerą i jak kamera pokaże te jej zęby.

Sukces. Melina jedzie do Cannes. Jest nominowana w kategorii „najlepsza aktorka". Tam poznaje amerykańskiego reżysera Jules'a Dassina. Siedzą obok siebie podczas ogłaszania werdyktu. Dassin zwycięża w swojej kategorii, a jury – ku zaskoczeniu wszystkich – wyjątkowo postanawia nie nagradzać żadnej aktorki.

Dassin: Nie przejmuj się, te nagrody są nic niewarte.

Płacząca Melina: I kto to mówi? Dostałeś swoją? *So shut up!*

Melina i Dassin, już jako para (będą nierozłączni aż do jej śmierci), wracają do Cannes pięć lat później. Ze swoim kolejnym filmem, *Nigdy w niedzielę*. Ona – Ilia – jest wesołą prostytutką z Pireusu, piękną, wolną i szaloną. Uwielbia starożytne tragedie, ale zawsze wymyśla do nich szczęśliwe zakończenia (na przykład: Medea wcale nie zabija swoich dzieci, tylko tak udaje – chowa je, żeby odzyskać męża). Ilia ma na pieńku z miejscowym alfonsem, bo nie chce zamieszkać w jego burdelu, ale na ratunek zawsze przychodzą jej wierni mężczyźni, ciężko pracujący stoczniowcy. W mieście zjawia się Amerykanin Homer, grany przez Dassina. Filhellen, który boi się odważniej stąpać po Akropolu, żeby nie zadeptać śladów Arystotelesa. Ilia go fascynuje. Przez edukację chce z niej zrobić porządną kobietę. Pigmalion i Galatea…

Melina tym razem zwycięża w Cannes, a komedia staje się prawdziwym hitem także za oceanem – gdzie zgarnia pięć nominacji do Oscara i jedną nagrodę – za piosenkę, której słowa do dziś zna cała Grecja – *Dzieci Pireusu*. Statuetkę za najlepszą rolę kobiecą sprzątnęła Melinie sprzed nosa Elizabeth Taylor.

Ameryka szaleje na punkcie Meliny, choć w modzie są aktorki o zupełnie innym typie urody. Gazety nazywają ją lwicą, pięknym potworem, miłosną twarzą Grecji, światłem Attyki, piszą, że jej oczy, włosy i głos biorą widza w posiadanie, że każdy kraj powinien mieć swoją Melinę Mercouri. Niektórzy mówią, że jest druga na świecie po Grecie Garbo – po tej samej Grecie Garbo, która pewnego wieczora przypłynęła z przyjaciółmi na wyspę Spetses. Melina i Dassin spędzali tam ostatnie wakacje przed wyjazdem do Nowego Jorku. Było lato 1966 roku.

*Kochałam ją przez całe życie. Jest doskonałą pięknością, doskonałą artystką, najlepszą aktorką na świecie. Potrafię zrozumieć fizyczną miłość do kobiety (przecież Safona była Greczynką), docenić jej piękno, ale sama nigdy jej nie odczuwałam. Garbo była jedynym wyjątkiem. Jednocześnie rozumiem, że ona jedna wymykała się tradycyjnym podziałom na płcie, że to zupełnie normalne, by budziła pożądanie zarówno w kobiecie, mężczyźnie, jak i w dziecku. […] Następnej nocy wyprawiliśmy dla niej przyjęcie w naszej lokalnej tawernie. Buzuki nigdy nie brzmiały piękniej. […] Wszyscy mieli kefi, wszyscy zatracali się w zabawie. Całą podłogę pokrywało potłuczone szkło. Okoliczni rybacy tańczyli dla Garbo, która była zachwycona. Poprosiła, bym i ja dla niej zatańczyła. Tańczyłam boso, ale nie zważałam na kawałki talerzy. Nie pociekła mi ani kropelka krwi. Moment kulminacyjny przyszedł, gdy Garbo sama rzuciła na podłogę pierwszy talerz. Wszyscy poszli w jej ślady i ze stołów zniknęły szklanki i wszelkie szkło. […] Zanim wróciła na statek, śpiewaliśmy jej greckie piosenki. Płakała, gdy nuciłam*

*Kaimos Mikisa Theodorakisa. Jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze, tak żeby mogła słyszeć mój głos, gdy odpływała*[12].

Dassin przerabia *Nigdy w niedzielę* na musical. Producenci na Broadwayu namawiali go do tego od lat. Ale adaptacja okazuje się słaba – przynajmniej tak piszą o niej nowojorscy krytycy – reżyser filmowy nie podołał wymogom sceny. Jednak zarówno oni, jak i publiczność znów zachwycają się boską Meliną – tą żywą inkarnacją wspaniałej i nieokiełznanej Grecji. Gra osiem przedstawień tygodniowo. Tłumy walą na wszystkie trzysta dwadzieścia występów. Melina jest gwiazdą i jest szczęśliwa. Aż jednej nocy okazuje się, że grupa pułkowników dokonała w Grecji zamachu stanu.

*

Rankiem 21 kwietnia 1967 roku na ulice Aten nie wyjechały autobusy, które dowoziły dzieci do szkół. Ani żadne samochody. Panowała dziwna cisza, której to kilkumilionowe miasto nigdy wcześniej nie słyszało. Później pojawił się nowy dźwięk: warkot czołgów ściągających z przedmieść – i zaczęły się rozlegać krzyki przerażonych żon, gdy ich mężów aresztowano, lub przerażonych mężów, gdy ich żony zakuwano w kajdanki. W ciągu kilku godzin do więzień trafiło dziesięć tysięcy osób: komuniści, socjaliści, związkowcy, przywódcy organizacji młodzieżowych, profesorowie, dziennikarze, prawnicy, aktorzy. Co więcej – zamknięto również część posłów i ministrów, którzy należeli do partii rządzącej. Ba! – za kratki trafił także prawicowy premier Panagiotis Kannelopoulos. Gdzie w tym wszystkim sens, gdzie jakaś logika?

Przecież wojskowi obawiali się lewicy, nie prawicy. Zapowiadało się, że majowe wybory wygra liberalna Unia Centrum z leciwym Jorgosem Papandreou na czele. Oficerowie wymyślili sobie, że nowy-stary premier zapewne najpierw przeprowadzi czystki w zbuntowanej armii, by później przejść na emeryturę i oddać rządy w ręce niepokornego syna Andreasa. A ten lewak – wiadomo – wprowadzi na salony komunistów.

Był środek nocy, gdy przed dom Andreasa Papandreou zajechali żołnierze. Ze dwudziestu. Dwie milicyjne suki eskortował czołg.

Andreas w samych bokserkach przebiegł przez pokój swoich synów na poddaszu i przez okno wspiął się na dach. Jego amerykańska żona Margareth krzyczała: „Męża nie ma, męża nie ma!". Chwilę później wojskowi wbiegli po schodach i wdarli się do pokoju chłopców. Nikos i Jorgos stali przerażeni. Gdy jeden z żołnierzy, wydzierając się, przystawił lufę pistoletu do głowy Jorgosa, Andreas wsunął się z powrotem do pokoju.

– Mamy cię, mamy! – skandował wyraźnie ucieszony oficer, a gdy się zreflektował, zasalutował znanemu politykowi. – Jest pan aresztowany.

(Zarówno Andreas, jak i jego syn Jorgos zostali wkrótce premierami Grecji).

Przez sześć dni nie było wiadomo, o co chodzi ani kto stoi za puczem. Cenzura szalała, więc media stały się bezużyteczne, a wszyscy liderzy opozycji zdążyli trafić do więzień. Nowi ministrowie i nowy premier (dotychczasowy prokurator generalny Sądu Najwyższego i jednocześnie bliski przyjaciel królowej Fryderyki) nie chcieli rozmawiać. Opierano się na plotkach i pogłoskach. Dopiero siódmego dnia pułkownik

Jorgos Papadopoulos zwołał konferencję prasową: – Grecja jest jak chory pacjent, który leży na stole operacyjnym. Zabieg jest dla niego jedyną szansą. Jeśli się nie powiedzie, pacjent umrze.

Jego głos jest skrzekliwy, głośny, nieprzyjemny. Niechętnie odpowiada na pytania zagranicznych dziennikarzy.

– Nie przejęliśmy władzy z pobudek osobistych ani dlatego, że obawialiśmy się, że w wyborach zwyciężą liberałowie. Musieliśmy działać, bo u bram mieliśmy rewolucję. Parlamentarną rewolucję.

Papadopoulos szybko kończy konferencję: – Uratowanie Grecji jest dla nas ważniejsze niż to, co inni będą o nas sądzić.

Do przeprowadzenia puczu nieznani szerzej pułkownicy wykorzystali natowski plan Prometeusz, który przygotowano na wypadek ewentualnego przewrotu komunistycznego (sic!).

Pierwsze decyzje: zawieszenie konstytucji i swobód obywatelskich, wprowadzenie stanu wyjątkowego, delegalizacja partii politycznych.

I kolejne, w drodze dekretu, pod którym podpisał się także król Konstantyn II. (Gdy mu przedłożono dokument, ponoć zadrżało mu pióro i chciał zgłosić wątpliwości; wtedy jego matka królowa Fryderyka wrzasnęła: *Shut up and sign!*). Nieprzestrzeganie godziny policyjnej grozi śmiercią, magazynowanie żywności jest traktowane jako sabotaż i podlega sądownictwu wojskowemu, wybieranie pieniędzy z banków jest zakazane.

Oraz: nie wolno urządzać publicznych zgromadzeń, korespondencja podlega cenzurze, policja i wojsko mogą przeszukać dowolne domy i urzędy oraz aresztować bez podawania powodu, czas zatrzymania jest nieograniczony.

Do więzień i miejsc odosobnienia na dalekich wyspach trafiają tysiące osób, niektórzy aresztowani nie przeżyją tortur. Żeby dostać się na studia lub załatwić najgłupszą sprawę w urzędzie, trzeba pokazać „certyfikat społecznej przyzwoitości", który jest jednocześnie wyrazem poparcia dla pułkowników i marionetkowego rządu. Niepokorni tracą pracę i klepią biedę.

Morskie fale co rusz wyrzucają na brzeg ciała „wrogów rewolucji". Nikoforos Mandilaras – prawnik Andreasa Papandreou – jest jedną z pierwszych śmiertelnych ofiar reżimu. Zostaje wyłowiony u wybrzeży Rodos.

Ale przecież junta nie przetrwa nawet miesiąca – powtarzają po cichu Grecy, gdy już upewnią się, że wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Przecież nie pozwolą jej na to Europa, ONZ, a już na pewno sprzeciwią się najgłośniejsi obrońcy demokracji – Amerykanie. Waszyngton nas uratuje. Na pewno ostro potępi zbrojne przejęcie władzy, ale co ważniejsze, na pewno przestanie handlować z dyktatorami. Wystarczy, że wstrzyma dostawy broni… Co? Nie wstrzymuje? Jak to? To niemożliwe! Te zdjęcia w gazetach na pewno są sfabrykowane: roześmiani pułkownicy podejmowani uroczystym lunchem na okręcie amerykańskiej Szóstej Floty w Pireusie? To niemożliwe! A jednak…

*

*Łańcuchy reżimu zaciskały się z każdym dniem. To była agonia – nie móc nic zrobić, być tak daleko. Prawdziwym piekłem do tego wszystkiego był przymus codziennego grania. Oto ja – wygłupiam się na scenie, w sztuce, która pokazuje Grecję jako kraj ludzi wolnych i radosnych. Śpiewam i tańczę, symbolizując*

*radość, podczas gdy moi rodacy są torturowani, sądzą ich wojskowe trybunały. Byłam wściekła, gdy okazało się, że grecka prasa, wyżarta przez cenzurę, drukuje moje zdjęcia z Broadwayu. „Nasza Melina odnosi sukces w Nowym Jorku". Mój sukces miał w jakimś sensie usprawiedliwiać reżim. […] Nasze noce były bezsenne. Powiedziałam Jules'owi, że muszę zacząć działać. Muszę zrobić coś, co ich zaboli, muszę ich potępić*[13].

Wywiad miał dotyczyć teatru. Dziennikarz zadawał nudne pytania o aktorskie techniki, o role, które wcześniej grała Melina, oraz o próby do tej, którą grała wówczas – frywolnej prostytutki Ilii, która idzie, z kim chce, za ile chce, ale nigdy w niedzielę.

– Czy lubi pani grać Ilię?

– Nienawidzę. Nienawidzę.

– Dlaczego?

– Bo to, co pokazuję, jest kłamstwem. W Grecji nie ma dzisiaj radości, to kraj skuty łańcuchami dyktatury.

– Czy pani właśnie skrytykowała pułkowników?

– *Yes! I did!*

Dziennikarz trafnie zwęszył duży temat. Zapytał, czy Melina powtórzy to samo do kamery. Tak? Świetnie, to on wróci za kilka godzin.

Nie było odwrotu, były za to strach i wątpliwości. Matka Meliny kilka godzin później miała samolot do Aten. Co, jeśli jej nie wpuszczą? Co, jeśli nie wypuszczą? Spiros mieszkał w Nowym Jorku, ale jego żona i dzieci – ciągle w Grecji. Czy komentarz Meliny może im zaszkodzić?

Melina powtarza do kamery to, co powiedziała już wcześniej do radiowego mikrofonu, i jeszcze więcej:

– Czy amerykańscy turyści powinni jechać tego lata na wakacje do Grecji?

– Owszem, jeśli nie przeszkadza im to, że niektóre z wysp, wokół których będą pływać, to dziś potężne więzienia, w których torturuje się więźniów politycznych. Owszem, niech jadą, jeśli chcą swoimi dolarami wspierać faszystowską dyktaturę.

I to mówi osoba, która przyciągnęła do Grecji więcej turystów niż śródziemnomorski klimat i jedzenie, którą kolejne rządy prosiły, by reklamowała Grecję podczas promocji swoich filmów, której krótka wizyta w Sztokholmie kilka miesięcy później ściągnęła na greckie plaże prawdziwy szwedzki potop.

Tej nocy telewizja NBC kilkakrotnie powtarzała materiał, w którym słynna aktorka krytykuje panujący w jej kraju reżim.

Kiedy Melina pojawiła się w teatrze, pozostali aktorzy zgotowali jej owację na stojąco i gratulowali odwagi. Przyszły setki telegramów – niektóre miłe i serdeczne, inne wredne, nienawistne:

„Ty suko, zamknij mordę albo my ci ją zamkniemy".

„Ty kurwo, ty komunistyczna kurwo! Pułkownicy zatrzymali pięćdziesiąt tysięcy komunistów, którzy chcieli nas zaatakować z Jugosławii i Bułgarii. Myślisz, że będą mieli jakikolwiek problem, żeby zatrzymać ciebie?".

Zaczęło się – zaproszenia do innych telewizji i stacji radiowych, prośby o wywiady, odczyty na uczelniach. Telefon nie przestawał dzwonić. Wygodny dom Meliny i Dassina – z widokiem na Central Park – zamienia się w centrum ruchu oporu, w przytulisko dla nowojorskich Greków pragnących walczyć z reżimem i dla gości z Grecji. Listonosz przynosi całe

worki listów z wyrazami poparcia. Ktoś inny dostarcza niewielką paczuszkę – bez znaczków i stempli. W środku jest kaseta magnetofonowa. Mikis Theodorakis daje znać, że żyje. Słynny kompozytor (autor muzyki do *Greka Zorby*) i bojownik ruchu oporu trafił do więzienia, ale nikt nie wiedział, gdzie ani w jakim jest stanie. Na kasetę nagrano dźwięk – rytm wystukiwany palcami i śpiew tego olbrzyma o wyglądzie sympatycznego niedźwiedzia. Pułkownicy nie tylko go aresztowali – zakazali również słuchania jego muzyki. Na cenzurowanym znaleźli się także Arystofanes, Sofokles i wielu, wielu innych. A oprócz nich: długie włosy, brody i krótkie spódnice. Ma być ład i porządek oraz obowiązkowa komunia i spowiedź dla wszystkich uczniów.

Później będą kolejne kasety od Mikisa – nie wiadomo, dzięki komu nagrane i wysłane z Grecji. Powstanie z tego cała kolekcja antyreżimowych pieśni, które Melina będzie śpiewać podczas wieców. Wśród nich znajdzie się też *Greckość* do wiersza Ritsosa.

Pułkownicy początkowo nie reagują. Owszem, z ich polecenia Melina zostaje wyrzucona ze związku greckich aktorów i ze związku greckich agencji turystycznych, ale to jeszcze da się przeżyć.

12 lipca dzwoni telefon. Dziennikarz prosi o komentarz.

– Ale w jakiej sprawie?

– To pani nie wie? Pułkownik Pattakos, minister spraw wewnętrznych, pozbawił panią greckiego obywatelstwa. Według niego jest pani wrogiem ludu i wyrządziła pani moralną i gospodarczą krzywdę Grecji. Oprócz obywatelstwa traci pani także pozostawiony w Grecji majątek.

– …

– Pani Mercouri, pułkownik Pattakos oświadczył, że nie jest już pani Greczynką. Chciałaby to pani jakoś skomentować?

– Urodziłam się Greczynką i umrę Greczynką. Pan Pattakos urodził się faszystą i jako faszysta umrze.

Junta strzela sobie w stopę, a Melina ponownie rozkwita. Wszystkie media znów cytują niepokorną Greczynkę. Fraza jest chwytliwa, razem ze zdjęciem aktorki szybko trafia na nagłówki gazet i plastikowe emblematy sprzedawane w nowojorskich sklepach, które ludzie przyczepiają sobie do koszul i klap marynarek.

Melina staje się ikoną ruchu oporu.

Samolot z Nowego Jorku do Waszyngtonu to zaledwie godzina. Spokojnie można polecieć na demonstrację, wygłosić mowę w parku obok Białego Domu (w tym samym czasie prezydent Lyndon Johnson będzie tam podejmował greckiego króla Konstantyna II) i wrócić na wieczorne przedstawienie.

Melina staje przed rzędem mikrofonów i mówi o tym, że Grecja nie potrzebuje więcej broni – potrzebuje wolności i że tylko amerykański prezydent może dostarczyć jedno albo drugie. Jego wybór.

– Pański wybór. Panie prezydencie Johnson, słyszy pan? Wyłącznie pański wybór.

*Z Waszyngtonu wróciłam z ciężkim sercem. […] Zaczęłam mieć straszne myśli, że może jednak junta przetrwa – choć jest tak potworna. Po jednej stronie byliśmy my: Grecy i ci wspaniali, popierający nas zwykli Amerykanie. Razem apelowaliśmy do prezydenta Stanów Zjednoczonych – i to nie w jakiejś błahej sprawie. Przecież chodzi o walkę z dyktaturą, z tyranią. A po drugiej stronie parku stał ten piękny, biały budynek – tak nieczuły na nasze nawoływania. Z jego ścian i z aroganckich*

*uśmiechów policjantów, którzy go chronili, emanowała życzliwa tolerancja – niech sobie tam demonstrują, niech się wykrzyczą. Za chwilę się przecież rozejdą, a my wrócimy do naszych obowiązków. […] Zrozumiałam, że nikt z zewnątrz nam nie pomoże, że tylko Grecy mogą pokonać tych drani. Ale jak niby mają to zrobić, skoro ich liderzy siedzą w więzieniach i są torturowani, skoro siatka szpiegów i kolaborantów błyskawicznie rozciąga się na cały kraj? Poza wszystkim – Grecy są już zmęczeni ponoszeniem ofiar, walką o ideały, które nie mogą się zrealizować. Rany spowodowane wojną domową ciągle się nie zabliźniły, pamięć jest zbyt świeża. Potworny pesymizm ogarnął setki tysięcy dawnych bojowników, tych samych, którzy kiedyś krzyczeli, że jeśli faszyzm ma zwyciężyć, to jego machina będzie musiała przetoczyć się po ich własnych ciałach*[14].

Do tego wszystkiego dochodzą ostrzegawcze głosy niektórych bliższych lub dalszych znajomych, wypowiadane niby to z troską – o artystach, którzy mieszając się do polityki, ryzykują własną karierę. Oni dobrze jej radzą – niech się lepiej dwa razy zastanowi, zanim znów wygłosi jakiś polityczny manifest. Melina odpowiada: *Bullshit*! I radzi im, żeby odświeżyli swoją znajomość historii oraz etymologii. W ten sposób – cholera jasna – zrozumieliby rolę artystów w walce o wolność i sprawiedliwość – artystów, którzy przecież też są ludźmi, stanowią integralną część *demos* – społeczności wolnych obywateli. A wiadomo, czym jest *demos* dla demokracji.

Na szczęście więcej jest tych, którzy podzielają zdanie Meliny. W Londynie, Paryżu i Wenecji dziesiątki artystów potępiają greckich dyktatorów i podpisują się pod petycjami

o uwolnienie Mikisa Theodorakisa. Żądają, by do Aten wpuszczono inspektorów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, którzy zbadają doniesienia o torturach. Poparcie przychodzi zewsząd: Jean-Paul Sartre, Pablo Picasso, Jean Luc Godard, Juliette Gréco, Yves Montand, Simone Signoret, Arthur Miller, John le Carré, Irene Papas, Vanessa Redgrave, Oriana Fallaci etc.

No i ten nowojorski taksówkarz:

*Od razu go pokochałam. Był tęgi i jednocześnie krzepki. Zatrzymał swoją taksówkę na środku ulicy. Powstał korek, inni kierowcy pieklili się i trąbili, ale on nic sobie z tego nie robił. Przebiegł na drugą stronę, chwycił mnie za rękę i powiedział: Give'em hell, Melina!*[15]

I nieważne, że policja podejrzewa próbę przeprowadzenia zamachu, że gdzieś ponoć kręci się zbir: szatyn z kręconymi włosami, średniego wzrostu, który wynajął mieszkanie blisko teatru. Że teoretycznie może pojawić się na każdym przedstawieniu, w jednej chwili wstać i wypalić z pistoletu, gdy Melina będzie akurat w środku swojego popisowego numeru – *Pireus, moja miłość*. Nieważne, że obstawa przez kilka kolejnych tygodni nie spuszcza oka z „greckiej modliszki". Najważniejsze, że za chwilę kończy się prawie roczny kontrakt w teatrze. Żegnajcie, Stany! Witaj, Europo! Witaj, polityko!

*

Logistykę bierze na siebie Spiros.

*Mój brat był Herkulesem. W niecałe sześć tygodni udaje mu się zorganizować tour po osiemnastu europejskich miastach. Zjeździł cały kontynent swoim małym samochodzikiem. Spotykał się z szefami partii politycznych, wynajmował teatry, a gdzie nie było teatrów, znajdował sale bankietowe. Gdzie nie dało się załatwić nawet tego, błagał rektorów uniwersytetów, by udostępnili nam swoje audytoria. Wynajmował pokoje hotelowe i targował się o ceny. Organizował konferencje prasowe i umawiał nas na spotkania z szefami rządów. […] Był jak Herkules, jak Tarzan"*[16].

Wiedeń, Genewa (próba zamachu), Oslo, Helsinki, Sztokholm (Melina przewodzi pierwszomajowej paradzie pod rękę z Olofem Palmem, przyszłym premierem), Düsseldorf, Monachium, Essen, Berlin (kontrmanifestacja pod hotelem: „Czerwona kurwo, jedź do Moskwy!", „Czerwona putana!", Melina śle im z balkonu całusy), Amsterdam, Haga, Bruksela, Paryż.

Londyn, 21 kwietnia 1968 roku. Wielkanoc. Najpierw zaproszenie do Izby Gmin, później lunch z dziekanem Oksfordu. Po południu Trafalgar Square. Protest przed grecką ambasadą. Melina ma na sobie obcisłą czerwoną sukienkę z długimi rękawami i golfem. Czarny szeroki pasek podkreśla jej talię. Jest szczupła, wysoka, ma długie i gęste złote włosy. Nie wygląda na swoje czterdzieści siedem lat. Jedynie głos ją postarza – silny, donośny, lekko zachrypnięty od papierosów. Stoi na niewielkiej scenie. Przed nią mikrofony, wokół kilkutysięczny tłum. Powiewają transparenty.

– Trzysta sześćdziesiąt pięć dni ciemności, strachu i tortur! Mija rok, od kiedy pułkownicy zainstalowali w Grecji juntę

i pogrzebali naszą demokrację i wolność. Mają czelność świętować tę rocznicę – ale to tylko pozory święta, bo z greckich domów wyparowała radość!

Na twarzy ma złość albo nawet wściekłość i jednocześnie skupienie. Marszczy czoło i mruży swoje wielkie, zielone oczy. Spokojnie czeka, a gdy ludzie skończą bić brawa, zaczyna krzyczeć:

– Przysięgam wam, Grecy się przygotowują i organizują do powstania. Oddadzą życie za to, co jest esencją ich duszy: za wolność!

Później przechodzi z angielskiego na grecki, przestaje czytać z kartek. Przybliża się do mikrofonów, patrzy w dal i cytuje słowa jednego z niepodległościowych hymnów – o dzwonach, których bicie zwiastuje rezurekcję. Słychać bębny i buzuki, a Melina zaczyna śpiewać do muzyki Theodorakisa, wyrzuca ręce w powietrze i wystukuje nogą rytm. Wygląda jakby była w transie, jak profetka, jak zaklinająca rzeczywistość czarownica o dobrym sercu.

Schodzi ze sceny i maszeruje w tłumie. „Niech żyje demokracja!" – skanduje, gdy kilku mężczyzn podnosi ją na rękach.

*

Autobiografia Meliny kończy się na 1971 roku, gdy junta trwa w najlepsze. Trzy lata przed studencką zawieruchą na Politechnice w Atenach, która bezpośrednio poprzedzi upadek pułkowników i przywrócenie demokracji.

Rok przed śmiercią jej matki (Melina dostanie pozwolenie na udział w pogrzebie, ale pod dwoma warunkami: że przyjedzie incognito i zaraz po ceremonii opuści Ateny).

Książka ukazuje się najpierw po niemiecku, później po angielsku, francusku i grecku. Jest dużym sukcesem. Siłą rzeczy nie ma w niej ani słowa o triumfalnym powrocie do Aten, o wielkiej przyjaźni z Andreasem Papandreou, o tym, że razem z nim zakładała socjalistyczną partię PASOK – ona, pochodząca z burżuazyjnej rodziny, w młodości zagorzała rojalistka. Ani o tym, że bez problemu dostała się do parlamentu, że została ministrem kultury i utrzymała się na tym stanowisku przez osiem lat.

Spiros Mercouris zmarł 24 sierpnia 2018 roku. Miał 93 lata. Gazety pisały: „Nie żyje brat Meliny”.

[9] M. Mercouri, tamże, s. 10.

[10] M. Mercouri, tamże, s. 22–23.

[11] M. Mercouri, tamże, s. 48.

[12] M. Mercouri, tamże, s. 148–149.

[13] M. Mercouri, tamże, s. 164.

[14] M. Mercouri, tamże, s. 187.

[15] M. Mercouri, tamże, s. 171.

[16] M. Mercouri, tamże, s. 199.

# 31

Na nadbagaż ciotki Kuli w drodze powrotnej z tygodniowej wyprawy do Chojnowa złożyło się sześć kilogramów kiełbasy, pięć butelek wódki, trzy słoiki ćwikły własnej roboty i dwa słoiczki chrzanu, pół makowcowej rolady, kawał sernika z rodzynkami, bochenek chleba, pięć pszennych bułek i cztery pączki. Na wszystko to potrzebowała dodatkowej walizki.

– Na co mi to wszystko, ta wódka, ta kiełbasa? Na co? Kiedy my tę wódkę wypijemy? Słodkiego też prawie nie jem. Jedynie co, to ten polski chleb, z chleba się cieszę, bo w Grecji takiego nie dostaniesz. Ale nie mogłam odmówić, jak dawali.

A i tak przyjęła nie więcej niż połowę prezentów. Reszty kategorycznie odmawiała, tłumaczyła, że nie będzie miała jak ze sobą zabrać.

Wieczorami wracała do niewielkiego domu Jasi, u której zatrzymały się razem z ciotką Sultaną, jak ze świątecznych zakupów w hipermarkecie – obwieszona ciężkimi torbami i wymęczona. – Znowu ci nadawali – pytała Jasia? – Jak ty to wszystko dowieziesz? Ci ludzie nie mają rozumu. Przyjechałaś tu wypocząć, a ganiasz jak szalona. Zwolnij trochę, kochana.

W nocy, podczas snu, ciotka Kula trawiła kotlety, surówki i ciasta, którymi częstowano ją w gościach, oraz wszystkie towarzyszące tym odwiedzinom emocje: radości, smutki, rozczarowania, miłe i niemiłe zaskoczenia, żale. Spała krótko i niespokojnie, nerwowo, kumulując przeżycia kończącego się dnia, upychając je jedne na drugich, dzisiejsze na wczorajszych i przedwczorajszych, bez selekcji, bez refleksji –

na refleksję przyjdzie czas po powrocie do Grecji. Byleby to wszystko pomieścić: historie, które działy się przez trzydzieści pięć lat, miejsca od tyluż lat niewidziane, odżywające znienacka wspomnienia…

Wychodziła z samego rana, gdy domownicy i ciotka Sultana jeszcze spali.

– Tak bez kawy, bez śniadania? – będą się później dopytywać.

– Ja nie przyjechałam tu pić kawę i jeść rogaliki. Stara jestem, spać długo nie mogę, bo mnie zaraz plecy bolą, a teraz jeszcze męczy ten półpasiec. Wstaję, ubieram się i idę. Czasu mało, a jeszcze tu muszę pójść, jeszcze tu, jeszcze tam. Wy młodzi jesteście, wam czasu na głupoty nie szkoda, a mi tak.

Ludzie otwierali jej drzwi swoich domów o ósmej rano, niezdziwieni ani jej widokiem, ani wczesną porą. Jakby na nią czekali. Podrywali się na dźwięk dzwonka i spieszyli się przywitać. Może też mieli problemy z kręgosłupem.

– Kula!!! Chodź, chodź. Aleś nam zrobiła niespodziankę! Ile to już lat?! Mówiła mi Hela, że przyjechałaś, a jej powiedziała Jadzia Olszak. Wszystkie na ciebie czekają. Chodź, chodź, zrobię jakichś kanapek albo może zjesz zupy mlecznej? Takiej, jaką się kiedyś jadało, co?

Pierwszego dnia po przyjeździe do Chojnowa ciotka Kula poszła na cmentarz. Chciała najpierw przywitać się z tymi, których już nie zobaczy. W rok po jej wyjeździe do Grecji umarł Heniek i Julek, dwa lata później, Józia, jakiś czas potem Basia i Stefan – co chwila ktoś. Są i stare groby, jeszcze z czasów, gdy mieszkała w Chojnowie: jej ojca (mojego dziadka), wujka, małej siostrzenicy. W kiosku przed cmentarzem kupiła cały karton zniczy i wędrowała z nim przez kilka godzin. Główne ścieżki przykrywał lód, a rzędy

grobów oddzielały nieprzebyte zaspy śniegu. Pomniki również przysypywała jego gruba warstwa. Gdzieniegdzie, spod otulającej wszystko bieli, wyłaniały się zmęczone płatki kolorowych, sztucznych kwiatów. Tu i tam tliły się zziębnięte znicze. Nie było łatwo odszukać znajomych sprzed lat. Nie wszystkie groby znalazła. Zostało jej kilka lampek.

Ciotka Kula miała w planach wrócić na cmentarz za kilka dni razem ze swoją dawną przyjaciółką Heleną w charakterze przewodniczki – niespodziewanie jednak się ociepliło, cmentarny lód zaczął topnieć i dla dwóch staruszek taka wyprawa byłaby niebezpieczna. Zostały więc u Heleny w mieszkaniu i przy jabłeczniku dyskutowały o tym, kto, jak i na co umierał: rak płuc, rak piersi, potrącony po pijaku przez samochód, marskość wątroby, udar, cukrzyca, znowu udar, rak nerki z przerzutami, zawał, zawał, zawał, zapalenie płuc.

– E, ten palił jak smok, odkąd pamiętam, to co się dziwić. A Hanka, mówisz, Alzheimer? Tacy byliśmy przecież zdrowi, tacy silni, młodzi. Człowiek tak ciężko pracował, że nawet nie pomyślał o chorowaniu. Nie było na to czasu. A teraz – czepiają się nas te choroby jak na złość. Pół mojego Chojnowa już wymarło. Ale co tam! Ja też mogę już umrzeć, już się nażyłam, moja Helciu. Zwłaszcza teraz, jak już was wszystkich zobaczyłam. Po tylu latach! Nawet ci powiem, że wolałabym tu leżeć, razem z wami. Ten czas w Chojnowie to moje najlepsze lata. Lepiej mi tu było niż w Grecji, dużo lepiej. Czasami już mi się trochę nudzi. Tobie też? No widzisz. Pora na nas.

W południe wyszło słońce i koleżanki postanowiły pójść na spacer. Najpierw nad staw chojnowski, w drodze na Jerzmanowice – jakież rozczarowanie! Kiedyś wydawał się wielki jak jezioro. Teraz została sadzawka – skurczył się przez

te wszystkie lata, zapełnił zielskiem i śmieciami, zestarzał. Przecież Marysia i Andrzej uczyli się w nim pływać, łowili w nim ryby. Był duży, czysty i głęboki. Choć jednocześnie dość straszny – już wtedy, mówiono, że tylu a tylu się w stawie utopiło lub że tylu a tylu utopiono.

W drodze powrotnej zaszły na bazarek. Kiedyś mówiło się rynek. Idę na rynek. Ciotka Kula pamięta, jak w każdą sobotę chodziła na rynek z małą Marysią. Po warzywa (głównie ziemniaki i cebulę), owoce (jabłka) i obowiązkowo po śmietanę. „A co ty się, dziecko, znasz?! Co mi tu będziesz mówić niedobra! Dobra śmietana, swojska, świeża. Pani kupi". Pani jednak dziękowała i z małą Marysią za rękę szły dalej. Marysia zanurzała palec w kolejnych słoikach – śmietana musiała być kwaśna, gęsta i słona. Wybierała najlepszą. Dopiero wtedy pani kupowała.

– Zobacz, Hela, pamiętasz? Tu mieszkali Placikiasowie, tam Sturisy, tam Zdrozisy, Janula z Kiriakosem dwie kamienice dalej.

Ciotka Kula codziennie dzwoniła do wujka Apostoła, który został w Larisie. Między kolejnymi odwiedzinami zachodziła na parking w centrum miasta i znikała pomiędzy plastikowymi ściankami budki telefonicznej. Zdawała relację – że zimno i dużo śniegu, że nowi ludzie w ich starym mieszkaniu na Komuny Paryskiej zrobili sobie łazienkę, że zburzyli jedną ścianę i teraz mają większy salon. Tych i tych widziała, pozdrawiają, ci i ci umarli. Wyremontowali stadion, zbudowali basen tam za rzeką, za to zlikwidowali szpital. Trzy nowe fabryki postawili, stare wszystkie zamknięte. Nie bardzo się Chojnów zmienił przez te wszystkie lata. Kolejowa jest dalej Kolejową, Tkacka dalej Tkacką, jedynie Karola Marksa teraz

nazywa się Witosa. Kościoły stoją, jak stały, szkoły mają te same numery, armata przed muzeum nietknięta.

– A co u ciebie, mężu? Jak się czujesz? Wziąłeś leki? Wszystko ci opowiem dokładniej, jak wrócę. Tak, tak, pozanosiłam ludziom twoje *ouzo*, twoje *tsipuro*, rozdałam wszystko, co przywiozłam: chałwę, oliwę, fetę, rodzynki.

# 32

Melina jest z Nowego Jorku. Tam się urodziła i tam niedawno skończyła studia filmowe. Nakręciła, jak dotąd, dwa krótkie dokumenty – jeden o parze gejów wychowujących dziecko i drugi o autystycznym chłopcu. Ma długie, ciemne włosy z grzywką na całe czoło i intensywnie brązowe oczy. Bardzo długie rzęsy, których prawie nigdy nie maluje. Jej imię po grecku znaczy „miód". Dostała je z powodu platonicznej miłości ojca do słynnej aktorki Meliny Mercouri.

– Z Ameryki. Ale jestem Greczynką – odpowiada zawsze tak samo na często zadawane pytanie o pochodzenie. Dziwią się wtedy kelnerzy, kioskarze, sprzedawcy, panie z banku w Joaninie, które wypłacają nam raty stypendium, urzędnicy, studenci, z którymi tłoczy się w autobusie. Jak to? Kraj pochodzenia jest jeden, tożsamość jest niepodzielna. Nie ma, że jest się stąd, ale jest się tym albo stamtąd, a jest się tą.

– Jak to? – dopytują, kręcąc głową na znak niezrozumienia. – Rodzice Grecy?

– Grecy.

– Oboje?

– Oboje.

– A, w porządku, czyli ty jesteś Greczynka.

– Greczynka, ale z Ameryki.

– E tam! Greczynka! Nieważne skąd.

Melina, tak jak i oni, wie swoje i już się nie sprzecza, nie wyjaśnia. Nawet cieszy się z tego szybkiego „unarodowienia".

Nie mówi jeszcze po grecku zbyt dobrze. Uczy się od niedawna i ma silny obcy akcent, ale bardzo się stara.

Po przyjeździe do Ameryki rodzice Meliny zdecydowali, że w domu będą rozmawiać wyłącznie po angielsku. Na znak i dowód, że zaczęli nowe życie. Postanowienia dotrzymali. Nawet kłócili się po angielsku.

Melina chce zbudować w Grecji ekologiczny dom – z gliny, słomy i piasku – a przy okazji nakręcić o tym dokument. Jej rodzina ma piękną działkę na obrzeżach Volos, na niewielkim wzgórzu, z którego roztacza się widok na pobliską plażę i morze. Krewni sfinansują budowę, jeśli Melinie uda się zdobyć wszystkie pozwolenia. Dom będzie niewielki i tani, za to z ogrodem – idealny na wakacyjne wypady dla przyjaciół i rodziny.

– Patrzą tu na mnie jak na wariatkę – żali się Melina. – Dla nich dom to jest dom, dach z czerwonych dachówek, kupa betonu i nikomu niepotrzebne cztery balkony. Nie rozumieją, co do nich mówię. Że tanio, że ekologicznie, że ekonomicznie, że to przyszłość budownictwa – nic. Jak grochem o ścianę. Urzędnicy albo naprawdę nie wiedzą, o co mi chodzi, albo czekają na łapówkę. Co z tego, że nikt przede mną tak w Grecji nie budował?

Melina ma rekomendację od ateńskiego architekta i pozytywną opinię lokalnego geodety, ale nadal nie może przekonać burmistrza. Postanowiła wynająć znanego adwokata z Volos, ale zakazała mu załatwiania czegokolwiek za pomocą *fakelaki.* Jak się dowie, że kogoś przekupił, poda go do sądu. Z tej całej urzędniczej batalii ma już dwie godziny nagrań wideo – głównie urzędników, którzy wzruszają ramionami, próbują zasłonić obiektyw kamery albo pospiesznie gaszą papierosy, żeby nie wyszło, że nielegalnie

palą w biurach. Jak tak dalej pójdzie, z filmu zrobi się dokumentalny serial.

Melina nosi śmieszne ubrania. Swetry, które wydziergała lata temu jej babcia, dziergane szaliki i czapki, czarne spódnicospodnie, ciemnofioletowe dresy z aksamitną tasiemką wokół pasa. Zupełnie inaczej niż Greczynki, które wszystko mają idealnie dopasowane, kolorystycznie dobrane, gdzie trzeba, opięte, gdzie nie – odstające. Tapirują te swoje długie, gęste, kręcone włosy i noszą bardzo mocny makijaż.

Melina ostatnie wakacje przed przyjazdem na stypendium do Joaniny spędziła na greckich wyspach. Pokazuje zdjęcia. Piękne, opalone plecy pływaczki, słońce, woda, góry na horyzoncie.

Melina stoi na palcach, nie widać jej twarzy, nie wiadomo, co myśli. Ale wydaje się, że za chwilę wbiegnie do morza, zanurzy się bez jednego plusku i długo nie wypłynie.

Na innym: zatoka, mała rybacka łódka. Za chwilę będzie burza.

Albo: duży drewniany stół, na nim dwanaście purpurowych, przejrzewających granatów. Na krześle obok śpi ubrana na czarno staruszka. Słońce opala jej pomarszczoną twarz.

Tego lata Melina jeździła z jednej wyspy na drugą. Spetses, Hydra, Paros, Andiparos, Naksos, Mykonos, Santorini, Delos, Skopelos, Sifnos, Syros, Korfu, Kreta, Samos, Kefalonia, Zakintos.

– Nie mam na to wszystko odpowiednich słów – mówi, biorąc głęboki wdech. – To trzeba poczuć. Gdy na wyspie jest burza, człowiek jest częścią tej burzy, przeżywa ją razem z wyspą, z naturą. Nawet na najmniejszej wyspie, którą można obejść w godzinę, ma się to uspokajające wrażenie, że jest się w osobnym świecie, w oddzielnym uniwersum, gdzieś między

innymi światami, między innymi planetami. I człowiek czuje się dzięki tej myśli bezpieczny.

Każdy z tych światów to osobna historia, odmienna kultura, trochę inne jedzenie, inny charakter. Grecja ma dwa tysiące takich małych, osobnych światów. Melina chce poznać je wszystkie.

Niedawno przyszła do mojego pokoju zapłakana. Biegła za samochodem, którego kierowca celowo potrącił bezdomnego psa – tu obok, na kampusie. Napluła na tylną szybę auta, powrzeszczała trochę po grecku i zawróciła, gdy samochód zniknął za zakrętem. Szukała i szukała, ale nie znalazła rannego psa, który jeszcze przed chwilą skomlał i szczekał zajadle. Na ulicy pozostała jedynie czerwona plama.

# 33

Ten stolik to ostatnia nadzieja Iliasa. Jeśli się nie sprzeda, trzeba będzie zamknąć sklep i warsztat na przedmieściach Aten. Wszystko inne już dawno przestało się sprzedawać – od początku kryzysu obroty spadły o siedemdziesiąt procent. Są miesiące, że Iliasowi brakuje na kredyty i pensje dla dwóch pracowników. Obaj są Albańczykami, to najlepsi tapicerzy, jakich zna. Pracują dla niego już piętnaście lat – w tym czasie bywało różnie, niekiedy naprawdę krucho, ale nigdy tak źle jak teraz. Choć bardzo nie chcą, być może będą musieli wrócić do Albanii.

Meri lubi zapach nowych mebli, wystawionych na parterze sklepu, ale jeszcze bardziej podobają jej się zapachy tapicerskich klejów i heblowanego drewna, które uderzają, gdy wąskimi schodami wejdzie się na piętro. Królestwo trocin i kurzu, który osiada na głośnych zazwyczaj maszynach, stołach kreślarskich, blatach, narzędziach, na osieroconych materacach. Za ścianą jest jeszcze magazyn, gdzie zalegają stare sofy, fotele, biurka – wszystko, czego ludzie nie kupili, czego przyszłością będą lifting lub recykling.

Gdy zaczęli być razem, kilka lat temu, Ilias często oprowadzał Meri między meblami na piętrze, chwalił się swoimi ulubionymi projektami, kazał siadać na najwygodniejszych obrotowych krzesłach. Często umawiali się wtedy ze znajomymi, wychodzili na jedzenie i wino do tawerny, do *tsipouradiko*, lub jeździli nad morze, do ich ulubionego Sounion, niedaleko Aten. Robili to, co wszyscy pozostali

średniozamożni Grecy – po równo pracowali i odpoczywali, lubili się wybawić, miło spędzić czas. Marysia opowiadała mu o Chojnowie, o szkole, o koleżankach, które coraz słabiej pamiętała, o Polsce – myśleli, żeby wybrać się tam na wakacje. Do Larisy, do ciotki Kuli i wujka Apostolisa pojechali służbowym vanem, do którego zapakowali dwa łóżka obite szarym materiałem – Ilias sam je wykonał jako prezent dla przyszłych teściów. Bardzo się spodobały.

Choć jest od Meri starszy co najmniej o dziesięć lat i już zupełnie siwy, Ilias nadal potrafi z zapałem pracować całymi dniami, jest silny, zdrowy, pełen energii i optymizmu. Wcześniej nie przejmował się kryzysem, uważał, że media i politycy przesadzają. Nie może być aż tak tragicznie, jak wszyscy mówią. Ludzie zawsze będą potrzebować mebli – muszą na czymś spać, przy czymś jeść. Nawet jeśli nie stać ich na własne mieszkanie i muszą gnieździć się z rodzicami w ciasnocie – tym bardziej przydadzą im się rozkładane wersalki i fotele, łóżka ze skrzyniami na pościel i ubrania, sprytne stoliki.

Niedawno jednak Ilias zmienił zdanie – może ludzie, tak jak rodzice Meri, zaczną nareszcie szanować stare graty, żeby wytrzymały jak najdłużej. Będą je sklejać, reperować, obijać – zawsze to taniej niż kupić nowe. „Może wszyscy powinniśmy się tego nauczyć, wszyscy Grecy? – pytał się w myślach. – Wyszłoby nam na zdrowie. Ale co będzie ze sklepem? Co z kredytami, co z dostawcami materiałów, którzy czekają na pieniądze? Co z pracownikami? Co z nim, jeśli zamknie interes?”.

Ilias podupadł, postarzał się, zmarkotniał. Bywa opryskliwy, nie ma apetytu, wieczorami gapi się w telewizor i unika rozmów. Coraz częściej kłócą się z Meri, choć gdy odwiedzam

ich w sklepie w czerwcowe popołudnie, oboje zachowują pozory, silą się na dobry humor i witają mnie serdecznie. Zamawiają jedzenie w pobliskiej restauracji: grecka sałatka, pieczone mięso, ziemniaki. Po obiedzie Marysia proponuje, żebyśmy napili się kawy przy tym nowym stoliku, podczas gdy Ilias zajmuje się pierwszym tego dnia klientem.

– Godzinami nad nim siedzi. Sam go wymyślił, sam go zbudował, chce go jak najszybciej skończyć i pojechać z nim na targi. Do Stambułu. – Meri nagle ścisza głos i szepcze po polsku: – Liczy na cud, że zbawią go Turcy.

Czterysta osiemdziesiąt pięć euro. Sporo, ale to nie jest zwykły stolik. Jak się podniesie blat, całość zamienia się w biurko, a jak dodatkowo rozłoży na boki skrzydła, przy obiedzie zmieści się spora rodzina. Trzy w jednym, a w dodatku zajmuje naprawdę niewiele miejsca i jest zgrabny. Kolor do wyboru.

W sklepie bez przerwy gra radio, lecą informacje: o rekordowym bezrobociu, o rekordowej biedzie, o możliwym bankructwie, o tym, że przybywa bezdomnych, że rośnie spożycie antydepresantów, że emeryci nie mają na leki, że w centrum Aten kolejna demonstracja, kolejny strajk, że młodzi ludzie masowo wyjeżdżają za pracą albo opuszczają duże miasta i wracają do domów swoich rodziców.

– Ja już zrozumiałam, że to koniec – mówi Marysia. – Żaden stolik tego nie zmieni. Koniec naszego sklepu i koniec – jak to powiedzieć *sta polonezika* – stylu życia? Koniec stylu życia, do którego przywykliśmy tu w Grecji przez ostatnich trzydzieści lat. Koniec z jedzeniem w tawernach i z wakacjami na wyspach. Koniec, *telos*. Ale wolę o tym nie myśleć. Przestałam oglądać wiadomości i nie ganiam już na protesty. Po pracy wsiadam na skuter i jadę nad morze popływać.

Klient, któremu Ilias pokazywał swoje meblowe wynalazki, niczego w końcu nie kupuje i wychodzi. Choć stolik mu się podobał. Stał przy nim chwilę i nawet poprosił, żeby go rozłożyć.

# Epilog

Z Naksos popłynęliśmy na Amorgos. W palącym słońcu krętą ścieżką liczącą kilkaset schodów doczłapaliśmy do klasztoru Panagia Hozoviotisa – Maryi Dziewicy. Trzysta metrów nad poziomem morza. Pobielony budynek powstał blisko tysiąc lat temu. Przyklejony jest do stromej skały – mieści maleńki kościół, kuchnię, bibliotekę i izby dla czterech mnichów. Jeden z nich podjął nas *loukumi* – słodkimi galaretkami z owocowego soku.

Sam klasztor – duszny, lekko stęchły i klaustrofobiczny – nie zachwyca. Co innego, jeśli stanąć do niego plecami, na minidziedzińcu, i spojrzeć w dół, na morze. Tego widoku nie zapomnę. Człowiek patrzy na wodę, a jakby patrzył w niebo. Ta sama nieskończoność i tajemnica. Ma się ochotę skoczyć w ten błękit na główkę.

Kolejny przystanek: maleńka Schinnousa – wysepka miejscami szeroka na ledwie trzysta metrów. Obiad przy plaży i cierpkie wino. Kąpiel i czerwieniejąca skóra napięta od soli.

Nazajutrz rejs na pobliską Koufonisi – wysuszoną, kamienistą, pozbawioną zieleni, surową, a jednocześnie przyjazną, gdzie każda dokująca łódka to dla garstki miejscowych wydarzenie, obietnica, powtarzalny dowód, że reszta świata istnieje.

Byliśmy grupą dziennikarzy, których greckie Ministerstwo Turystyki zaprosiło na objazd po Małych Cykladach. Organizatorzy fundowali nam hurtowe zachwyty, licząc, że po powrocie opowiemy o Grecji, która choć w kryzysie, to jest

bezpieczna, gościnna i chętnie przyjmie polskich turystów. Gospodarka jak kania dżdżu łaknęła masowego turysty, choćby tego nie najbogatszego, nieobytego, niezostawiającego wysokich napiwków.

Na wyspach czas płynie wolniej, gazety docierają do kiosków z jednodniowym opóźnieniem, telewizor często śnieży, internet się rwie. Życie to czekanie: aż dowiozą cement, aż przyjadą turyści, aż dojrzeją winogrona, oliwki, pomarańcze, aż będzie można zebrać świeży miód, aż zsiądzie się mleko na ser. Więc idzie się do sąsiadów i czeka razem. Przy kawie albo kieliszeczku samogonu. Po dwóch kieliszeczkach można się wziąć pod ręce i trochę potańczyć.

Stare małżeństwo, które prowadziło przydrożny sklepik spożywczy, słysząc, skąd jesteśmy, sprezentowało nam butelkę słodko-gorzkiej wódki własnej produkcji – *tsikoudia*. Piliśmy ją w busie w drodze do portu, a później upici na wesoło spaliśmy oparci o metalową burtę promu.

Kryzys na wyspy nie dotarł, że taka sielanka? Dotarł, ale rozwodniony, nie tak straszny jak w dużych miastach. Urzędnicy w wyspiarskich magistratach z niedziałającą klimatyzacją żalili się nam na obniżone pensje, na dziurawe drogi, których nie było z czego remontować, na to, że miejscowy lekarz wyemigrował za chlebem do Melbourne, że trzeba było zwolnić nauczyciela biologii.

Młoda żona z młodym mężem opowiadali, że uciekli z Aten przed bezrobociem i na Naksos chcą doczekać lepszych czasów. Smutno im tylko trochę, bo nie stać ich na dzieci. Ale nie tracą nadziei – mają jeszcze kilka płodnych lat w zapasie. Zwolnili tempo. W górzystym, zielonym interiorze wydzierżawili *kafenijo* i serwują okolicznym emerytom

mrożoną kawę frappé w cenie jednego euro. Starych nie stać, by płacić drożej, bo ich emerytury obcinano już sześć razy.

– Zaraz. Nie sześć. Siedem – liczą na głos rozżaleni, ale i rozbawieni, oderwani na chwilę od partyjki tryktraka. Zakładają się o to, kiedy z ich trzystu euro zostanie dwieście. W tym miesiącu czy w przyszłym.

Z ich żartów nie śmieje tylko kolega z telewizji. Cały czas chodzi zezłoszczony. Nie po żarty się tu wyprawił z Warszawy, nie po zachwyty, nie po ładne zdjęcia. Czy ktoś mu, do cholery, może znaleźć rodzinę kogoś, kto się zabił, bo go długi przygniotły? Albo niech go ktoś zaprowadzi w miejsce, gdzie bezdomni i biedota dostają darmowe jedzenie! On chce kryzysu! Bez wzruszającego materiału o kryzysie boi się wracać do redakcji. Tłumaczyliśmy, że na wyspach praktycznie nie ma bezdomnych ani darmowych garkuchni, jakie się często widzi w Atenach czy Salonikach; że największy biedak naje się rybą, którą sobie złowi, i figami z ogrodu znajomych; że choć w kryzysie państwo na wielu szczeblach nie działa, to działa rodzina. W wielopiętrowym domu, przy zredukowanych potrzebach i zamrożonych ambicjach, da się na dziadkowym i babcinym garnuszku przeczekać suche lata.

Nie słuchał. Żądał kryzysu, dramatu i flaków. W końcu pokłócił się z organizatorami, obraził gospodarzy i zażądał, by go odesłać do Polski wcześniejszym samolotem.

Zmarnował okazję. Nieoczywistość sytuacji przerosła go. Skoro nie może w materiale pokazać Greków zrozpaczonych, rozłożonych na łopatki, w dodatku podszytych lenistwem i skłonnych do oszukiwania, ile wlezie, nie pokaże żadnych. Nie podważy narracji od lat panującej w polskich mediach tylko dlatego, że własnym dziennikarskim okiem widzi w tej narracji nieoczekiwane dziury. Kto by wierzył własnym

oczom?! Przecież dopiero co konkurencyjna stacja przez kilka dni „grzała" listą niby to przywilejów, z jakich przez lata korzystali Grecy zatrudnieni na państwowych posadach, a które doprowadziły kraj do ruiny. Teraz płaczą, bo im te bonusy odebrano: dodatek do pensji za niespóźnianie się do pracy (trzysta dziesięć euro), kolejny, jeśli praca wymaga siedzenia przy komputerze (piętnaście procent), jeszcze inny, jeśli trzeba wysłać faks (osiemset siedemdziesiąt euro), za mycie rąk (czterysta dwadzieścia euro). Lista była *fake newsem*, wierutną bzdurą, czego dowiódłby jeden telefon do greckiej ambasady. Ale nikt nie zadzwonił. Zamiast tego goście w studiu kiwali głowami: „Niech płaczą. Mają, na co sobie zasłużyli. Muszą teraz pocierpieć".

Napisałem *Gorzkie pomarańcze* na złość kolegom z telewizji. Przeciwko wyobrażeniu, w jakie zaklęto kryzysową Grecję. Przeciwko krzywdzącym uproszczeniom. Przeciwko Schadenfreude, jaka biła z rozmów o Grecji. I z kilku innych jeszcze powodów.

*

Grecja jest w moim DNA, jest częścią mnie, ale jest też wyzwaniem. Zawsze była. Relacje między nami są złożone i zapośredniczone – przez Historię i historię rodzinną.

Sturisów do Polski przygnała grecka wojna domowa. Byli uchodźcami, którzy na Dolnym Śląsku zaczęli nowe życie – dobre życie, spokojne, bezpieczne, całkiem dostatnie. Do starego wrócili po ćwierćwieczu, w połowie lat siedemdziesiątych, gdy rząd w Atenach nareszcie zezwolił na uchodźcze powroty. Wracali jako nie wiadomo kto. Swoi – greccy, czy obcy, bo już nieco spolszczeni? Tacy i tacy. Gdyby

nie to, że Chojnów stał się domem dla greckich uchodźców, Zofia Zieleń z podchojnowskiej Osetnicy nie poznałaby Petrosa, nie pobraliby się, nie mieliby trójki dzieci, nie rozwiedliby się po kilku burzliwych, przemocowych latach. Zofia nie musiałaby z Grecji uciekać.

Gdyby nie wojenna Historia, gdyby nie przemoc, gdyby nie ucieczka (dramatyczne zawalczenie o życie), czy myślałbym dziś o Grecji inaczej? Pewnie nie odczuwałbym do niej żalu, pretensji i złości o to, jak obeszła się z moimi dziadkami i jak potraktowała moją mamę Zofię. Pewnie by mnie mniej denerwowała – hałasem, brudem, swoją wsobnością. Ale i tej słodkiej tęsknoty za nią pewnie bym też nie czuł.

Ścierając kurze, gotując, myjąc naczynia, często słucham greckich piosenek. Melina Kana, Haris Alexiou, Dimitra Galani, Alkistis Protopsalti, Melina Mercouri, Marinella, grecki folk, *rebetiko*, *laiko*, głośne buzuki, gitara, klarnet. Podśpiewuję sobie wtedy do mopa, pląsam od śmietnika do zlewu, a po chwili przychodzą dreszcze. Co ta muzyka ze mną robi, wstyd się przyznać. Nie umiem tańczyć, a tańczę. Jakby mi ktoś w udo wszczepił powerbank.

Gdy z kolei trafiam między tańczących Greków, na wiejski odpust albo do knajpy, stoję zwykle jak kołek, co najwyżej lekko podryguję. Tyle we mnie z Dionizosa.

Uznałem, że ten mój wewnętrzny polsko-grecki i dionizyjsko-apolliński konflikt okiełznam, opowiadając sobie Grecję na nowo – od początku, nie odrzucając trudnej Historii i historii, ale wpisując je w ramy szerszego doświadczenia. Mojego własnego, przeżywanego bez pomocy pośredników. Czy to w ogóle możliwe? Nie wiem. Ale i z tej niewiedzy wzięły się *Gorzkie pomarańcze.*

*

Umowa z wydawnictwem zakładała skromną zaliczkę. Dobrałem więc kredyt bankowy, który spłacałem przez kolejne trzy lata, i ruszyłem w drogę. W poszukiwaniu tematów i bohaterów do książki zjechałem Grecję od granicy z Turcją po Kretę. Pociągami, autokarami, na pokładach samolotów i promów kursujących między wyspami. I na piechotę (błądzenie po rozgrzanych Atenach polecam szczególnie – przyjemnie jest zdjąć sandały i chłodzić zmęczone stopy na zimnym marmurowym chodniku, śliskim jak lodowisko).

Nie były to wyprawy porządne, nie przebiegały według planu. Bardziej według przypadku. Z przerwami na powroty do Polski trwały dobry rok.

Zatrzymywałem się po znajomych, i znajomych znajomych, w małych hotelikach i po rodzinie. Odżywiałem się skandalicznie. Tłusta pita ze szpinakiem i fetą, tłusta *bougatsa* z budyniem i cukrem pudrem. Litry gęstej oliwy, hektolitry kawy i wody. Częstowany przez moich rozmówców nie odmawiałem nigdy – chyba że serwowali baraninę albo rozlewali *ouzo*. Wtedy oponowałem do skutku. Żadna historia, choćby najciekawsza, nie jest warta takiego poświęcenia.

Czasy były wyjątkowo trudne – niespodziewany kryzys orał zastany porządek. Wywoływał strach, wściekłość i szok. Szok z kolei wypychał ludzi na demonstracje – na przepełnionych ulicach i placach szukali nagle utraconego sensu. Strajkowali, zdzierali gardła. Chcieli wiedzieć, jak mają zapłacić za leki, za prąd, za chleb. Niech im rząd natychmiast odpowie. A jeśli nie odpowie, to niech się rozwiąże! Podobnie błyskawicznego zbiednienia nie było w Grecji od końca wojny i hitlerowskiej okupacji – a tę gehennę pamiętali już tylko nieliczni.

Pusty portfel, bezrobocie i ogólna beznadzieja wyznaczały ramy szerokiej wspólnoty, jednoczyły i niwelowały poczucie wstydu, chyba że wcześniej wstyd popchnął człowieka do samobójstwa. I taka historia znalazła się w książce – opowiedziana przez syna w żałobie po ojcu. Gdy poprosiłem go o rozmowę, od razu się zgodził. Jakby tylko czekał na kogoś, przed kim będzie mógł się wygadać. Z wieloma innymi rozmówcami było podobnie. Pewnie woleliby psychologa, a dostawali reportera.

*

Przez pierwsze dwa, trzy lata, zanim energia buntu osłabła, zanim zastąpiła ją powolna akceptacja nowego stanu rzeczy, kryzys był omnipotentny – organizował rzeczywistość, zajmował myśli, nie dawał ludziom spać po nocach. A także skutecznie przysłaniał inne kryzysy, jakie już wcześniej w Grecji dojrzewały. W tym kryzys imigrancki.

Imigranci od lat nielegalnie przeprawiali się z Turcji na greckie wyspy lub pokonywali graniczną rzekę Ewros. Ich wnioski azylowe kwitły na coraz wyższych stertach w zatęchłych pokojach policyjnych posterunków. Procesowanie papierów trwało latami. Więc przybysze – bez prawa do pobytu, pracy, edukacji, leczenia i zgody na dalszą podróż na północ kontynentu – rozpływali się po miastach i miasteczkach, na różne sposoby próbując przetrwać. Jak ci banglijscy robotnicy, którzy przez pół roku codziennie stawiali się do pracy na polu truskawek w Nea Manolada na Peloponezie, mimo że nie dostawali obiecanego wynagrodzenia, że spali w barakach albo namiotach, bez prądu, wody do picia, bez prysznica. Harowali jak woły, licząc,

że szef koniec końców okaże się człowiekiem. Gdy się w końcu zbuntowali – właściciel z kolegami chwycili za strzelby. Karetki zabrały do szpitala dwudziestu siedmiu rannych.

Imigranci żyli w wyniszczającym impasie. Grecja była dla nich jednocześnie bramą do lepszego, spokojniejszego życia i pułapką, z której nijak nie szło się wydostać. Mężczyźni i kobiety z Bangladeszu, Pakistanu, Afganistanu, Iraku, Algierii, Sudanu, Somalii czy Kenii, których codziennie mijałem, przemierzając ateńskie lub salonickie biedadzielnice, tyle samo mówią nam o współczesnej Grecji, co Kostas i Maria, których rodziny od pokoleń zamieszkują centra Aten czy Salonik, tyle samo, co moi greccy przyjaciele, moja grecka rodzina.

Czułem, że muszę o nich napisać, choć nie przypuszczałem, że ich historia – tysiąckrotnie zwiększona – zaledwie kilka lat później stanie się politycznym wyzwaniem numer jeden w całej Europie, że instrumentalnie wykorzystywana pomoże obalać rządy i wynosić do władzy ksenofobów i rasistów, że jej wyraźne echa usłyszymy także w Warszawie.

Stąd miejsce w *Gorzkich pomarańczach* dla Afgańczyków z ustami zaszytymi na znak protestu, dla wychudłych Marokańczyków i Tunezyjczyków z Krety prowadzących strajk głodowy i dla Jane, biednej Jane, którą porwała rzeka.

*

Mozaika. Taką formę wybrały dla siebie *Gorzkie pomarańcze*. Fragmenty rodzinne układają się obok politycznych, aktualne, kryzysowe, obok historycznych. Zofia Sturis, która użyczyła książce swojego cierpienia, dzieli akapity z równie dzielną Meliną Mercouri, babcia Maria grozi palcem zbrodniarzom od

wojen z poprzedniego rozdziału, ciotka Kula pomstuje na historyczne przełomy, które poszarpały jej życie, choć do dziś nie dały rady solidnym PRL-owskim meblom z Jeleniej Góry. Leżanka i szafa służą ciotce jak nowe.

Ze wszystkich moich podróży, obserwacji, rozmów, z wejrzenia w oko kryzysu, z poznania historii rodzinnej i Historii wyszedł mi reportaż osobisty, zaangażowany i zaawansowany. Przewodnik po greckich zawiłościach, który mnie samemu dał kilka ważnych odpowiedzi.

Od pierwszego wydania *Gorzkich pomarańczy* minęło właśnie sześć lat. W księgarniach nie było ich od dawna, bo wyczerpał się nakład. Teraz wracają w nowej odsłonie, uzupełnione o kilka ważnych tekstów, nadal mocno aktualne. To dla mnie ogromna radość. Z wiadomości, jakie wciąż dostaję od nowych czytelników i czytelniczek, wynika, że książka jest dla nich ważna, co nieco tłumaczy i prowokuje. Piszą, że znajdują dla niej miejsce w plecaku czy walizce, gdy wyprawiają się w podróż do Grecji lub po Grecji. Czuję się dzięki temu jak bileter i jest to emocja fascynująca. Sprzedaję wejściówki na seans lub może bardziej na scenę i zapraszam do udziału w opowieści.

Z puli biletów część rezerwuję dla siebie – na okoliczność powrotów. A wracam do Grecji regularnie – z tęsknoty, która co rusz się odzywa, na premierę greckiej edycji *Gorzkich pomarańczy* (dzięki wydawnictwu Haramada i wspaniałemu tłumaczeniu Anastasii Hatzigiannidi), po kolejne historie, by zawalczyć o relacje rodzinne. Może będzie z tego ciąg dalszy.

*Korzystałem z następujących książek:*


Bonarek Jacek, Czekalski Tadeusz, Sprawski Sławomir, Turlej Stanisław, *Historia Grecji*, Kraków 2005.

Clogg Richard, *Historia Grecji nowożytnej*, przeł. Włodzimierz Gałąska, Warszawa 2006.

Danforth Loring, Van Boeschoten Riki, *Children of The Greek Civil War: Refugees and the Politics of Memory*, Chicago 2012.

Kawafis Konstandinos, *Jeżeli do Itaki wybierasz się w podróż*, przeł. Antoni Libera, Kraków 2011.

Mazower Mark (red.), *Networks of Power in Modern Greece: Essays in Honour of John Campbell*, Londyn 2008.

Mazower Mark, *Salonica, City of Ghosts*, Londyn 2005.

Mercouri Melina, *I Was Born Greek: The Autobiography*, Londyn 1971.

Nowicki Andrzej, *Z Wilna na Olimp*, Poznań 2003.

Wojecki Mieczysław, *Uchodźcy polityczni z Grecji w Polsce 1948–1975*, Jelenia Góra 1989.

# Spis treści

Wstęp. Gorycz i słodycz Grecji
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23

24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
Epilog